

Brudziński o próbie
obalenia rządu

Kukiz nowym
liderem opozycji?

Trump sprząta
po Obamie

Piłkarze
aferzyści

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
0 4 >
9 772299 850000
Nakład: 110 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 4/206 23-29 STYCZNIA 2017

OSTRY WYWIAD
ZE STANISŁAWEM
MICHAŁKIEWICZEM

WALDEMAR ŁYSIAK
OSKARŻA

WSZYSCY
WROGOWIE
POWSTANIA
STYCZNIOWEGO



PREZES PAŃSTWA I JEGO PRZECIWNICY

Piotr Semka o politycznej drodze
Jarosława Kaczyńskiego





NA KARTĘ

**GWARANCJA
SUPERPROSTEJ
OFERTY!**

GWARANCJA

25 ZŁ MIESIĘCZNIE ZA:

 Nielimitowane rozmowy
do wszystkich sieci

 Nielimitowane SMS-y
do wszystkich sieci

 10 GB Internetu

 Rok ważności konta

LIFE IS FOR SHARING.

Aby aktywować ofertę, wyślij bezpłatnego SMS-a START na numer 469. Oferta aktywowana raz po uzupełnieniu konta za minimum 25 zł odnawia się automatycznie co 30 dni. Rozmowy i SMS-y dotyczą wszystkich sieci krajowych. Szczegóły w Regulaminach Ofert Promocyjnych na www.t-mobile.pl





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Aż takie straszne ciamajdy?

Czasem myślę, że przestałem rozumieć politykę. Cóż, nie byłaby to poważna przypadłość, gdyby nie to, że od komentatora i publicysty pewnej dozy zrozumienia należałoby wymagać. Owszem, w polskich warunkach nie jest to chyba konieczne, zważywszy na banalny dość fakt, że wielu (ośmielę się nawet napisać – większość) piszących wyrzuca z siebie emocje i uczucia, starając się jak najdosadniej i najtreściwiej nazwać oraz opieczetować swoich oponentów. Co zatem znaczy rozumieć? Nie trzeba być pilnym czytelnikiem „Krytyki władzy sądowniczej” Kanta, żeby pojąć, że pierwszym i podstawowym warunkiem rozumienia musi być zdolność postawienia się w cudzej sytuacji, umiejętność wyobrażenia sobie, jak byśmy zachowali się na miejscu tego kogoś drugiego. Można to nazwać empatią, choć w dzisiejszym języku słowo to kojarzy się raczej z psychologią, dlatego lepszym określeniem jest właśnie rozumienie.

Otóż próbuję, ile wlezie, wczuć się w sytuację polityków opozycji oraz postawić na ich miejscu i za nic, za chińskiego boga, nie

potrafię uchwycić, o co z całym tym ich protestem i późniejszymi występiami chodziło. Dawno, dawno temu, kiedy byłem jeszcze studentem na Wydziale Prawa UW i jednocześnie działaczem NZS, przygotowywałem w maju 1988 r. strajk przeciw ówczesnym władzom PRL. Cokolwiek by o nas, antykomunistycznych studentach bez wielkiego przecież doświadczenia politycznego, powiedzieć, kilka rzeczy było oczywistych: po pierwsze – że protest musi mieć wyraźny cel, po drugie – musi mieć kierownictwo, po trzecie wreszcie – jeśli nie są jasno wyrażone postulaty, to nie może on trwać bez końca. Albo jasne postulaty i protest, by je spełnić, albo protest ma charakter solidarnościowy oraz symboliczny i musi mieć określony kres. Tyle że to, co urządziły w Sejmie i poza nim Platforma z Nowoczesną, żadnego z tych kryteriów nie spełniało.

Deklarowany cel – sprzeciw wobec działań PiS – był, każdy to musi przyznać, wyjątkowo niekonkretny i nieokreślony. Nie było wiadomo, kto tak naprawdę przewodzi protestującym. Przeciwnie – można było odnieść wrażenie, że dwóch liderów, Schetyna i Petru, ze sobą

konkurowało. Wybrany termin – okres Bożego Narodzenia i Nowy Rok – z oczywistych powodów był wyjątkowo chybiony. Większość Polaków, nawet ci, którzy polityką się interesują, miała na głowie zupełnie inne sprawy niż awantura w Sejmie. Wreszcie już całkowitym nieporozumieniem był brak wyraźnego określenia terminu zakończenia protestu. Kiedy on faktycznie nadszedł, okazało się, że PO nie umie wytłumaczyć, dlaczego właściwie z Sejmu wychodzi. Wszystko to, co tu piszę, są to rzeczy banalne, proste jak konstrukcja cepa. To, co urządziła w parlamencie opozycja, pokazuje zatem jakąś skrajną i dziecinną niedojrzałość, nieprofesjonalizm i fanfaronadę.

Do tego dochodzi jeszcze osobliwa sprawa apelu przygotowanego przez PO i Nowoczesną do trybunałów międzynarodowych (może instytucji europejskich), w którym potępiono polskie władze i poproszono... No właśnie, o co właściwie mogłaby prosić opozycja Brukselę? Wielu zwolenników PiS mówi o zdradzie, o działaniu na szkodę własnego państwa, o targowicy. Zostawmy na boku te określenia. Próbuję zrozumieć, co konkretnie mógłby przynieść taki apel. Co w ogóle może przynieść to uporczywe odwoływanie się do zagranicy? Kolejną nudną debatę w Parlamencie Europejskim? Nowe wyrazy troski ze strony komisarzy Unii? Czyżby polska opozycja nie zauważyła, że ani Unia, ani jej najważniejsze państwa w sprawie rzekomego łamania demokracji w Polsce nie kiwną palcem? A może panowie Schetyna i Petru sądzą, że UE to ZSRŚ?

Nie wiem zatem, o co chodzi. Możliwości są dwie: albo utraciłem zdolność rozumienia, albo przywódcy opozycji są tak strasznie ciamajdami, że zrozumieć ich nie sposób. ©©



RYSUNEK TYGODNIA

TEMAT TYGODNIA

20 PIOTR SEMKA

NACZELNIK, CZYLI POWAGA MA ZNACZENIE

Polityczna droga i najważniejszy egzamin Jarosława Kaczyńskiego

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

TOTALNIE NIEPOTRZEBNI



KRAJ

26 ROZMOWA Z JOACHIMEM BRUDZIŃSKIM

PRZYGOTOWANO OBALENIE RZĄDU

Nie zgodzimy się na banalizację wydarzeń w Sejmie

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI

KUKIZ NOWYM LIDEREM OPOZYCJI?

32 ŁUKASZ WARZECHA

DO DWÓCH RAZY SZTUKA

34 ROZMOWA Z MICHAŁEM DWORCZYKIEM

UCZMY UKRAIŃCÓW HISTORII

36 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK

GRAŻYŃSKI WYKLĘTY

38 ŁUKASZ ZBORALSKI

OSTATNIA CHWILA CHWILÓWEK?

40 ROZMOWA Z ROBERTEM GÓRSKIM

MAM PRAWO BYĆ KACZYŃSKIM



KULTURA

42 PIOTR GOCIEK

HRABIA OLAF I TROLLE

Rozrywka dla młodszych i starszych

44 ROZMOWA Z PROF. STANISŁAWEM BERESIEM

PAPIEROWY KRZYŻ WALECZNYCH

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA ZE STANISŁAWEM

MICHAŁKIEWICZEM

NIE MA PRAWICOWEJ REWOLUCJI

Na świecie nadal rządzą socjaliści

60 ROZMOWA Z LESZKIEM MILLEREM

W OCENIE PIS ZACHOWUJĘ ZDROWY ROZSĄDEK

HISTORIA

64 WALDEMAR ŁYSIAK

INSUREKCJONIZM

Historiozoficzne rozważania na bazie stycznia

ŚWIAT

72 PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

WŁOCH NA CZELE EUROPY

Antonio Tajani jest totalnym przeciwieństwem swojego poprzednika Martina Schulza

74 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

EUTANAZYJNA SCHIZMA

76 PIOTR WŁOCZYK

HIBERBIZNES

80 JACEK PRZYBYLSKI

AMERYKA PO OBAMIE



EKONOMIA

84 STEFAN SĘKOWSKI

GAZOWA REALPOLITIK

W polityce energetycznej nie ma stałych sojuszników ani wrogów

SPORT

90 ŁUKASZ MAJCHRZYK

FINANSOWY FAUL

Ronaldo, Messi i pieniądze

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ** NA 2017 ROK

**PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KOSZULKA Z ORŁEM**



139 zł

oszczędzasz 109 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 6a500a54bf

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu dwa głosy na temat tekstów z ostatnich naszych numerów. I tradycyjne zaproszenie na naszą niezwykle żywą stronę: www.dorzeczy.pl.

Chcę z nas zrobić rasistów

Bardzo dziękuję za materiał poświęcony tragicznym wydarzeniom w Ełku i próbom wykorzystania ich do antynarodowej kampanii („Do Rzeczy” 3/2017). Odczuwam jednak pewien żal z powodu milczenia prezydenta RP. Wydaje się, że w takich właśnie momentach, gdy narastają złe emocje i napięcie, prezydent mógłby bardzo wyraźnie opowiedzieć się przeciw zasadzie zbiorowej odpowiedzialności i za tolerancję.

Nie zostawiamy lewicy monopolu na społeczną świadomość.

Antoni Bąk

Co nam robi UE

Do redaktora
Łukasza Warzecha

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem Pana artykuł o niuansach polityki UE wobec Polski związanych z ewentu-

alnymi sankcjami, relacjach głównych graczy Komisji Europejskiej, a w podtekście również o słabej polityce naszych europosłów w tym gremium („Do Rzeczy” 2/2017).

W sposób przejrzysty opisał Pan ten europejski grajdołek, coraz mniej znaczący na arenie światowej.

Wydaje mi się, że jedno huknięcie ze strony Wielkiego Brata z za oceanu może zmienić wiele spraw propagandowych pana Timmermansa i innych. [...] Tylko jakie jest zainteresowanie Europą w Stanach? Polska polityka powinna mocniej artykułować w USA nasze problemy. Dobrze, że kontyngent amerykański zostanie ulokowany u nas, ale proszę spojrzeć na liczebność baz US Army w Europie Zachodniej.

W publicystyce za mało pisze się o tym, że od 1989 r. upłynęło sporo wody w Renie, Dunaju i Tybrze, a olbrzymie bazy amerykańskie nadal stacjonują tam, jakby chroniły Zachód przed dzikimi zza żelaznej kurtyny.

A przecież zagrożenia zmieniły się radykalnie, a 28 lat to szmat czasu.

Być może sięgnie Pan po ten temat?

Jerzy Wojtasz

Panu Ministrowi Jarosławowi Sellinowi
wyrazy współczucia z powodu śmierci Mamy



Marii Sellin

przesyłają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”

Z wielkim smutkiem i żalem
przyjąłem wiadomość o tragicznej śmierci



**Rafała
Wójcikowskiego**

pośła na Sejm VIII kadencji

Wkładał dużo serca w prace Sejmu, komisji sejmowych, w szczególności Komisji Finansów Publicznych, której był wiceprzewodniczącym, oraz zespołów parlamentarnych.

Ceniony za swe zaangażowanie w życie publiczne, fachowość, profesjonalizm i wiedzę z zakresu ekonomii. Odszedł Człowiek wierny ideałom, patriota, wielce oddany sprawom Ojczyzny.

Zachowajmy w pamięci Jego zasługi w pracy dla Polski...

Łączę się w bólu i poczuciu ogromnej straty
z Rodziną i Bliskimi Zmarłego

Marszałek Sejmu
Marek Kuchciński



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dozeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanicz, Grzegorz Brzozowicz,
Sławomir Cenciekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś,
Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hóldyńska,
Jarosław Kałucki, Katarzyna, Krzysztof Kłopotowski, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk, Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski,
Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski,
Karolina Marchewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,

Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski,
Błażej Toraniński, Matthew Tymand, Paweł Wawrzynski, Szwach Weiss,
Piotr Wierzbicki, Piotr Wójcik, Marcin Wolski, Wojciech Wybranowski,
Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: **Mikołaj A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski,**
Anna Sobieska-Wójcicka, Włodzisław Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marczulewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Krzysztof Maj/Forum (2); opracowanie graficzne: JAN/MIDAS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG
Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Robert Protkoński, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dozeczy.pl; tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchownik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Szewach Weiss

Polska była dla mnie naturalnym wyborem, gdy po latach służby w Knesecie, w tym byciu jego przewodniczącym, rozpoczynałem pracę ambasadora. Sam wybrałem właśnie Polskę. Był to powrót do mojej, a właściwie do kilku moich Polsk.

Jedną z nich jest Polska mojego dzieciństwa, która nigdy nie zniknęła z mojej pamięci i powraca w moich snach. Była bardzo ciekawa, czasami bardzo wesoła, czasami – gdy np. pomyślę o zamordowaniu moich dziadków – bardzo smutna i tragiczna. To Polska galicyjska, wielojęzyczna, wielokulturowa, bardzo ciekawa dla starszych ludzi, ale również niezwykle interesująca dla dzieci. W czasie mojego dzieciństwa Borysław, gdzie przyszedłem na świat, liczył blisko 50 tys. mieszkańców, z czego może ok. 20 tys. stanowili Polacy, 15 tys. – Ukraińcy i ok. 15 tys. – Żydzi. Była to zatem prawdziwa i typowo galicyjska mieszanka kultur, języków, religii. W przedszkolu, gdzie było dość dużo dzieci żydowskich, uczyliśmy się piosenek i po polsku, i po ukraińsku, a czasami pielęgniarka czy ktoś inny narodowości żydowskiej uczył nas piosenek żydowskich w jidysz. Do dziś pamiętam z tamtych czasów: „Krakowiaczek jeden miał koników siedem, pojechał na wojnę, został mu się jeden. Siedem lat wojował, szabli nie wyjmował, szabla zardzewiała, wojny nie widziała”. Wróciłem do słów tej piosenki wiele lat później, gdy Polska kupiła od Izraela rakiety Spike. Powiedziałem wtedy, że życzę Polsce, by ta „szabla”, czyli rakiety, zardzewiały i nigdy nie zobaczyły wojny.

Tak, Polska mojego dzieciństwa żyje we mnie cały czas. Zawsze wrażenie robiły na mnie chmury na polskim niebie. Czasami są one czarne

i przywodzą na myśl ciemności miejsc, w których ukrywali nas Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Wspominam podwójne ściany naszego domku, które pozwoliły nam się schronić i przetrwać. Kiedy podróżuję po Polsce i widzę wiejską kapliczkę, zawsze przypomina mi się kapliczka, w której naszą rodzinę ukryła rodzina Górólów. Pamiętam, że wchodziły do niej jaszczurki. Mówiłem

jeżdżąc do Polski z wykładami. Młodzież, z którą się spotykam, z którą prowadzę wykłady, jest moją nadzieją. To pokolenie, które staje przed realizacją tych wielkich celów i wyzwań związanych z przesłaniem: „Nigdy więcej!”. Czuję, że ci młodzi ludzie darzą mój naród sympatią i mają mnóstwo współczucia do tej wielkiej niesprawiedliwości i okropnej zagłady, która spotkała Żydów

pytają mnie, dlaczego będąc powiązany z socjaldemokracją, publikuję w tytułach mających podejście konserwatywne, prawicowe. Przede wszystkim ze względu na przyjaźń, a poza tym nigdy nie spotkałem się z jakąkolwiek cenzurą.

Order Orła Białego jest pewnym podsumowaniem moich związków z Polską, jest to dla mnie odznaczenie niezwykle ważne. Jestem wzruszony i dumny. Został mi nadany w konkretnym kontekście – w kontekście mojej osobistej misji ambasadora Izraela w Polsce, człowieka, który urodził się w Polsce, był dzieckiem Holokaustu i został w Borysławiu uratowany przez Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Każdy z ambasadorów starał się, by skałeczone stosunki między Polakami i Żydami zostały odnowione. Po wojnie nie mieliśmy dość czasu na prowadzenie dialogu. Kiedy po 1989 r. Polska odnowiła swoją demokrację i parlamentaryzm, stosunki z Izraelem układają się bardzo dobrze. Dbamy o nie na podstawie pamięci, totalnej prawdy o tym, co było dobre, ale i co było złe, pamiętając zawsze o Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, którzy są moimi prywatnymi bohaterami, bohaterami narodu żydowskiego i stają się bohaterami całego moralnego świata.

Odznaczenie odebrane w Jerozolimie z rąk prezydenta Andrzeja Dudy nie jest nagrodą polityczną, nie pochodzi ze strony prawicy ani lewicy. Tyle lat żyliśmy obok siebie, potem przez sześć lat pod okupacją niemiecką prawie wszystko się skończyło. Teraz, na ruinach przeszłości, próbujemy odnowić te stosunki po to, by przyszłe pokolenia pamiętały, że naród żydowski przez wiele lat rozwijał się na ziemiach polskich. I, niestety, również umierał z powodu paskudnego faszyzmu, którego i Żydzi, i Polacy byli ofiarami. © **oprac. raw**



17 stycznia w Jerozolimie prezydent Andrzej Duda wręczył Szezechowi Weissowi najwyższe polskie odznaczenie. FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

wtedy do mojej mamusi: „Szkoda, że nie urodziłem się jaszczurką. Byłbym wtedy wolny, nie musielibyśmy tutaj siedzieć zamknięci”. Jednak przebywając wtedy w tym zamknięciu, wszyscy czuliśmy, jak wiele zrobiła dla nas rodzina, która nas tam ulokowała.

Moja Polska to również polska młodzież. Do świata polityki wszedłem ze świata nauki. Mam zaszczyt, podkreślam, że jest to dla mnie zaszczyt przy-

na polskiej ziemi podczas niemieckiej okupacji.

Ważną część mojej obecności w Polsce stanowią media. Prawie na początku służby ambasadorskiej spotkałem Piotra Gabryela i od tej pory w tytułach, w których on się pojawia, obecny jestem i ja. Teraz jesteśmy razem w „Do Rzeczy” – jestem pod wrażeniem poziomu intelektualnego tygodnika mojego przyjaciela Pawła Lisickiego. Czasem



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Mistrz slalomu

Musiwały minąć prawie trzy tygodnie od ujawnienia rewelacji o lukratywnych fakturach Mateusza

Kijowskiego, by zarząd KOD zażądał jego natychmiastowego odejścia ze stanowiska szefa. Kijowski odmawia. Część regionów KOD stoi za nim murem. Wsparł go sam Lech Wałęsa. Szefowie PO i Nowoczesnej, choć zdobyli się na krytykę siwowłosego rewolucjonisty, to dbają, by nikt nie zarzucił im bezpośredniego zaangażowania w konflikt. W chwili, gdy piszę te słowa, pat trwa. Jak na razie Kijowski okazał się zręcznym graczem.

Przyjrzyjmy się slalomowi pana Mateusza. Najpierw szef KOD słusznie uznał, że najważniejsze jest przeczekanie pierwszej fali oburzenia. To wtedy słabsi psychicznie ulegają atmosferze i ustępują ze stanowisk. Kijowski „nie pękł” i nie podał się do dymisji. W tej determinacji na pewno pomogło mu ważne odkrycie. Lider KOD zauważył z ulgą, że ani KOD, ani stojąca za nim „Gazeta Wyborcza” nie mają na podorędziu żadnego kandydata do szybkiej zmiany na szczycie ruchu. Władysław Frasyniuk, typowany przez niektórych publicystów na

nowego lidera, nie chciał lub nie potrafił skorzystać z szansy. Równie ślamazarny był Radomir Szumelda, lider pomorskiego KOD.

Za to Kijowski dość sprawnie przeszedł przez pierwszą turę odpytywania ze swoich grzeszków. Wykonał pewien ukłon wobec oburzonych, ale jego samokrytyka była dość oględna („niewątpliwie doszło do pewnej niezręczności”) i nie przyznał się wyraźnie do żadnej winy. Jak najlepszy uczeń spin doktorów gasił kryzys wizerunkowy uspokajającymi obietnicami („sytuacja wymaga wyjaśnienia i nad tym pracujemy”), ale bez podawania żadnych szczegółów. Zręcznie ubrał się wreszcie w kostium politycznego naturyszczyka („Decyzje w tej sprawie zapadały w marcu, kiedy nadal byłem mało doświadczony”). Czas działał na jego korzyść.

Na wiecu pod Sejmem 11 stycznia zwolennicy KOD bynajmniej go nie wygwizdali. Demonstranci kupili sprytną formułkę: „Niech moje błędy nie będą obciążeniem dla KOD”. Kijowski zdobył kolejny punkt, publicznie ściskając się na scenie z Pawłem Kasprzakiem, zadymiarzem z grupy próbującej blokować miesięcznicę smoleńskie.

Co dalej? Kijowski może pójść w radykalizację. Na forach KOD-owskich już pojawiają się wezwania, by KOD wraz grupą Kasprzaka zablokowali Krakowskie Przedmieście w miesięcznicę smoleńską 10 lutego. Jeśli tego dnia dojdzie do zajść i Kijowski będzie mógł przedstawić się jako ofiara brutalności, to sprawa faktur zejdzie jeszcze na dalszy plan.

Kolejny element walki o przetrwanie to zadbanie, by kongres KOD odbył się albo szybko – zanim faktury zostaną zbadane, albo jak najpóźniej – najlepiej w marcu. Do tego czasu oburzenie na wątpliwe moralnie faktury może zblednąć na tyle, że lider KOD po odpowiednim pokajaniu się może przedłużyć swoje przywództwo. W polityce większe szanse na władze ma ktoś, kto tej władzy silnie pożąda, a nie ktoś, być może lepszy, ale niezdecydowany.

Na razie Kijowski ma prawo liczyć na coraz większe zagubienie myślowe coraz bardziej zagubionych w obecnej sytuacji KOD-owców. I nucić pod nosem stary, kabaretowy greps: „A od kiedy to niby skompromitowani nie grają?”. ©©



FOT. HANDOUT/REUTERS/FORUM

WŁOCHY: LAWINA ZESZŁA NA HOTEL

Dwa dni pod tonami śniegu, kamieni oraz drewna czekali na ratowników turyści z czterogwiazdkowego hotelu Rigopiano. Ogromna lawina niemal doszczętnie zniszczyła hotel położony na zboczach szczytu Gran Sanno w Apeninach w środkowych Włoszech. Gdy zamykaliśmy to wydanie tygodnika, włoskie władze potwierdziły śmierć co najmniej czterech osób. 20 uważano za zaginione. Według włoskich mediów wiele ofiar można by uratować, pomoc wyruszyła jednak zbyt późno, a ratownicy nie mieli odpowiedniego sprzętu. (jap) ©©

Rekordowe DoRzeczy.pl

Nasz nowy portal informacyjny przekroczył już 4 mln odsłon dziennie

Cztery miliony odsłon zanotował portal DoRzeczy.pl w ubiegły poniedziałek. Próg 3 mln odsłon serwis osiągnął zaledwie 18 dni wcześniej. Kolejny milion padł zatem jeszcze przed opublikowaniem na DoRzeczy.pl tekstu Wojciecha Wybranowskiego o tym, jak Nowoczesna i PO przygotowywały apel o brukselską „bratnią pomoc”. – Mimo prób zdezwuowania tekst się obronił, bo był rzetelnie napisany. Warto go przeczytać – pod-

kreśla Antoni Trzmiel, szef portalu oraz dziennikarz Telewizji Polskiej.

W serwisie codziennie o godz. 8 publikowane są felietony naszych publicystów. Te teksty Kamili Baranowskiej, Jacka Przybylskiego, Piotra Semki, Łukasza Warzechy, Piotra Zychowicza, Rafała Ziemkiewicza, Wojciecha Wybranowskiego, Piotra Gabryela i Pawła Lisickiego dostępne są wyłącznie on-line.

– Po zainteresowaniu użytkowników sieci widać, że portalu DoRzeczy.pl po prostu brakowało – mówi Antoni Trzmiel. – To naturalne dopełnienie najlepszego tygodnika analitycznego, który przedstawia świat z różnych punktów widzenia. Dynamika rozwoju pokazuje, że myślący Polacy chcą śledzić wydarzenia dosłownie na bieżąco. To jest możliwe tylko dzięki świetnemu, młodemu i niesłyszczanemu ambitnemu zespołowi dziennikarzy tworzących DoRzeczy.pl – dodaje i zaznacza, że serwis wciąż będzie się rozwijał. – Reakcja czytelników uskrzydla. Pokazuje, że to, co robimy, ma sens i jest potrzebne. To dla nas ważne – podkreśla Trzmiel. ©© (red)

REKLAMA

POSEŁ WÓJCIKOWSKI ZGINĄŁ W WYPADKU



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Posł Kukiz'15 Rafał Wójcikowski zginął w wypadku drogowym, do którego doszło w ubiegłym tygodniu. Wójcikowski jechał swoim samochodem trasą S8 w kierunku Warszawy. W okolicach Rawy Mazowieckiej stracił panowanie nad pojazdem i jego auto uderzyło w bariery energochłonne. Gdy jadący innym autem świadkowie wypadku zatrzymali się, by udzielić pomocy, w ich pojazd uderzył jeszcze samochód dostawczy. Rafał Wójcikowski zginął w wyniku odniesionych obrażeń. Tuż po wypadku jeden ze świadków akcji ratunkowej w rozmowie z radiową Jedynką zarzucił ratownikom opóźnienie w działaniu. – Niestety w tym przypadku ratownicy się nie sprawdzili. Prosiłem wcześniej, że trzeba zacząć akcję reanimacyjną, bo jestem ratownikiem, natomiast nie posłuchali – opowiadał mężczyzna. Rafał Wójcikowski miał 43 lata. Był doktorem ekonomii. Pracował jako wykładowca akademicki. Należał do stowarzyszenia KoLibier. Do Sejmu dostał się w 2015 r. z listy ruchu Kukiz'15 w okręgu piotrkowskim. (luz) ©©

Graj w kolory

z Multi Multi

NAGRODY DO WYBORU, DO KOLORU!

4 × nowy Citroën C3

10 × iPad mini 4 w kolorowym etui

6 × iPhone 7 w kolorowym etui

265 × iPod shuffle

- Zagraj w **Multi Multi** za min. 2,5 zł.
- Odbierz kupon **Multi Multi** z kodem Loterii.
- Sprawdź kod ze swojego kuponu Loterii na materiałach w kolekturach lub na www.multimulti.pl i od razu dowiedz się, czy wygrałeś!
- Jeśli odnalazłeś swój kod, skontaktuj się z infolinią Loterii pod nr 22 549 30 00.
- Masz na to czas do 17 lutego 2017 r.

Pamiętaj, zachowaj kupon Loterii z kodem!

Okres sprzedaży promocyjnej trwa od **od 16 stycznia** do wyczerpania puli kodów, nie dłużej niż **do 12 lutego 2017 r.**

Graj w punktach

Szczegóły i regulamin na www.multimulti.pl. Organizatorem Loterii promocyjnej jest Unique One Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 16 stycznia do wyczerpania puli kodów, ale nie dłużej niż do 12 lutego 2017 r. Infolinia 22 549 30 00 czynna od poniedziałku do soboty, z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy, w godz. 9.00-17.00. Koszt połączenia wg stawki operatora.



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kroplówka **histerii**

Włączyłem na chwilę TVN24, a tam redaktor Blumsztajn opowiadał z przejęciem o nielegalnym budzecie. Nie byłoby to warte wzmianki, gdyby nie fakt, że „nielegalności” dowodził argumentem, jakoby na salę kolumnową, gdzie go uchwalano wobec sejmowej obstrukcji prowadzonej przez PO i Nowoczesną w normalnym miej-

Czy Blumsztajn nie widział zdjęć? Nie wie? Na pewno wie. „Łże po prostu. Gratuluję wam łgarstwa, obywatelu!”. Oczywiście nikt z obecnych w studiu nie zwrócił mu uwagi.

Włączyłem innym razem, dzień później – „Fakty” mówią o kłopotach lidera KOD, atakowanego oskarżeniami przez jakiś nikczemny spisek. Jednak nie skupiają się na żadnych fakturach, tylko przypominają, jak zasłużoną organizacją jest KOD, organizator „najliczniejszych manifestacji w całych dziejach wolnej Polski”. Przypomnę – w marszu w obronie TV Trwam współorganizowanym przez Radio Maryja, PiS i Solidarność uczestniczyło kiedyś co najmniej 200 tys. ludzi, choć raczej zdecydowanie więcej. Marsz Niepodległości ściąga rocznie ponad 100 tys. Na najliczniejszej manifestacji KOD, urządzonej notabene przez PO, kibicująca jej „Wyborcza” zdołała się doliczyć

55 tys. Czy TVN nie zna tych liczb? Zna, ale... Gratuluję.

Tak codziennie. „Wyborcza” zwołuje na kolejny czarny protest krzyczącym tytułem: „PiS znowu chce wprowadzić zakaz aborcji!”. A chodzi o to, że do Sejmu wpłynęła petycja w tej sprawie – bynajmniej nie od PiS, ale od jednej z organizacji pro-life. Gratuluję. W innym miejscu leming podrywany jest „niusem”, że PiS chce rozwinąć tzw. centrum monitorowania zachowań rasistowskich. I znowu pretekstem jest petycja, która w tej sprawie wpłynęła do MSWiA. Gratuluję. I tak powinienem gratulować po kilka razy dziennie, bo te drobne kłamstewka sypią się nieustannie, bez przerwy, nikt nie ma siły i czasu ich prostować. I to one właśnie są przyczyną, przez którą karmieni nimi kodomici żyją w nieustającej histerii i paroksyzmie nienawiści do PiS – histerii, w której zdolni są posuwać się do wszystkiego. ©©

Drobne kłamstewka sypią się nieustannie, bez przerwy, nikt nie ma siły i czasu ich prostować

scu obrad, „nie wpuszczano posłów opozycji”. A było to kilka tygodni po ujawnieniu zapisów sejmowych kamer, na których wyraźnie widać, że posłowie PO i Nowoczesnej na sali kolumnowej byli, wchodzili tam i wychodzili, gdy chcieli.

PIECZEŃ RZYMSKA

O wierzeniach **ludów**



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Edgar Maddison Welch, 28-latek uzbrojony w karabin Colt AR-15 i pistolet kalibru 38, w porywie szlachetnych uczuć wtargnął do pizzerii Comet Ping Pong w Waszyngtonie. Chciał uwolnić dzieci trzymane tam rzekomo siłą i zmuszane do prostytucji przez okrutny gang kierowany przez Hillary Clinton. Naturalnie dzieci nie znalazł. Potem wyjaśnił, że najwyraźniej padł ofiarą fałszywej informacji w Internecie. Słowem – wykształcony, zdrowy na umyśle, przykładowy ojciec dwojga dzieci, uwierzył, że przebogata rodzina Clintonów bogaci się również na haniebniej prostytucji nieletnich.

Signum naszych unurzanych w postprawdzie czasów? Niekoniecznie. Dawno temu w Berlinie spotkałem polską nauczycielkę, która rzucając przykładami, przekonywała, że Żydzi od co najmniej stu lat nie robią nic innego, tylko spiskują przeciw Polsce i Polakom. Gdy pytałem, skąd czerpie tę wiedzę, usłyszałem: „Czytałam w jednej książce”. Cóż, odpowiednio podbechtany człowiek jest w stanie uwierzyć we wszystko.

Coraz trudniej jednak odmówić dziś walorów profetycznych wielu filmom fabularnym i powieściom sprzed lat, które opowiadają o losach ludzi żyją-

cych w specjalnie dla nich stworzonej sfigowanej rzeczywistości albo o tym świecie przekonanych. Kończą się różnie. Nie zawsze zwycięża prawda. Czasem bohater wariuje, a czasem świadomie wybiera życie w matriksie.

W związku z ostatnimi zawirowaniami w kraju obejrzałem kilka serwisów informacyjnych polskich telewizji. Włos się jeży na głowie. Już nawet nie chodzi o to, że informacja miesza się z komentarzem, a prowadzący jest stroną politycznej awantury. Te serwisy opowiadają dwie zupełnie różne i nieprzystające do siebie rzeczywistości.

Bardzo się o nas martwię. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Naczelnik może być jeden

Piotr „Liroy” Marzec (bez wątpienia jeden z najlepszych posłów tej kadencji) obmyślił, jak ułatwić życie kierowcom, tak aby nie musieli przechodzić korowodów, związanych z rejestracją każdego kolejnego auta. Stąd propozycja „jedna tablica, jeden pojazd”. Poseł Tomasz Jaskółka, gdy tylko pojawiła się propozycja zmian w ordynacji samorządowej, skierował do MSWiA pytanie o powody, dla których w radach polskich gmin zasiadają gigantyczne liczby radnych, co kosztuje ich budżety ogromne pieniądze. Posłowie Tomasz Rzymkowski i Bartosz Józwiak zebrali grupę posłów, którzy zgłosili przemyślaną oraz rozsądną projekt nowej ustawy o broni i amunicji autorstwa Ruchu Obywatelskiego Miłośników Broni. Co łączy wszystkie te osoby? Każda z nich to członek klubu Kukiz'15.

Komentując uczciwie życie polityczne, nie sposób mówić po prostu „opozycja to”, „opozycja tamto”, bo w ten sposób wrzucałoby się do jednego worka zasłużonych twórców ciamajdanu – panów Ryszarda i Grzegorza wraz z ich wesołymi gromadkami oraz ugrupowanie Pawła Kukiza, które pokazuje, jak powinna działać opozycja szanująca państwo i swoich wyborców. Zresztą nie tylko swoich (PSL zostawiam tu na boku jako nieco inny przypadek – na osąd jeszcze za wcześniej.)

W niedawnym sondażu IBRIS respondenci wskazali polityków, których ich zda-

niem mogliby w kolejnych wyborach być „liderami opozycji”. To określenie biorę w cudzysłów, bo nie wiadomo dokładnie, co miałyby oznaczać. Uznajmy, że badani rozumieli je jako bycie najważniejszą osobą w opozycji. Kukiz z ponad 17 proc. wskazań niewiele ustępował Donaldowi Tuskowi, zostawiając daleko w tyle pozostałych (kolejny, Kosiniak-Kamysz, miał poparcie 9 proc.). I nawet jeśli potraktować to badanie w kategoriach zabawy, to i tak pokazuje ono potencjał byłego lidera zespołu Piersi.

I tu, paradoksalnie, leży zagrożenie dla ugrupowania Pawła Kukiza. Wiele osób mogłoby mieć nadzieję, że to właśnie ono stanie się po kolejnych wyborach koalicjantem PiS, bo zdobycie po raz drugi przez partię Jarosława Kaczyńskiego samodzielnej większości jest mało prawdopodobne. Bardziej wolnorynkowy i wolnościowy Kukiz'15 byłby dobrą przeciwwagą dla etatystycznego i socjalizującego PiS. Tyle że Jarosław Kaczyński po doświadczeniach lat 2005–2007 nie będzie tolerował silnego koalicjanta. Dzisiejszych sprzymierzeńców PiS – Solidarnej Polski i Polski Razem – nie kojarzy zapewne 99 proc. elektoratu. Kukiza nie dałoby się tak ustawić. Dlatego próżne nadzieje na PO-PiS w nowej wersji. Im bliżej elekcji, tym bardziej ruch Kukiza będzie przez PiS atakowany, tak aby oczyścić sobie pole – mówiąc umownie – prawej stronie. Naczelnik może być tylko jeden. ©©

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 5 stycznia 2017 r. zmarł w Warszawie



gen. bryg. Janusz Brochwicz-Lewiński ps. „Gryf”

urodzony 17 września 1920 r. w Wołkowysku.

W latach 1938–1939 służył ochotniczo w 76. Lidzkim Pułku Piechoty. Podczas inwazji niemiecko-sowieckiej 1939 r. walczył w stopniu kaprala podchorążego w składzie Armii „Prusy”.

Od sierpnia 1940 r. żołnierz Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej w Lubelskim Okręgu ZWZ-AK.

Od sierpnia 1943 r. służył w oddziałach partyzanckich na Lubelszczyźnie. Dowódca plutonu w oddziale Hieronima Dekutowskiego „Zapory”.

Od marca 1944 r. instruktor wyszkolenia bojowego i terenoznawstwa w Batalionie „Parasol” w Okręgu Warszawskim AK. Dowodził wieloma akcjami zbrojnymi na terenie Warszawy.

Podczas Powstania Warszawskiego oficer 1. kompanii Batalionu „Parasol”. Dowódca obrony „Pałacyku Michła” oraz uczestnik walk na cmentarzach wolskich. Ciężko ranny, leczony w szpitalu polowym na Starym Mieście, ewakuowany kanałami do Śródmieścia.

Od października 1944 r. więzień obozu w Lamsdorf, następnie Oflagu VII-A Murnau.

Po wojnie zastępca dowódcy kompanii w Ośrodku Zapasowym 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Szkocji.

Od października 1947 r. oficer Brytyjskich Sił Zbrojnych.

W 2002 r. powrócił do Polski.

W latach 2009–2014 członek Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Uehonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.

Honorowy Obywatel Miasta Stołecznego Warszawy.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
p.o. Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Polska Grupa Zbrojeniowa SA to spółka skupiająca krajowe zakłady przemysłu obronnego. Została utworzona w 2013 r. i do tej pory pod szyldem PGZ skonsolidowano 60 kluczowych podmiotów o strategicznym znaczeniu dla bezpieczeństwa Polski, w których pracuje ok. 20 tys. ludzi. W Grupie znajdują się fabryki produkujące ciężki sprzęt artyleryjski, fabryki broni strzeleckiej, amunicji, rakiet, materiałów wybuchowych, odzieży ochronnej, specjalistycznych urządzeń optoelektronicznych i radiolokacyjnych, zakłady remontowe i spółki działające w branży stoczniowej oraz lotniczej. Słowem, PGZ to grupa kapitałowa, która zabezpiecza dostawy uzbrojenia oraz sprzętu dla wszystkich rodzajów wojsk i jest głównym partnerem resortu obrony w realizacji Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP.

NADZÓR MINISTRA OBRONY

– W strategii Polskiej Grupy Zbrojeniowej na najbliższe lata podkreśliśmy, że jesteśmy jednym z głównych elementów systemu bezpieczeństwa państwa – mówi Arkadiusz Siwko, prezes zarządu PGZ. – Fakt, który przypieczętował wkomponowanie PGZ w ten system, miał miejsce pod koniec 2015 r. Mówię o przejęciu przez ministra obrony Antoniego Macierewicza nadzoru właścicielskiego nad przemysłem obronnym skonsolidowanym w Polskiej Grupie Zbrojeniowej. To wydarzenie o znaczeniu fundamentalnym, ponieważ tylko taki układ gwarantuje sprawną komunikację i efektywną współpracę między przemysłem a stroną wojskową. Zadanie, które postawił przed nami resort obrony kierowany przez Antoniego Macierewicza, jest jasne. Jesteśmy głównym partnerem polskiej armii w procesie modernizacji technicznej – dodaje Arkadiusz Siwko, szef PGZ.

Zmianę, jaka nastąpiła w podejściu resortu obrony do polskiego przemysłu obronnego, symbolizuje zakup nowego karabinu dla kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego. W 2016 r. żołnierze otrzymali nowy karabin, którzy używający jest podczas uroczystości państwowych. Do tej pory salwy honorowe oddawane były z broni konstrukcji radzieckiej, która pamiętała jeszcze czasy Stalina. 3 maja ub.r. kompania reprezentacyjna WP po raz pierwszy w historii wystąpiła z karabinem w 100 proc. polskiej konstrukcji.



Grupa dla bezpieczeństwa Polski

Narodowy koncern obronny, Polska Grupa Zbrojeniowa SA, w ubiegłym roku podpisał wiele ważnych kontraktów na dostawę sprzętu i uzbrojenia dla Sił Zbrojnych RP.

– Czekamy na jeszcze wiele pracy. Zadanie, które postawił przed nami resort obrony kierowany przez Antoniego Macierewicza, jest jasne. Jesteśmy głównym partnerem polskiej armii w procesie modernizacji technicznej – mówi Arkadiusz Siwko, szef PGZ

Chodzi o MSBS-R wyprodukowany przez radomską Fabrykę Broni „Łucznik”.

KONTRAKTY DLA POLAKÓW

Chociaż PGZ powstała w 2013 r., w pierwszej fazie jej działania trwały procesy konsolidacyjne. Kontrakty zbrojeniowe wystrzeliły dopiero pod koniec 2015 r., kiedy funkcję objął obecny

zarząd Grupy. Pierwszą poważną umową podpisaną przez PGZ był kontrakt dotyczący modernizacji 128 czołgów Leopard 2A4 do standardu 2PL. Wartość tego zamówienia to ponad 2,4 mld zł.

Rok 2016 był pomyślny dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Kierowany przez prezesa Arkadiusza Siwko zarząd spółki rozpoczął proces budowania pozycji PGZ



Umowa na zakup 4 dywizjonowych modułów ogniowych Regina to największy kontrakt w historii polskiego przemysłu obronnego



W 2016 r. Polska Grupa Zbrojeniowa podpisała dwa listy intencyjne z amerykańskim koncernem Raytheon

na międzynarodowym rynku zbrojeniowym. Podpisano wiele porozumień, umów i listów intencyjnych z największymi koncernami zbrojeniowymi. Do najważniejszych należą dwa, które dotyczą współpracy z amerykańskim koncernem Raytheon, producentem systemu rakietowego ziemia-powietrze Patriot. Pierwszy z dwóch listów zakłada, że jeśli polski rząd wybierze ten system w ramach programu obrony powietrznej średniego zasięgu o kryptonimie Wisła, 50 proc. produkcji wykonają polskie zakłady przemysłowe skupione pod szyldem PGZ.

– To optymalny model współpracy z partnerami zagranicznymi. Będziemy

dążyć do jego realizacji także w przypadku innych podmiotów i innych projektów. Już teraz jednak mogę stwierdzić, że PGZ osiągnęła stabilną pozycję negocjacyjną z koncernami zagranicznymi – mówi Arkadiusz Siwko. – Co ważne, partnerzy w pełni rozumieją nasze stanowisko. To bowiem absolutny standard, robią tak niemal wszystkie państwa na świecie. Niektórzy dziwią się, że takiego stanowiska nie prezentowali nasi poprzednicy. Jednak nie byłoby to możliwe bez wsparcia, jakie otrzymujemy ze strony resortu obrony, i troski, jaką minister Antoni Macierewicz otacza przemysł obronny. To

właśnie jeden z efektów zmiany, o której mówiłem – dodaje szef PGZ.

Rok 2016 przyniósł wiele ważnych kontraktów skierowanych do polskiego przemysłu obronnego. Sama Fabryka Broni „Łucznik” podpisała ich kilka. Najważniejszy jednak był ten dotyczący czterech dywizjonowych modułów ogniowych o kryptonimie Regina. To także największy kontrakt dla polskiego przemysłu obronnego w historii o wartości blisko 5 mld zł. Na jego podstawie Huta Stalowa Wola SA – jedna z wiodących spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej – wyprodukuje niemal 100 armatohaubic samobieżnych Krab dla Sił Zbrojnych RP. Podczas podpisania tej umowy w Stalowej Woli obecni byli premier Beata Szydło oraz szef MON Antoni Macierewicz.

ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ KRAJU

W ub.r. Polska Grupa Zbrojeniowa podpisała też umowy na dostawę systemu przeciwlotniczego bardzo bliskiego zasięgu Pilica oraz przenośnych przeciwlotniczych zestawów rakietowych Piorun. Skorzystają na nich regiony, gdzie znajdują się spółki pełniące funkcję głównego dostawcy: system Pilica budują przede wszystkim Zakłady Mechaniczne „Tarnów”, a zestawy Piorun – zakłady Mesko ze Skarżyska-Kamiennej.

– Nasze zakłady są rozlokowane w całej Polsce. Dążymy do tego, żeby je rozwijać poprzez pozyskiwanie kolejnych zamówień. Polski przemysł ma ogromny potencjał, a odpowiednie zarządzanie tym sektorem spowoduje, że realnie będzie on kołem zamachowym polskiej gospodarki. To wielka branża, w państwowej zbrojeniówce pracuje ok. 20 tys. ludzi. Jej rozwój niesie więc ze sobą także wiele pozytywnych skutków społecznych. Już dzisiaj przemysł obronny kojarzony jest z dobrze płatną pracą dla wykwalifikowanych specjalistów. A wciąż dążymy do tego, żeby trafiły do niego najnowocześniejsze na świecie technologie. Rozwijając przemysł obronny, chcemy nawiązywać do tradycji dawnego Centralnego Okręgu Przemysłowego. Odbudowa tego potencjału to jedno z naszych podstawowych zadań – deklaruje Arkadiusz Siwko, prezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Materiał powstał we współpracy z Polską Grupą Zbrojeniową SA

NIE KAŻDY ŚPIEWAĆ MOŻE

Całkiem już zapomnieliśmy o istnieniu Mandaryny, czyli byłej żony Michała Wiśniewskiego, która gdy jeszcze była żoną aktualną, korzystając ze sławy męża, też postanowiła zrobić karierę muzyczną. Pamiętamy, czym się skończył jej występ w Opolu, gdy zaśpiewała na żywo, a nie z playbacku. Potem Mandaryna rozstała się z Wiśniewskim i show-biznesem. Zrezygnowała ze śpiewania i skupiła się na własnej szkole tańca. Dawno nie widziana udzieliła ostatnio wywiadu telewizji WP, w którym wyznała, że śpiewa już tylko pod prysznicem.

– Mandarynę wymyśliły dzieci w podstawówce, ja od tego nie uciekam. Ja w show-biznesie funkcjonuję jedną nogą. Jak potrzebuję, to wchodzę na tamtą stronę, a jak nie, to robię swoje. Taniec daje mi dużo satysfakcji i radochy. Śpiewam głównie pod prysznicem – opowiedziała. I najlepiej by już tak zostało.

UWAGA, DODA STRZELA!

Uwaga wszyscy hejterzy Dody! Piosenkarka pochwaliła się, że dostała pozwolenie na broń. Już rok temu po głośnym rozstaniu z narzeczonym Emilem Haidarem poinformowała, że stara się o takie pozwolenie. Mówiła wtedy, że Haidar ją nęka. Jej relacje z nim nadal nie są najlepsze. Eksnarzeczeni sądzą się o to, do kogo należy pierścionek zaręczynowy. Teraz Haidar musi się mieć na baczności. I nie



FOT. PIOTR TARASIEWICZ/EAST NEWS



FOT. RANIEL ORDMAN

tylko on. – Wiesz, ilu jest stalkerów? Nie trzeba daleko szukać – mówi Doda w wywiadzie dla „Super Expressu”.
– Mam pozwolenie na broń, mam prawdziwą broń w domu – chwali się. Strach teraz będzie coś złego o Dodzie napisać! A skoro tak, to obstawiamy, że nie będzie się pisać wcale. I to, proszę państwa, nazywa się strzał w stopę.

GENY KOŻUCHOWSKIEJ

Aktorka Małgorzata Kożuchowska jak każda szanująca się gwiazda lubi podkreślać, że urodę zawdzięcza wyłącznie naturze i nie musi o siebie przesadnie dbać. – Czerpię z genów – stwierdziła w ostatnim wywiadzie dla „Super Expressu”, w którym opowiedziała, jak bardzo nie ma czasu o siebie dbać. – Nie, nie mam czasu na SPA i dbanie o siebie, ale przed urodzeniem dziecka też nie wyglądało to szczególnie lepiej. Kiedy się pracuje tak intensywnie, jak ja pracuję, to tego czasu wolnego na taką pielęgnację i dbanie o siebie nie ma – mówi. Dodaje, że czasem gdy wyjeżdża, zdarzy jej się „gdzieś na godzinę wyskoczyć”. – Wyjeżdżamy zazwyczaj z rodziną i wtedy dzielę swoje przyjemne obowiązki bycia mamą i opiekę nad dzieckiem a takie chwile, żeby na godzinę gdzieś wyskoczyć. Idę wtedy na masaż albo maseczkę nawilżającą, czyli coś, czego też potrzebuję jako kobieta. Ale w ciągu takiego normalnego sezonu, kiedy jest praca, to się zdarza może dwa razy na pół roku. Więc zdecydowanie za mało, jeśli chodzi o efekty – kwituje. Jeśli tak wygląda zaniedbana Kożuchowska, to nie chcemy wiedzieć, jak wyglądałaby zadbana.

KRYMINAŁ Z PODRÓŻY

Jarosław Kret po licznych trudnościach na rynku pracy zahaczył się w telewizji, w której zatrudnienie znalazła jego ukochana Beata Tadla. I znów, jak za dawnych czasów, pracują razem w całkiem nowej telewizji, której poza rodzinami osób w niej zatrudnionych raczej nikt nie ogląda. Teraz gruchnęła wieść, że pogodynek postanowił napisać książkę. Ma to być „kryminał podróżniczy”. – Jadę do centrum Indii, kilka dni posiedzę w jednym miejscu, bo mam do napisania kilka rzeczy i muszę sobie w spokoju skończyć pisanie. Akurat te kilka dni się oderwę, nie będzie tam telefonu, bo jadę do wioski, więc skończę to – powiedział. – To jest taki kryminał podróżniczy, dosyć nowa kategoria, sam ją wymyśliłem – zdradził. Zaczynamy żałować, że Kret wyleciał z TVP. Wtedy przynajmniej nie miał czasu na głupie pomysły. ©©

16 polskich miast walczy o nagrody za 50 tys. zł dla potrzebujących!



Spośród miast z całej Polski, ponad 42 tys. osób głosujących w 8. edycji „Świeć się z Energą”, wyłoniło w pierwszym etapie ogólnopolskiego plebiscytu 16 najładniej świątecznie przystrojonych miejscowości w kraju. Zwycięstwo wojewódzkie i awans do finałowej rozgrywki plebiscytu zapewnił każdemu miastu nagrody o wartości 10.000 zł, które trafią do placówek społecznych. Miasto, które zdobędzie najwięcej głosów w finale, będzie miało szansę przekazać na cele charytatywne jeszcze więcej nagród – ich łączna wartość wzrasta do 50.000 zł. Kto wygra tym razem i otrzyma tytuł „Świętnej Stolicy Polski” oraz nagrody od Grupy Energa? Zamość, Częstochowa czy Radom, a może zeszłoroczny zwycięzca – Połczyn-Zdrój? Głosować można codziennie na SwiecSie.pl i przez SMS-y do 31 stycznia br.

Świeć się z Energą” to odbywająca się już od ośmiu lat ogólnopolska zimowa zabawa, w której wybierane są najpiękniej oświetlone miasta w Polsce. Te, które zdobędą najwię-

cej głosów mieszkańców i sympatyków, zdobywają nagrody z przeznaczeniem na cele dobroczynne. Plebiscyt podzielony jest na dwa etapy, a od 19 do 31 stycznia trwa finałowe głosowanie. W tym

roku w finale biorą udział: Legnica, Inowrocław, Zamość, Gorzów Wielkopolski, Rzgów, Bobowa, Radom, Nysa, Stalowa Wola, Łomża, Wejherowo, Częstochowa, Starachowice, Braniewo,

Kalisz, Połczyn-Zdrój, które powalczą o dodatkowe nagrody – nowoczesny sprzęt AGD (m.in. lodówki, zmywarki i kuchenki marki Electrolux) o wartości 40 tys. zł i możliwość pomocy kolejnym potrzebującym ze swojego regionu. Na miasta głosować można codziennie i bez ograniczeń przez stronę internetową SwiecSie.pl, w zakładce „Plebiscyt Świętła Stolica Polski”, poprzez aplikację „Plebiscyt miast” na portalu Facebook oraz poprzez SMS-y, wysyłając wiadomość o treści MIASTO (numer konkretnego miasta podany jest na stronie SwiecSie.pl przy każdym zdjęciu) na nr 71750 (koszt SMS-a to 1,23 zł z VAT). Akcja „Świeć się z Energą” to również indywidualny konkurs fotograficzny – do 31 stycznia trwa II etap głosowania na najładniejsze fotografie. Zdjęcia oceniać będą internauci oraz jury konkursowe. Na zwycięzców czekają atrakcyjne nagrody, a na zdobywcę Grand Prix warsztaty fotograficzne z przewodniczącą jury – Lidią Popieł! Konkurs fotograficzny to także zabawa w mediach społecznościowych – biorą w niej udział wszystkie zdjęcia oznaczone #SWIECSIE do 31 stycznia. Oprócz głosowania na najładniej oświetlone miasta oraz konkursowe fotografie swoje głosy można oddać do 31 stycznia również na ulubione miejsce zakupowe w plebiscycie „Jaśnie galeria”. Oficjalne ogłoszenie wyników akcji 10 lutego 2017 r. Organizatorami „Świeć się z Energą” są Energa SA i Grupa Wirtualna Polska.

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH ŌŚRODKÓW



Kochani, trwa nasz korpopucz połączony z okupacją open spejsa, chociaż powinniśmy tracić energię, nie mówiąc już o tym, że zdążyliśmy zapomnieć, przeciwko czemu tak naprawdę protestujemy i jakie są nasze oczekiwania.

W dodatku kolega gej, który ogłosił się kierownikiem puczu, zauważył, iż odkąd puczujemy, spadły nam lajki na fejsie i być może nie trafiamy w oczekiwania wszystkich członków naszego osobokolektywu.

W tej sytuacji chyba będziemy musieli ustąpić z open spejsa i w jakiś sposób porozumieć się z Nowym z Tarnowa, jakkolwiek byśmy go winili o upadek demokracji w korpo, obniżenie standardów i uwsteczniczenie obyczajów (kotlet na obiad zamiast kiełków na lunch, sami wiecie)...

Zniepokojem obserwujemy drugą falę zainteresowania mieszkańców tego kraju skokami narciarskimi. Pierwsza dotknęła nas bardzo mocno, iż będąc jeszcze w wieku nastoletnim, byliśmy zmuszani, iżby do niedzielnego kotleta oglądać popisy wąsatego skoczka z Wisły (Bez sensu. Jak można mieszkać w rzece?!).

Zainteresowanie drugą falą podjęliśmy natomiast sami, iż skłoniło nas do tego socjologiczne zacięcie. Dlatego też z uwagą śledzimy tęsknotę wąsatych januszów, którzy prawdopodobnie w osobach polskich skoczków nietolerancji kompensują sobie lata nienawiści wobec Niemców, z którymi chwilowo polscy skoczkowie wygrywają.

Poza tym taki Stoch czy Żyła realizują tęsknotę przeciętnego janusza za lataniem. Taki janusz przecież ze swoją grażyną za „500+” jeździ nad morze pociągami z kuszetką albo starym polonezem na ropy, iż boi się nowoczesnych technologii w postaci samolotu. Jak więc widzicie, nic nie jest tak oczywiste, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

pełnienia wbrew swojej woli roli symbolicznego eksponatu w trakcie churchingowego festiwalu Winter Holidays, a ostatecznie – po tym, jak już jest ususzona i ogołocona z igieł – trafia na śmietnik.

Of kors nie byłoby tego, gdyby nie ciche przyzwolenie kleru i prawicy na przedmiotowe traktowanie osobochoinek, które tak naprawdę nosi znamiona współczesnego niewolnictwa. Gdybyśmy to my mieli decydować, każda osobochoinka trafiałaby z powrotem do lasu, gdzie w spokoju sama mogłaby o sobie decydować i wybierać, którego obrządku symbolem chciałaby zostać lub czy nie wolałaby zachować neutralności światopoglądowej.

Trwa beka z Wiltolda Waszykowskiego, iż wynalazł państwo San Escobar. Of kors my wiedzieliśmy o takim państwie znacznie wcześniej, iżby kto pytał.

Co więcej – kolega-gej jest wielkim fanem sanescobariańskiego kina moralnego niepokoju, a my przynajmniej raz w roku staramy się sprowadzić do tego kraju paczkę fairtrade'owej kawy zebranej

przez sanescobariańską komunę osobolesbijkę.

Tak więc beka, iż pisiory tak późno odkrywają świat. Mamy nadzieję, iż przynajmniej zaczęli już obchodzić sześciu króli xDDD ©©



Bardzo boli nas to, co widzimy w tej chwili przed wieloma domami w tym kraju – mianowicie przedmiotowe traktowanie osobochoinek, które masowo trafiają na śmietniki, zupełnie jakby były starymi i niepotrzebnymi rzeczami.

Boli nas to, iż choinka najpierw jest przemocą wyrwaną z naturalnego środowiska, następnie wykorzystywana do



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

Polska zyska na szczycie w Davos?

Królowe, królowie, książęta, premierzy, prezydenci, ministrowie i eksperci. To skrócona charakterystyka aż 3 tys. uczestników tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Wśród panelistów był również wicepremier i minister rozwoju oraz finansów Mateusz Morawiecki.

Jak podało TVP Info, Mateusz Morawiecki zapowiedział, że efektem tegorocznych rozmów w Davos mogą być kolejne duże inwestycje zagraniczne. – Odbyłem kilka niezwykle obiecujących rozmów z przedstawicielami sektora motoryzacyjnego, [...] z firmami z sektora finansowego oraz rozmowy na szczeblu polityczno-gospodarczym, m.in. z głównym ekonomistą agencji ratingowej S&P. Rozmowy te bardziej się przekładają na rzeczywistość, niż jeszcze rok temu mi się wydawało – przyznał polski wicepremier.

Uczestnicy 47. forum w Davos dyskutowali również o przyszłości amerykańskiej i światowej gospodarki pod rządami zaprzysiężonego w ubiegłym



Wicepremier Mateusz Morawiecki FOT. EPA/PAP

tygodniu prezydenta Donalda Trumpa, a także o konsekwencjach Brexitu.

Premier Theresa May próbowała zapewnić przedstawicieli społeczności międzynarodowej, że Wielka Brytania

w wyniku historycznego referendum, w którym zwyciężyli zwolennicy opuszczenia Unii Europejskiej, nie odwróci się od „naszych przyjaciół w Europie”, globalizacji ani wolnego handlu. (jap) ©©

REKLAMA

Tanie ubezpieczenie od pożaru



Wystarczy tylko chwila
i masz polisę na dom i mieszkanie
ZADZWOŃ! 22 444 44 44

Składka: mieszkanie niewynajmowane własnościowe w Kielcach pow. 44m2, suma ubezpieczenia 150 tys. zł, rok budowy 2001, piętro I, brak szkód w ostatnich 3 latach, ubezpieczenie murów i elementów stałych od zdarzeń losowych. Oferta dla nowych Klientów LINK4



LINK 4

Wszyscy ostatnio gadają o „Uchu Prezesa”, to i my coś dodamy. Otóż z dobrego źródła wiemy, że nie jest prawdą, jakoby jedynym zastrzeżeniem Prezesa do „Ucha Prezesa” były mylne informacje na temat kota Prezesa.

Żeby było jasne – Prezes nie ma zastrzeżeń do sposobu przedstawienia w „Uchu Prezesa” postaci Prezesa. Dotknęło go natomiast to, jak przedstawiono panią Basię. I my to rozumiemy. Pani Basia w realu nie jest bowiem słodką idiotką, lecz polskim odpowiednikiem sir Humphreya z serialu „Tak, panie ministrze”: czy niewinne, a na końcu i tak wszystko układa się po jego myśli.

Teraz o innym prezesie. Polskiego Radia. Wiewiórki opowiadają, że do nowego zarządu trafią dwie osoby: Jacek Sobala i dotychczasowa prezes Barbara Stanisławczyk. Tak przynajmniej kombinuje Rada Mediów Narodowych. Niestety nie wiadomo jeszcze, kto z tej dwójki miałby być głównym prezesem. Wiadomo za to, że obiecano to obojgu.

Skoro jest o radiu, to musi być i o telewizji. Wiewiórki dementują wiadomość o tym, jakoby Joanna Klimek, nowa życiowa partnerka Jacka Kury-Kurskiego, była przy nadziei. To w sumie najciekawsza wiadomość z TVP od ładnych paru tygodni. Poprzednią najciekawszą była ta, że jest przy nadziei.

dwaj panowie g

Skandal! Dyktatura! Posłowie protestanci dostali pisma, w których marszałek Tadeusz Niemy Kuchciński domaga się wyjaśnień. To niebywałe! Co będzie dalej – podtapianie, Syberia czy może przymusowe słuchanie piosenek Joanny Muchy? W dodatku Kuchta powołuje się w piśmie na jakiś regulamin! To już zwyczajny faszyzm.

Apropos protestantów sejmowych. Rzecz działa się przy Wiejskiej w gorących dniach, tuż przed zakończeniem protestu. Tutaj negocjacje u marszałka Karczewskiego, tam premier Bełata dyskutuje z Kaczorem-Dyktatorem, jeszcze gdzie indziej Grzegorz Schetyna bryluje na briefingu. A w całym tym zamieszaniu przechadza się Joanna Schmidt, prywatnie posłanka Nowoczesnej Kropki Ryśka Petru, i narzeka przed partyjną koleżanką: – Tyłu dziennikarzy w Sejmie, a nikt się mną nie interesuje.

Dużo ostatnio było hałasu na temat budżetu, a największego skandalu nikt nie wyciągnął. A sprawa jest poważna, bo chodzi o 300 zeta. Tyle bowiem wynosi w Polsce miesięczny dodatek funkcyjny dla ministra za pełnienie jednocześnie funkcji wicepremiera. Wnosimy o konwalidację budżetu i przeznaczenie na ten cel przynajmniej 320 zeta miesięcznie na głowę. Inaczej i my uznamy budżet za nielegalny.

Tymczasem w Brukseli. Jest nowy szef europarlamentu – Antonio Tajani. To miły gość. Tym, których lubi, daje w prezencie szaliki Juventusu Turyn. Jest i nowy stary wiceszef europarlamentu – Rychu Henry Czarnecki. On z kolei bardzo lubi dostawać szaliki.

Zlamusa ciekawostek: w 2012 r. Jacek Protasiewicz z rządzącej wtedy PeŁo został wybrany na wicka europarlamentu 204 głosami i zajął miejsce 14. W 2017 r. Richard Henry z rządzącego obecnie PiS dostał 328 głosów i miał miejsce 6. Zaiste, izolacja kaczystowskiej Polski w europarlamencie postępuje lawinowo.

Kulisy ostatnich wyborów są bardzo ciekawe. Ostatecznie o wyborze Tajaniego zdecydowało zawarcie porozumienia między Europejską Partią Ludową (w tej frakcji jest PeŁo) a Europejskimi Konserwatystami i Reformatorami (w tej frakcji jest PiS). W wyniku porozumienia ludowcy wystawiający Tajaniego poparli m.in. Richarda Czarneckiego oraz Karola Karskiego (na kwestora), a w zamian dostali głosy konserwatystów na Tajaniego właśnie. Przeciwno dealowi okrutnie protestowali europosłowie PeŁo, ale spacyfikował ich





FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

nie kto inny, jak Manfred Weber z Niemiec. Wije nowe z Berlina.

Bardzo interesujący przebieg miała bibka z okazji premiery książki znanego esbeka-jezuity Tomasza Turowskiego. Wszystko to działo się w środę 18 stycznia w Hybrydach. Silna ekipa z Departamentu I SB MSW świętowała w małej salce hucznie i na wódcę nie oszczędzając. Niestety, by dojść do toalety, uczestnicy imprezy musieli przejść przez dużą salkę. Tam zaś odbywało się wielkie kolegowanie z okazji założenia Klubu „Gazety Polskiej” Warszawa 2, a wodzirejami byli znany opozycjonista Adam Borowski tudzież partyzant wolnego słowa Tomasz Sakiewicz. Protestujemy przeciwko tym szykanom. Najpierw Dobra Zmiana zabrała esbekom emerytury, teraz nie pozwala nawet spokojnie się napić!

Wreszcie dobra wiadomość z „Wyborczej”. Prężnie rozwijająca się gazeta wysyła korespondenta do Antarktyki, by relacjonował na bieżąco, jak topnieją lodowce. Nie, to nie jest żart.

Próbowałem zrobić przewrót,
ale okazało się, że mam
za krótkie łapki...



CE ZARY KRYSZTOF BLOPPUBLIKACJA

Przypomniało nam się, jak niedawno na spotkaniu w Koszalinie Adam Michnik musiał się gęsto tłumaczyć, dlaczego nie ukazuje się tam lokalny dodatek do „Wyborczej”. Opowiadał coś o pustkach w kasie wywołanych prześladowaniami ze strony Dobrej Zmiany. Mamy dla mieszkańców Koszalina prostą radę: jeśli chcecie mieć reporterów „Wyborczej”, to ściągnijcie sobie lodowiec.

Wtefauenach króluje ostatnio dziwny osobnik wyglądający trochę jak Marek Grechuta, ale z fryzurą w stylu wczesnych hipisów. To prezydent Sopotu Jacek Karnowski, który w ramach walki z PiS zapuścił włosy i już niedługo będzie miał je tak długie jak Krzysztof Mieszkowski z Nowoczesnej albo może

Eksperyment z przywódcami
demokracji na Węgrzech
i w Polsce w zasadzie
się nie powiodł, ale jak
to mówią „do trzech
krzy sztuka”, spróbujemy
jeszcze w USA...



CE ZARY KRYSZTOF BLOPPUBLIKACJA

i sam Wielki Kuc Kijowski. Obserwujemy tę przemianę z dużym zainteresowaniem, zawsze ciekawili nas mężczyźni, którzy mają dużo za uszami.

Apropos Wielkiego Kuca Kijowskiego. W oświadczeniu o tym, że nie rezygnuje z funkcji Naczelnego KOD-ucha, napisał m.in.: „Ostatni rok mojego życia związał mnie z KOD-em na dobre i na złe”. Już wyjaśniamy, co to znaczy. „Na dobre”, czyli faktur na 91 tys. zł plus może jakieś drobne ze zbiórek dla Polonii. „Na złe” – a to już oceni prokurator.

Bardzo spodobało nam się też inne zdanie: „Z dosyć powszechnie znanych informacji zrobiono sensację”. Wyjaśniamy znaczenie zwrotu „dosyć powszechnie znana informacja”. Na przykład: „informację o fakturach mamy ja, żona, skarbnik – i dosyć”.

Wydawca Tadeusz Zysk, przyszły kandydat na prezydenta Poznania z ramienia Dobrej Zmiany, zadziwił świat deklaracją, że chce współprodukować serial telewizyjny o powstaniu wielkopolskim. Jesteśmy za tym, by w podobną promocję swoich miast zainwestowali inni prezydenci. Na przykład prezydent Gdańska Paweł Adamowicz też mógłby wyprodukować serial o powstaniu. Konkretnie o powstaniu Amber Gold.

Mamy sukces. Tylko wytknęliśmy warszawskiemu ZTM, że przystanek autobusowy w Rembertowie przy Akademii Sztuki Wojennej nazywa się po staremu (AON – Akademia Obrony Narodowej, choć ta przestała istnieć), a już błąd naprawiono. W sposób dość dziwny, przyznajemy. Teraz zamiast „Rembertów AON” jest „Rembertów Akademia”. Reszta nazwy w domyśle. Pana Kleksa? ©



Piotr Semka

To był chyba najważniejszy miesiąc w całej politycznej karierze Jarosława Kaczyńskiego. Lider PiS nie dał się sprowokować, wytrzymał wojnę nerwów i niczym szachista ograł opozycję

Polityczny egzamin zaczął się 10 grudnia, gdy pikietą „Obywateli dla demokracji” próbowała zablokować miesięcznicę smoleńską. Nabral przyspieszenia 16 grudnia, gdy opozycja zaczęła okupację Sejmu, miał swoje apogeum podczas dramatycznej nocy z 16 na 17 grudnia i znalazł swój pozytywny dla lidera PiS finał, gdy 12 stycznia Grzegorz Schetyna skapitulował i wyszedł z sali plenarnej na czele posłów PO z opuszczonymi głowami.

Dzisiaj coraz wyraźniej zaczyna być widoczne, że okupacja sali sejmowej i próba zablokowania Sejmu przez KOD były obliczone na wytrącenie Kaczyńskiego z równowagi. Już kiedyś lider PiS dał się sprowokować. W 2007 r., w debacie Tusk-Kaczyński, Platforma złamała ustalenia ze sztabem PiS i zachęciła obecną na sali młodzieżówkę PO do głośnych śmiechów i buczenia, które wyraźnie zmąciły spokój Kaczyńskiego. Zapamiętano sobie dobrze, że lider PiS nie cierpi arogancji młodych wobec starszych.

SZUKAJĄC ZADYMY

Wiele wskazuje, że teraz chciano wykorzystać to znowu. Show posła Michała Szczerby – demonstracyjnie poucającego przy śmiechach z ław PO „kochanego pana marszałka”, że muzyka łagodzi obyczaje – mógł być obrazkiem, który miał wyprowadzić z równowagi Kaczyńskiego, a nie Marka Kuchcińskiego. A podjęta zaraz potem decyzja o okupacji sali plenarnej mogła mieć na celu skłonienie lidera PiS do żądania siłowego jej opróżnienia przez straż marszałkowską. Okazji do bycia ofiarą szukano już zresztą parę dni wcześniej. Pomyśl, aby 10 grudnia zablokować miesięcznicę smoleńską, dotykał najczulsze miejsce w emocjach Kaczyńskiego – pamięć o zmarłym bracie. A siłowe rozbięcie pikiety otworzyłoby pole do kolejnych protestów opozycji.



FOT. STEFAN MACZEWSKI/REPORTER

W czasie miesięcznicy rozróżba się nie udało, ale już okupacja sali sejmowej mogła skłonić PiS do użycia siły. Zakładano, że rządzącym tak bardzo musi zależeć na uchwaleniu budżetu, iż będą chcieli siłą zwolnić salę posiedzeń.

W razie wyrzucenia posłów opozycji, co wywoływałoby zapewne sprzeciw Kukiz'15 i PSL, kolejnym etapem planu podkręcania emocji mogło być zebranie się już całej opozycji w osobnej sali i zażądanie mediacji Brukseli w sporze. Jeśli w nocy dodatkowo doszłoby do zamieszek i tłum pod Sejmem by gęstniał lub gdyby założono w Sejmie „majdan”, to „przypadkowo” obecny następnego dnia we Wrocławiu Donald Tusk mógłby przyjąć zaproszenie do mediowania w imieniu Brukseli w sprawie rozwiązania kryzysu.

Dlaczego na taki kryzys wybrano grudzień? Składa się na to kilka powodów. Po pierwsze, kryzys wybuchłby w czasie rocznic wydarzeń z lat 1970 i 1981, co zaznaczył sam Tusk, przypominając w przemówieniu we Wrocławiu o kontekście „polskich grudniów”. Po drugie, w grudniu skończyła się kadencja prezesa Trybunału Konstytucyjnego Andrzeja Rzeplińskiego, co wygaszało jeden z frontów wojny polsko-polskiej. Po trzecie, tylko jeszcze w grudniu u władzy w Brukseli było trio Martin Schulz, Jean-Claude Juncker i Donald Tusk. Wiadomo było, że w styczniu zostanie wybrany nowy szef europarlamentu, a niedługo potem Tusk może utracić swoje stanowisko. Zastanawia też fakt, że 2 grudnia do Warszawy przybył na kongres ALDE i spotkał się z Ryszardem Petru sam Guy Verhofstadt.



powaga ma znaczenie

Kaczyński nie dał się jednak sprowokować. Zamiast szturmować salę plenarną, marszałek Kuchciński postanowił, że głosowanie nad budżetem zostanie przeniesione do Sali Kolumnowej. Policja interweniowała w nocy z 16 na 17 grudnia tak umiejętnie, by nie dopuścić do anarchii, ale na tyle elastycznie, że nie doszło do większych starć. Jeśli były dymy, to z rac demonstrantów, a nie od gazu służb porządkowych. Co by było, gdyby do bójek doszło? Odpowiedź na to pytanie zawiera się w jednym z tweetów z tamtej nocy: „Puścili gaz, to ich moralny koniec”. Równie pouczające są fragmenty z napisanego wówczas tekstu Sławomira Sierakowskiego o „końcu Kaczyńskiego”, o KOD, który nagle wziął wiatr w żagle, i ludziach, którzy przesyłają do siebie „wystąpienia polityków na komórkach”

– typowe atrybuty kolorowych rewolucji. Jednak przemocy władzy nie było. Symulant z „Krytyki Politycznej” musiał kłaść się na jezdni, aby udawać ofiarę policji, bo prawdziwych poszkodowanych nie było.

Kaczyński tę wojnę nerwów wytrzymał i w perspektywie kolejnych dwóch tygodni wygrał. Dzisiaj ten sam Sierakowski z irytacją ogłasza, że opozycja „sfajdała się w majtki ze strachu i wyszła”. A sondaż IBRIS pokazał, że po całym kryzysie notowania PiS wzrosły o 5,1 proc.

ZDETERMINOWANY W KRYZYSIE

Najważniejszy egzamin w całej karierze Kaczyńskiego? – zdziwi się ktoś. A wygrana dwóch kampanii w 2005 r.? A premierostwo z lat 2006–2007? A wytrzymanie szoku po śmierci brata?

To wszystko niełatwe próby, ale wybory wygrane w 2005 r. były udziałem dwóch braci. Natomiast w przypadku rządu z lat 2005–2007 czy dramatycznych wydarzeń lat 2010–2011 były to wydarzenia przegrane lub związane z osobistym bólem i wyzwaniem zwyciężenia rozpacz.

Teraz Jarosław Kaczyński stanął wobec niezwykle groźnego dla jego formacji kryzysu politycznego i wygrał go, rozgrywając jego poszczególne etapy jak szachista. Wygrał, bo miał lepszą intuicję i większą determinację. Czy to znaczy, że nie miał w ciągu tych dramatycznych tygodni poczucia tańca na linie nad przepaścią? Gdyby tak było, nie musiałby szukać siły do sprostania powadze sytuacji na Jasnej Górze, dokąd wybrał się z czołówką polityków PiS. Gdyby

■ kryzys był banalny – nie używałby ex post mocnego i często wykpiwanego słowa „pucz”.

Ani razu jednak nie usłyszeliśmy żadnego niekontrolowanego wybuchu złości na opozycję. Nie było decyzji podejmowanych w pośpiechu lub pod publiczność. Te zimne skuteczność i metodyczność z czasem zaczęły wyprowadzać opozycję z równowagi. Skąd wzięła się ta siła psychiczna?

WROGOWIE I KPINY

Jarosław Kaczyński nie pasuje do dzisiejszego świata. Jego przeciwnicy kpią z tego od ponad dwóch dekad. Ile razy czytaliśmy sugestie, że jako człowiek bezzenny musi być nienormalny? Niekiedy łączyło się to z wulgarnymi sugestiami. Tak jak wtedy, gdy rzecznik prezydenta Lecha Wałęsy kpił na temat zaproszenia do Belwederu „Jarosława Kaczyńskiego z mężem”. W noc wyborczą 2005 r. jeden z liderów PO bawił zebranych w sztabie Tuska opowieścią, jak to raz rzekomo miał na plaży w Sopocie spotkać liczne rodziny z dziećmi, a w samym środku samotnego Kaczyńskiego z kotem. Niemieckie gazety w wulgarny sposób spekulowały, dlaczego Kaczyński mieszka tylko z matką.

Kpiono, że człowiek bez własnego konta w banku i bez prawa jazdy nie może wiedzieć nic o problemach Polaków. Pamiętam, jak w trakcie wyborów prezydenckich w 2010 r. politycy PO kpili w kuluarach Sejmu, czy w razie wygranej lidera PiS nowa pierwsza dama będzie korzystać z kuwety. Wielu czytelników może oburzyć się, że przypominam ten słowny rynsztok. Jednak bez pamięci o tym nienawistnym szambie nie zrozumiemy, jakiej siły psychicznej wymagało zniesienie wszystkich tych ataków na to, co dla każdego najbardziej cenne – osobistą godność. Niekiedy Kaczyński, szczególnie w czasie posiedzeń Sejmu w epoce Tuska, nie wytrzymywał. Atakował na odlew. I wtedy zazwyczaj przegrywał.

To wszystko jednak hartowało. To słowo w dzisiejszym świecie jest wyjątkowo niemożliwe i budzi irytację. Duchem epoki jest życie chwilą, uleganie przyjemnościom i nietraktowanie żadnych idei zbyt serio. Na tym tle liberalne media przedstawiały człowieka skupionego na polityce i idei – raz jako śmiesznego dziwaka, innym razem jako groźnego psychopata.

W politycznej karierze miał dwóch groźnych przeciwników. Pierwszym był

Lech Wałęsa, który znienawidził go po tym, jak odkrył, że Kaczyński nie da się ani przekupić, ani zastraszyć. Drugim był Donald Tusk, który utożsamiał lidera PiS z bolesnym wywleczeniem na światło dzienne wstydlivej przeszłości jego dziadka, a potem uznał Kaczyńskiego za wroga liberalnej wizji świata i posiadania przez PO na wyłączność prawa do rządzenia Polską.

Obaj ci rywale na dłuższą metę nie potrafili jednak dotrzymać kroku Kaczyńskiemu w marszu przez wyboistą drogę polskiej polityki.

Wałęsa, mimo fantastycznej szansy, jaką dała mu historia, sam wykasował się z polityki, najpierw stając się faktycznym niewolnikiem Mieczysława Wachowskiego, a potem przegrywając kontynuację prezydentury z Aleksandrem Kwaśniewskim. Wałęsa nigdy nie założył własnej partii – nawet „prezydencka partia” BBWR była kaprysem bez konsekwencji politycznych. Gdy Wałęsie nadskakiwali liderzy najrozmaitszych chadecji i partyjek ludowych – ówczesny prezydent ich zwodził, wierząc, że z racji swojej niepowtarzalnej pozycji zawsze będzie wielkim rozgrywającym bez potrzeby budowania własnej formacji. Tusk już nie popełnił błędu Wałęsy – od Kaczyńskiego nauczył się, że bez silnej partii nie będzie zwyciężał w polityce. Cóż z tego, gdy w końcu uległ pokusie kariery międzynarodowej i zostawił swoich podwładnych z PO na pastwę losu?

POLITYKA NA SERIO

Kaczyński od początku lat 90. marzył o własnej partii. W tym politycznym „marszu przez pustynię” nauczył się stawiać na ludzi całkowicie sobie oddanych. Tylko tak mógł zbudować aparat, który umożliwił mu wygranie podwójnych wyborów w 2005 r. i przetrwanie ośmiu chudych lat 2007–2015. Żaden ze współczesnych polityków, może z wyjątkiem Leszka Millera, nie wykonał tak żmudnej i ciężkiej pracy.

Wiele atramentu wylano na opisanie banalności i wad takiej żelaznej gwardii. Groteskowość takiego systemu władzy w PiS trafnie punktuje ostatnio „Ucho prezesa”. Jednak w takich chwilach przeciążeń jak ostatni kryzys sejmowy lider PiS ma do dyspozycji aparat, który wytrzymał presję medialną i polityczną, działający jak dobrze naoliwiona maszyna. W polityce to bardzo dużo.

Jest jednak głębsza przyczyna ostatnich sukcesów Jarosława Kaczyńskiego.

To traktowanie swojej roli polityka na poważnie. W ciągu ostatnich trzech dekad nie uwiodły go pokusy romanów, szybkich samochodów, wielkich pieniędzy, geszeftów na zabicie kasy na boku. Nie odreagowywał nerwowych sytuacji alkoholem czy wciąganiem „kresek”. Ci, którzy nie potrafili się bez tego obyć, rewanzowali się liderowi PiS nienawistnymi opowieściami o ponurym mnichu polityki kierującym swoją partią z partyjnej celi klasztoru PiS przy Nowogrodzkiej. A jednak to skupienie się na jednym celu stworzyło lidera o nieporównywalnej z rywalami skali politycznej intuicji i skuteczności.

Wiosną 1989 r. zdarzyło mi się słuchać wykładu zapomnianego już nieco krakowskiego konserwatysty Mirosława Dzielskiego. Najmocniej utkwił mi w pamięci fragment wystąpienia, w którym wskazywał on na pewien paradoks. W Polsce większość Polaków ma konserwatywne poglądy, ale w swojej historii nie miała szczęścia do konserwatywnego lidera. Jeśli taki się wyłoni po prawej stronie, to ma spore szanse na trwały sukces.

Słowa Dzielskiego przypomniałem sobie w 1990 r., gdy swoją dynamiczną kampanię prowadził Lech Wałęsa i szybko zepchnął w polityczny na- rożnik polityków solidarnościowej lewicy. Pamiętam wtedy pełne nadziei głosy – wreszcie prawa strona ma tego wymarzonego lidera. Było to złudzenie – Wałęsa grał wyłącznie na siebie, zbyt wiele myślał o zbiu osobistego majątku, a na dodatek wiele energii wkładał w ukrycie swej przeszłości „Bolka”. W lukę po Wałęsie wszedł na 10 lat Aleksander Kwaśniewski. Jednak i jego dopadły słabości – alkohol i nawyk życia na wysokiej stopie, co pchało go do tak kompromitujących „fuch” jak udział w radzie jednego z postsowieckich satrapów środkowej Azji.

Powtórzmy raz jeszcze. Kaczyński nie dostał stanowiska szefa najsilniejszej partii prawicy za darmo. Sam sobie ten tytuł ciężko i żmudnie wywalczył.

Tacy liderzy łączący w sobie pracowitość i talent trafiają się partiom raz na wiele lat. W RFN byli to Konrad Adenauer, Helmut Kohl, a dziś Angela Merkel. W Wielkiej Brytanii była to Margaret Thatcher. W jej filmowej biografii jest znamienna scena, gdy amerykański dyplomata w trakcie dyskusji, czy podejmować zbrojną akcję odbicia Falklandów,

delikatnie chce zasugerować, że jako kobieta niewiele wie o walce. Thatcher przerywa mu wzburzona: „Prowadziłam bitwy każdego dnia mojego życia. Co pan mi tu opowiada!”.

WAKACJE PONAD WSZYSTKO

Dopiero pamiętając o tej życiowej szkole Kaczyńskiego, możemy zrozumieć, w jak dużym stopniu w grudniowej rozgrywce o Sejm nieoczekiwanym atutem lidera PiS stał się format jego rywali.

Objawili się nam jako ludzie opasani przez małe słabości. Maciej Klawikowski, pierwszy koordynator KOD we Francji, zapowiedział, że wkrótce „opublikuje rachunki z perfumerii i markowych sklepów w Paryżu i La Rochelle,

płaci na swoje dzieci, a zbiórki publiczne sympatyków ruchu na jego rzecz traktuje jako źródło osobistego dochodu. Czy chcemy, czy nie, to kot plus brak pędu do gromadzenia dóbr luksusowych bardziej przemawiają do wyobraźni mas w kwestii czystej idei niż kodowanie pod tą ideą wolnego państwa niewoli własnych potrzeb i chuci. Taka refleksja i propozycja, by opozycja może kupiła sobie kota, zamiast koronować kolejno głowy liderom cierniową koroną... Niestety okazuje się po czasie, że cierni brak, a we włosach rozkwita róża... całkiem dobrze nawożona. Fałszywy prorok, co wino w wodę zamienia lub wypija je sam, nie porwie narodu. Naród bowiem głupi nie jest” [pisownia oryginalna – przyp. red.].

opozycji była przewidywalna do bólu. Petru nazwano pożytecznym idiotą prezesa PiS za to tylko, że rozważał ugodę, a Schetynę zaczęto chwalić za nieustępliwość. Nie minął jednak tydzień, a Schety na sam skapitulował, nie uzyskując nawet jednego symbolicznego ustępstwa. Opozycja niczego nie nauczyła się ze sporu o Trybunał Konstytucyjny. Kto dziś pamięta, jak w styczniu 2016 r. Jarosław Kaczyński zaproponował kompromis w sprawie TK?

W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” Kaczyński stwierdził, że jego partia nie chce większości (desygnowanych przez nią sędziów) w Trybunale. Zaproponował, by siedmiu pochodziło z partii rządzącej, a ośmiu – z opozycji. Wymagałoby to zmiany konstytucji, czego nie dałoby się dokonać bez zgody partii opozycyjnych. Opozycja odrzuciła to z oburzeniem. Kaczyński zacisnął zęby, przetrzymał debaty w Strasburgu i misje Komisji Weneckiej. Doczekał się w końcu dymisji prezesa Rzeplińskiego i ma znacznie większe pole manewru, niż gdyby rok temu opozycja przyjęła jego propozycję w sprawie TK.

Teraz zachęca opozycję do porzucenia „drakopolityki” i jakiegoś modus vivendi w parlamencie. A jednocześnie chce zmian w regulaminie Sejmu, aby uniknąć w przyszłości podobnych do ostatniej awantur.

Tak samo Kaczyński proponuje dziś elementarną powagę w relacjach Polska – Niemcy. Zachęca kanclerz Merkel do wpłynięcia na niemieckie media, aby zakończyć festiwal wyzysk wobec swojej ekipy i uznania, że władza PiS jest czynnikiem trwałym. I że nie jest bynajmniej sojusznikiem ani Marine Le Pen, ani niemieckiej AfD, ale w zamian żąda uznania, że nie jest sezonową siłą polityczną, którą można w lekceważącym stylu straszyć sankcjami Brukseli.

Jeśli dojdzie do spotkania lidera PiS z kanclerz Angelą Merkel, to zobaczymy, czy jego propozycja zostanie potraktowana serio.

Jarosław Kaczyński ma teraz trochę oddechu. Każdy kolejny miesiąc jego trwania u władzy każe przeciwnikom z kraju i zagranicy zacząć traktować go serio. Z powagi w polityce można kpić, ale trudno zaprzeczyć jej skuteczności w praktyce. Politycy opozycji nie chcieli tego zrozumieć i dziś muszą lizać rany po grudniowym przesileniu. A powaga ma znaczenie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Kaczyński od początku lat 90. marzył o własnej partii. W tym politycznym „marszu przez pustynię” nauczył się stawiać na ludzi całkowicie sobie oddanych FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

gdzie państwo Kijowscy za kasę #KOD bronili demokracji kosztem alimentów”. Grzegorz Schetyna w ogniu sporu o Sejm nie potrafił wyrzec się wyjazdu na narty do Austrii, a Ryszard Petru – jak wiele wskazuje – mimo posiadania rodziny nie potrafił być obojętny wobec wdzięków koleżanki z klubu i wizji wypadu do słonecznej Portugalii. Wszyscy oni z podium wieców zapowiadali walkę o wolność do końca, ale nie wyobrażali sobie, by w imię tej walki zrezygnować z zaplanowanych wcześniej wypadów sylwestrowych.

Najlepiej podsumował ten problem głos projektantki Ewy Minge, osoby odległej nie tylko od PiS, lecz także w ogóle od polityki: „Lepiej mieć zarzuty braku konta w banku i kota za partnera życiowego, niż gustować w cudzych żonach/mężach. Średnio wypada lider, który nie

Gdy przeczytałem wpis Ewy Minge, przypomniła mi się scena z kampanii prezydenckiej w 2000 r., gdy wraz z dwoma kolegami z Radia Plus zadawałem pytania Andrzejowi Olechowskiemu. Kandydat liberałów sprawnie radził sobie z bieżącymi tematami, aż padło krótkie pytanie: „Czy była w pana życiu jakaś sprawa, z powodu której pan cierpiał?”.

Do dziś pamiętam parę sekund ciszy, po której padła jakaś wymyślana ad hoc banalna odpowiedź. Coś za coś. Suma życiowych kompromisów – utrudnia potem determinację w chwili, gdy trzeba grać o coś ważnego.

SKUTECZNOŚĆ POWAGI

Gdy Kaczyński na początku nowego roku proponował Platformie i Nowoczesnej, aby zakończyć spór jakimś kompromisem, reakcja mediów kibicujących



Rafał A. Ziemkiewicz

Totalna opozycja nie ma szans nie dlatego, że popełnia błędy, lecz dlatego, że społeczeństwo jej nie akceptuje

Kryzysy przechodzą wszystkie polityczne formacje, partie czy ruchy społeczne. Kompromitacja lidera, wizerunkowe katastrofy – to się zdarza i nie musi oznaczać końca. Kwestią decydującą jest sposób reagowania na kryzys. I to właśnie nie tyle obecne problemy „opozycji totalnej”, ile reakcje jej działaczy oraz sympatyków pokazują, że nie ma ona przyszłości.

Dobrym ich przykładem była emocjonalna tyrała Sławomira Sierakowskiego w Radiu TOK FM, której zapis stał się hitem politycznego Internetu. Sierakowski mówił o opozycji, że się „sfajdała”, w mocnych słowach potępia Kijowskiego i Petru, a najmocniej Schetynę, oskarżając go o to, że bez sensu zakończył protest, zamiast trwać w Sejmie, aż Kaczyński musiałby użyć siły.

Podobnych głosów rozgoryczenia wśród kibiców „opozycji totalnej” ostatnio nie brakuje, ale żaden z nich nie wyszedł poza horyzont nakreślony powyżej: to wszystko wina liderów. Kłóć się, zamiast jednoczyć, tchórz przed Kaczyńskim, zamiast być nieprzejednani, kombinują z fakturami i wyjazdami wakacyjnymi, za-

miast bez reszty poświęcić się sprawie... Jest to wyłącznie psychologiczne „wypieranie” przegranej, odmowa jej poważnej analizy.

Sierakowski jest dla Schetyny niesprawiedliwy, udając, że nie rozumie oczywistej przyczyny jego kapitulacji: po prostu społeczeństwo nie poparło sejmowego protestu. Na jego miejscu postawiłbym liderom Nowoczesnej i PO zarzut dokładnej przeciwny – że gdy już się stało to oczywiste, ciągnęli tę farsę na potrzeby własnej rywalizacji o tytuł „wroga PiS nr 1” zbyt długo i stracili szansę zachowania pozorów, że coś na tym wygrali.

DOPROWADZIĆ DO MAJDANU

Trudno mówić, by wydarzenia przełomu roku odbywały się według jakiegoś planu. Określenie „pucz” jest elementem partyjnej propagandy PiS, który dla mobilizacji swego elektoratu potrzebuje wroga poważnego, a nie ośmieszającego. Narracja o „próbie puczu” nie wytrzymuje poważnej analizy. Jeśli to była bowiem próba puczu, to kto go zaplanował? Na pewno nie Petru, który – jak wiemy – zaplanował

na ten czas zupełnie inną aktywność, i nie Schetyna, który podobno wybrał się na narty – a tym bardziej nie Kijowski. Obrońcą tezę o puczu można tylko sugestią, że znani publicznie liderzy „opozycji totalnej” są jedynie figurantami, a prawdziwe jej centrum decyzyjne znajduje się gdzieś w ukryciu – i taka spiskowa narracja niewątpliwie się po stronie PiS pojawi. Jednak i to niewiele da, bo w takim razie trudno nie zadać pytania: Jeśli tak, to na co owa utajona „kopuła” opozycji liczyła?

I tu nawet zajadli wyznawcy nie ośmielają się mówić o tym, co słowo „pucz” znaczy naprawdę – czyli o przejęciu władzy siłą poprzez zbuntowane wojsko czy policję. Oczywistym zamiarem sprawców awantury z 16 grudnia było wywołanie „majdanu”, rewolucji, społecznego buntu, który wraz z naciskami zagranicznymi zmusiłby PiS do rozpisania nowych wyborów.

Naiwność i zwykła głupota nawarstwiły się tutaj tak, że trzeba by całej książki na rozplątywanie jej punkt po punkcie. Powiedzmy, wbrew wszystkiemu, że te nadzieje antypisu ziściłyby się. Co dalej? W takich przyspieszo-



FOT. KACPER PAMEL/REUTERS/PIRUM

rozdawanych przez rząd PiS zasiłków, jest głucha na retorykę narodowej godności i obrony własnych interesów w stosunkach z zagranicą. Polacy pragną roztopienia się w Unii Europejskiej, nowoczesności, parad równości i otwarcia na imigrantów. Bardzo ważne jest dla nich refinansowanie in vitro i opinie instytucji unijnych, przede wszystkim zaś boją się utraty demokracji oraz wolności, lękają wyznaniowego „średniowiecza”, którą to groźbę oceniają jako bardzo realną.

Do takiej właśnie Polski od momentu przegranych wyborów adresują swój przekaz Nowoczesna i PO, w takiej Polsce żyją ich kibice. Nic dziwnego, że takie przekonanie w końcu zaowocowało wiarą, że jeśli rzucimy hasło, wezwiemy, a nasze media pokażą leżącego na ziemi w oparach świecy dymnej i trzymającego się malowniczo za głowę Diduszkę, to najpierw pod Sejm, a potem na biura poselskie znienawidzonego PiS oraz wszystkie gmachy poselskie runą gniewne, milionowe rzesze, by władzę defenestrować.

UŁUDA ELIT

Najśmieszniejsze, że fiasko „ciamajdanu” bynajmniej tej wiary nie załamało – do wodom ogłoszony przez portal OKO.press w ostatnich dniach kuriozalny sondaż, z którego wynika, że „15 milionów Polaków domaga się radykalizacji protestów przeciwko PiS”, „Opozycja totalna” wciąż wierzy, że znajdzie ten zapalnik, który odpali wybuchowy potencjał w społeczeństwie. Jeśli nie Trybunał czy „wolne media”, to może „prawa kobiet”, może „niszczenie edukacji”?

Trwałe przeniesienie się obozu Okrągłego Stołu w „rajską dziedzinę ułudy” to tylko część szerszego schorzenia elit III RP, u którego podstaw leży to, co psychiatria nazywa „urojeniem wyższościowym”. Wierząc, że są pod każdym względem lepsze, nie są owe elity zdolne widzieć swoich przeciwników inaczej niż w sposób pogardliwy. To uniemożliwia dostrzeganie rzeczywistości. Jarosław Kaczyński udzielił wielu wywiadów, napisał książkę, bardzo szczerze mówi tam o swych zamiarach, a jeszcze więcej da się wyczytać o nim między wierszami. Jego wrogów to nie interesuje – wystarczy im tyle rozumu, ile ma go Daniel Olbrychski. Kaczyński jest po prostu wstrętny, podły, zakompleksiony i chce władzy, a wszyscy nasi wrogowie to nikczemne, służalcze kanale – i już. Wystarczy mówić to głośno, a dobro – czyli my – musi zwyciężyć.

Utwierdzają elity III RP w tej wierze sondaże, w których partie starego porządku wciąż jeszcze cieszą się sporym poparciem. Nawet gdyby założyć, że wszystkie sondaże są uczciwe, trzeba jeszcze rozumieć, skąd to poparcie się bierze. Gdyby ten trud sobie liderzy i analitycy PO oraz Nowoczesnej zadali, musieliby stwierdzić, że ten elektorat, na który wciąż mogą liczyć, w większości popiera ich nie dlatego, że robią to, co od roku robią, ale pomimo tego. Wynika to z faktu, że wciąż – po ostatnich wydarzeniach trzeba dodać „na razie” – nie widzi lepszego wyraziciela swych emocji i interesów.

Trzeba bowiem powiedzieć, że PiS prowadzi na razie politykę lustrzaną do tej, jaką przez osiem lat swych rządów prowadziła PO. Obsługuje swoich, tych, dla których decydujące są sprawy tożsamościowe, i tych, którzy chcą opieki i aktywności socjalnej państwa, dla reszty mając jedną tylko ofertę, dającą się streścić w znany cytacie z „Pierwszej Brygady”: „J... was pies, nie trzeba nam was”. Nie może zresztą inaczej, skoro chce zarządzać tą samą co PO wojenną socjotechniką, pozwalającą ucinąć po swojej stronie wszelkie wątpliwości i uwagi (bo – jak ujął to w wywiadzie dla nas Ryszard Czarnecki – „Na froncie nie zakłada się klubów dyskusyjnych”).

PRZESILENIE

Ta formuła obustronnego „dorzynania watahy” i niebrania jeńców sprawdzała się przez wiele lat dzięki emocjom wywołanym tragedią smoleńską z jednej, a poprawą poziomu życia kojarzoną z członkostwem w UE z drugiej strony. Jednak groteskowy „ciamajdan” i uporczywe podnoszenie go przez PiS do rangi „puczu” wydają się przesileniem. Zmęczenie wojną będzie brać górę nad histerią. Znaczna część wyborców PiS nie głosowała nań po to, by być ciągle trzymana na froncie, i nie tego też oczekuje większość tych, którzy na PiS głosować nie chcą.

Bardzo liczy na to nie tylko Kukiz, lecz także na budowanie alternatywnej „zdrorozsądkowej” opozycji nastawia się PSL, którego prezes, demaskując targowicki odruch okupujących Sejm, przekroczył polityczny Rubikon, opuszczając „opozycję totalną”. Nadchodzący rok zapowiada się jako rok uwiadu PO, Nowoczesnej i jej mediów oraz stopniowego wzrastania nowego, merytorycznego antypisu, szukającego zwycięstwa w klasycznej polityce, a nie w stawianiu barykad oraz zwoływaniu majdanów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

nych wyborach PiS raczej wygrałby ponownie, może nawet jeszcze wyżej niż w poprzednich, zwłaszcza że raczej nie udałoby się wystawić wspólnej listy nie tylko całej opozycji, lecz nawet PO, Nowoczesnej, lewicy i PSL.

Schetyna i Petru, skoro nie odwołali urlopowych planów, to najwyraźniej doskonale sobie zdawali sprawę z tego, że wszystko, na co mogą liczyć, to podtrzymanie swoich zwolenników w historycznym paroksyzmie. Ewentualnie na sprowokowanie do reakcji zwolenników władzy i doprowadzenie do jakichś bijatyk, które mogłyby być pretekstem do dalszego radykalizowania haseł.

Istotą sprawy jest jednak to, że wszystkie rachuby „opozycji totalnej” oparte są na następującym obrazie sytuacji: PiS doszedł do władzy przypadkiem, skutek demobilizacji większości społeczeństwa, ułomności ordynacji i zwykłego pecha lewicy. Od pierwszej chwili ta władza nie ma za sobą większości, przeciwnie – jest powszechnie znienawidzona. Większość społeczeństwa odrzuca tradycję, patriotyzm i Kościół, nie chce żadnej opieki ze strony państwa ani



Z Joachimem Brudzińskim,
wicemarszałkiem Sejmu, wiceprezesem PiS
rozmawia Kamila Baranowska

Przygotowano obalenie rządu

KAMILA BARANOWSKA: PiS do pełni szczęścia i pełni władzy brakuje tylko samorządów. To stąd te podchody pod zmiany w ordynacji wyborczej?

JOACHIM BRUDZIŃSKI: Szczęście rzeczywiście leży nam na sercu, ale w pierwszej kolejności szczęście tych, którzy nam zaufali i na nas zagłosowali. Byłoby czymś skrajnie naiwnym liczyć na to, że jeśli będziemy zabiegać wyłącznie o własne dobre samopoczucie, to zasłużymy na to, by przy okazji kolejnych wyborów móc ponownie sprawować władzę. Każdy racjonalny polityk musi wyciągać wnioski z sytuacji, które miały miejsce w Polsce po 1989 r., z faktu, że gdy władza po wygranych wyborach zaczynała dbać tylko o interes swojego obozu politycznego, wyborcy się od niej prędkiej czy później odwracali. Nam zależy na tym, by wyborcy się od nas nie odwracali i by mieli poczucie, że realizujemy ich interes, a nie swój.

Opozycja zarzuca, że ograniczając liczbę kadencji prezydentom miast, burmistrzom i wójtom, chcecie nieuczciwie wygrać wybory.

Nieuczciwe byłoby niezrealizowanie tego, co obiecaliśmy Polakom. Od lat mamy do czynienia z zabetonowanym systemem lokalnych układów, których nie da się zmienić w wyniku demokratycznych wyborów, bo mieszkańcy są tak uzależnieni od aktualnej lokalnej władzy, że boją się jej narazić i boją się zmian. Zwłaszcza gdy największym



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

pracodawcą w gminie są jednostki podlegające urzędowi gminy lub starostwu. Czy mieszkańcy małych gmin wiejskich są zadowoleni z tego, że wójtowie pełnią tam funkcje jeszcze od czasów głębokiego PRL? Szczepie wątpliwe. Obecna ordynacja cementuje ten system. Media lokalne też nie odgrywają swojej roli kontrolnej, bo najczęściej ich jedynym źródłem utrzymania są reklamy i ogłoszenia z podległych wójtowi czy burmistrzowi instytucji. Koło się zamyka. Przy czym zastrzegam, że nie chciałbym wrzucać wszystkich samorządowców do jednego worka, bo wielu z nich – i sam znam wielu takich, choćby w moim województwie zachodniopomorskim – to uczciwi, pracowici ludzie.

Czy ci, którzy rządzą już drugą kadencję, będą mogli kandydować w 2018 r.?

Co do szczegółów trwają jeszcze konsultacje z prawnikami i samorządowcami. Nawet w naszych szeregach są różne opinie dotyczące tych zmian. Wsłuchujemy się w nie, dużo rozmawiamy z samorządowcami. Słychać też głosy, że zmiany nie powinny iść tak daleko i nie powinny obejmować urzędujących obecnie drugą lub kolejną kadencję włodarzy miast i gmin. Występują tu zresztą także pewne wątpliwości prawne, są różne opinie prawników, być może tę sprawę powinien np. rozstrzygnąć Trybunał Konstytucyjny.

Oglądał pan film dokumentalny pt. „Puc”?
Oglądałem.

Pana zdaniem dobrze oddawał on atmosferę i emocje, jakie panowały w Sejmie i przed Sejmem 16 grudnia?

Byłem bezpośrednim uczestnikiem tych wydarzeń

i obraz przedstawiony w tym materiale jest obrazem prawdziwym. Chociaż oczywiście nie ma tam jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, kto stał za tym, że już kilkanaście minut po tym, jak doszło do awantury i rozpoczęcia blokowania najpierw mównicy, potem stołu prezydialnego, przed Sejmem pojawiły się profesjonalne nagłośnienie, mobilna scena, dobrze skoordynowane grupy zdeterminowanych, twardych i wyszkolonych zawodników.

Wyszkolonych?

W mojej ocenie rzucanie się pod koła samochodu ochranianego przez policję i BOR wymaga silnej determinacji psychicznej i wyszkolenia, bo nikt o zdrowych zmysłach nie odważyłby się na coś takiego.

Jeśli to wszystko, jak twierdzicie, było zorganizowane, to przez kogo?

Przez tych, którzy liczyli, że podczas głosowania najważniejszej ustawy w roku – bo taką jest ustawa budżetowa – uda się doprowadzić do takiego paraliżu w polskim Sejmie, że będzie to początkiem końca tego rządu. A w ciągu ostatniego roku mogliśmy zobaczyć, że są środowiska, którym bardzo na tym zależy, które nie chcą czekać do kolejnych wyborów, tylko chcą odzyskać władzę już, natychmiast. To, co ujawnił ostatnio pani redakcyjny kolega o przygotowywanym tego dnia apelu części opozycji z odwołaniem się do Brukseli, także utwierdza mnie w przekonaniu, że nie było tu miejsca na przypadek. To był skoordynowany i przemyślany scenariusz obalenia rządu PiS, ale nie wyszedł. Miała być „Nocna zmiana 2”, ale ci, którzy do tego dążyli, zderzyli się z żelazną konsekwencją i spokojem po naszej stronie. Dlatego naprawdę należą się podziękowania marszałkowi Markowi Kuchcińskiemu za to, że potrafił wytrzymać ciśnienie i presję, oraz wszystkim kolegom i koleżankom, że nie dali się sprowokować sejmowym awanturnikom. Rzucanie się przez młodych posłów na przedstawicieli PiS, rządu, kierownictwa Sejmu, ich okrzyki, poszarpywanie z jednej strony wystawiają im świadectwo, a z drugiej pokazują, że po tamtej stronie pękają jakieś bariery, których nawet Samoobrona nie przekraczała. Mamy do czynienia ze środowiskiem dosyć specyficznym, i to nie tyle politycznie, ile kulturowo.

Marszałek Kuchciński mocno przyczynił się do rozwoju tych wydarzeń, najpierw upierając się przy zmianach dotyczących pracy dziennikarzy, a potem wykluczając z obrad posła Szczepię...

Jestem gotów przyznać, że w sprawie dziennikarzy popełniliśmy błędy, ale były to błędy komunikacyjne. Gdybyśmy potrafili przeprowadzić takie rozmowy, jakie później przeprowadzał pan marszałek Karczewski, to tego zamieszania by nie było. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której można byłoby wykluczyć media z polskiego Sejmu, warto byłoby jednak wspólnie z dziennikarzami wypracować takie zasady, by ta praca miała komfortowe warunki i dla nas, i dla was. Niemniej potrafiliśmy się przyznać do błędu i natychmiast się z tego wycofać. Mówienie dziś, że była konieczność okupowania mównicy i sali plenarnej przez trzy tygodnie w obronie mediów, jest niepoważne.

To był pretekst, który sami daliście opozycji na tacy.

Tamta strona szukała pretekstu i ten pretekst znalazła w wyjątkowo irytującym, aroganckim i niegrzecznym pośle Szczepie, który prowokował marszałka Kuchcińskiego już nie pierwszy raz. Pamiętam sytuację z poprzedniej kadencji, gdy pani marszałek Kidawa-Błońska wykluczyła z obrad posła, argumentując to tym, że obraził ją, czyli marszałka Sejmu. Parlament nie stanął, nikt nie protestował ani nie okupował mównicy, gdy straż marszałkowska wyprowadzała posła. Mówienie, że dziś analogiczna sytuacja wymagała takiej hucpy i awantury, jest naiwne. Gdyby nie ten pretekst, to znalazłby się inny, bo widać było, że dążono do konfrontacji, która zablokowałaby przyjęcie budżetu.

Uważa pan, że posłowie, którzy okupowali Sejm, powinni zostać ukarani, a wicemarszałkowie z PO i Nowoczesnej odwołani?

Na razie to opozycja zapowiada wniosków o odwołanie marszałka Kuchcińskiego. Opozycja, robiąc to, co robi, musi liczyć się z tym, kto ma większość w parlamencie i jakie mogą być konsekwencje tych działań dla ich przedstawicieli nie tylko w prezydium Sejmu, lecz także w prezydiach poszczególnych komisji sejmowych.

Zatem rozważacie kary i pozbawienie funkcji posłów opozycji?

Jeśli chodzi o konsekwencje prawne, to w ocenie nie tylko mojej, lecz także wielu

■ prawników, sytuacja wokół stołu prezydialnego z uniemożliwieniem prowadzenia obrad drugiej osobie w państwie wyczerpuje znamiona złamania kodeksu karnego. Nie jestem jednak od tego, by przesądzać o winie karnej, to zadanie wymiaru sprawiedliwości. Jeśli chodzi o ocenę i konsekwencje, wynikające ze złamania regulaminu Sejmu, to prezydium może zareagować np. nakładając kary finansowe.

Zarzuty karne lub kary finansowe dla posłów opozycji nie przyczynią się raczej do uspokojenia sytuacji, wręcz przeciwnie – znów będą emocje i protesty.

Dlatego pojawił się lepszy pomysł, by po przerwie, która powinna dać czas na wystudzenie gorących głów, usiąść do stołu z liderami wszystkich partii i wypracować wspólnie takie regulacje – w tym również zmiany w regulaminie Sejmu – które na przyszłość uniemożliwią sposoby działania, z którymi mieliśmy do czynienia, a które dewastują wizerunek Sejmu i polską demokrację.

Stąd taka wściekłość na film „Pucz”, dokumentujący tamte skrajne emocje, obraźliwe słowa, okrzyki i zachowania, które są nie do obrony.

Jako wicemarszałek Sejmu brał pan udział w negocjacjach z opozycją podczas posiedzeń Konwentu Seniorów i prezydium Sejmu 11 stycznia. Dlaczego nie doszło do porozumienia?

Z naszej strony taka wola porozumienia była. Był scenariusz senacki, zaproponowany przez opozycję i zakładający, że ustawa z poprawkami senackimi wróci do Sejmu, na który byliśmy skłonni się zgodzić. Byliśmy też gotowi poprzeć w Senacie część racjonalnych poprawek opozycji. W pewnym momencie musieliśmy jednak stanąć z boku, bo okazało się, że to wewnętrzna rozgrywka opozycji i to na kilku poziomach – między PO i Nowoczesną oraz wewnątrz samej Platformy. Po sylwestrowej kompromitacji Ryszarda Petru między liderami PO i Nowoczesnej doszło do śmiertelnego starcia i licytacji na to, kto jest twardszy i kto mocniej

nadzwyczajnego i śmiać mi się chce, gdy niektórzy grzmia, jaki to skandal, że PiS chce rządzić dwie albo trzy kadencje. Niech ci, którzy grzmia, doksztalą się z tego, na czym polega demokracja.

Jeśli będziecie jak dotychczas otwierać front za frontem, to może być różnie. Nie obawia się pan powtórki z roku 2007, gdy zmęczeni polityką Polacy chcieli już tylko „cieplej wody w kranie”?

Nie zdziwiłbym się, gdyby Polacy opisem polityki, jaki jest im serwowany w mediach, już teraz byli zmęczeni. Każda próba realizacji naszego programu i zobowiązania wobec Polaków jest traktowana jako otwarcie nowego frontu. Ze zdumieniem słucham, jak się nam wypomina reformę edukacji. Od początku było wiadomo, że jeśli dojdziemy do władzy, to reformę tę przeprowadzimy. To nie jest żaden nowy front walki, lecz konsekwencja. Kiedy wmawia się nam, że stworzyliśmy front walki z Trybunałem Konstytucyjnym, przypominam, że nie do nas należała inicjatywa w tej sprawie. My jedynie reagowaliśmy na zamach na Trybunał, który zrobiła PO. Cóż, zdążyłem się już przyzwyczaić, że w oczach niektórych i tak zawsze wszystkiemu winny jest PiS. Niezależnie od faktów.

Po sylwestrowej kompromitacji Ryszarda Petru między liderami PO i Nowoczesnej doszło do śmiertelnego starcia

Jedno jest pewne: nigdy nie zgodzimy się na próbę banalizacji tego, co się wydarzyło w Sejmie.

Banalizacja jest określenie „ciamajdan”?

Faktem jest, że młodzi politycy opozycji, pozostawieni w zimnej i ciemnej sali plenarnej przez swoich liderów, którzy albo pojechali wygrzewać się na plażę Portugalii albo – jak donoszą niektóre media – zsusowali na nartach w Austrii, skompromitowali się i ośmieszili idiotycznymi piosenkami, wierszykami i innymi działaniami, ale nie dajmy sobie wmówić, że nic wielkiego się nie stało, ot jedynie się trochę pośmialiśmy. Próbe banalizacji podejmują dziś te same ośrodki medialne, które najpierw aktywnie się w ten konflikt włączyły, tworząc atmosferę niemal wojny domowej, co miało pomóc wyciągnąć ludzi z domów na ulice. Pamiętam dramatyczne wpisy dziennikarzy o rzekomym użyciu gazów łzawiących, rozhisteryzowane komentarze sejmowe mówiące, że zaraz dojdzie do rozlewu krwi. A teraz mamy próbę wmawiania, że nic takiego się nie stało.

będzie z PiS walczył. Schetyna, grając w banque, a potem decydując o zakończeniu protestu, rozegrał równocześnie i Nowoczesną, i swoje młode wilki w partii, które z niepyśznymi minami wychodziły z sali. Młodzi liczyli, że podkopią pozycję Schetyny, ale on okazał się twardym graczem. Obserwowałem to wszystko z zacięciem, a nawet rozbawieniem, gdyby nie było okupione brukaniem prestiżu polskiego Sejmu.

Z sondaży wynika, że PiS wyszedł z tego kryzysu bez szwanku, ma stabilne 37 proc. poparcia. To satysfakcjonujący wynik czy jest poczucie, że mogłoby być lepiej?

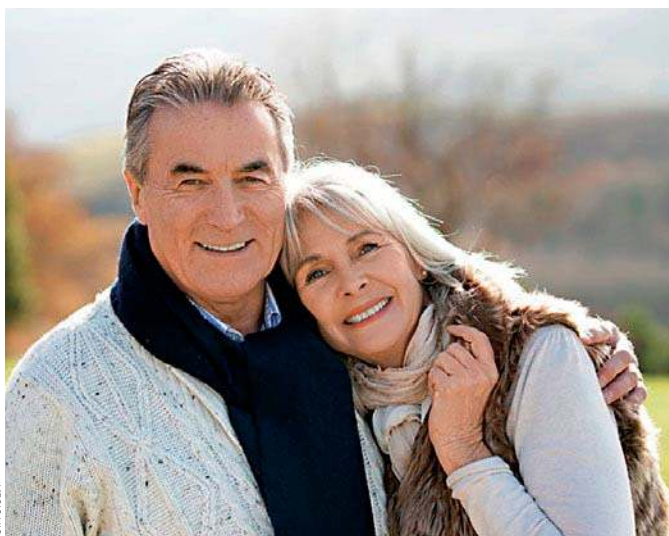
Sondaże trzeba analizować i wyciągać z nich wnioski, ale mamy jeszcze trzy lata, by przebić wynik, dzięki któremu uzyskaliśmy większość umożliwiającą samodzielne rządy w 2015 r. Ten czas poświęćmy na realizację obietnic i zobowiązań, bo jeśli się z tego nie wywiążemy, to nie mamy co liczyć na wyrozumiałość Polaków. Będziemy się starać, bo zależy nam, by rządzić nie tylko przez jedną kadencję. Nie ma w tym nic złego ani

Fakty przytacza „Puls Biznesu”, publikując listę 1000 i podając nazwiska osób, które zawdzięczają intratne posady w państwowych spółkach i instytucjach bliskim związkom z PiS – rodzinnym, koleżeńskim, partyjnym. To nie jest dobra zmiana.

Wiem, że tego typu listy są atrakcyjne i dobrze brzmią z punktu widzenia dziennikarzy. Często jednak bywają krzywdzące dla osób, które zawdzięczają swoje stanowiska własnej ciężkiej pracy, sukcesom zawodowym, doświadczeniu i kompetencjom. Nie powinno być tak, że każdy, kto otarł się o politykę lub działalność polityczną, ma być wykluczony z aktywności zawodowej, jednak nie może być oczywiście tak, że jedynym kryterium przy nominacjach jest fakt posiadania legitymacji partyjnej. Jeśli tak się dzieje, to musimy sobie z tym poradzić i dokonać samooczystczenia. Gdybyśmy zaakceptowali sytuację, w której legitymacja partyjna jest głównym kryterium, to szybko przewrócilibyśmy się o własne nogi. Nie tylko wizerunkowo, lecz także merytorycznie, bo takie osoby nie będą w stanie merytorycznie wziąć odpowiedzialności za powierzone im zadania. Zapewniam, że zrobimy wszystko, by do takich sytuacji nie dochodziło.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Senior w centrum uwagi



FOT. FOTOLIA

Statystyki są bezwzględne – do 2050 r. aż 40 proc. Polaków będzie w wieku 60 lat i więcej. Nie dziwi zatem, że odpowiednia polityka społeczna wobec osób starszych stała się jednym z priorytetów działań publicznych

wobec osób starszych do 2030 r.

Nadrzędnym celem polityki społecznej wobec osób starszych jest poprawa jakości życia osób starszych, a przez to umożliwienie im bycia jak najdłużej samodzielnymi i aktywnymi. Pomóc ma w tym Rządowy Program Aktywności Społecznej Osób Starszych (tzw. ASOS). W jego ramach organizacje pozarządowe i inne uprawnione podmioty mogą się starać o dofinansowanie (20–200 tys. zł) w ramach czterech projektów. Pierwszy obejmuje edukację osób starszych i przeznaczono na niego łącznie ok. 5,7 mln zł. Drugi – aktywność społeczną promującą integrację wewnątrz i międzypokoleniową (budżet – 9,5 mln zł rocznie). Kolejny to partycypacja

społeczna osób starszych (z budżetem ok. 7,6 mln zł rocznie) i w końcu usługi społeczne dla osób starszych (15,2 mln zł rocznie). Więcej informacji o programie i edycji 2017 znaleźć można na stronie ministerstwa.

DLA SZCZEGÓLNIE POTRZEBUJĄCYCH

– Obecny kierunek zmian jest bardzo dobry, bo potrzebne są działania ukierunkowane na tych, którzy znaleźli się w gorszej sytuacji, mieszkają w mniejszych miejscowościach czy na wsi, pochodzą z uboższych środowisk, są gorzej wykształceni i nie wiedzą, że pewne świadczenia im przysługują – mówi prof. Piotr Szukalski. Jak zauważa, w Polsce mamy olbrzymi deficyt usług

pielęgnacyjno-opiekuńczych skierowanych na potrzeby osób starszych, zwłaszcza na terenach wiejskich.

W te potrzeby wpisuje się program „Senior+”, ostatnio rozszerzony i lepiej dostosowany do potrzeb oraz oczekiwań seniorów, a także możliwości samorządów. Ma on dofinansować rozwój sieci dziennych domów „Senior+” i klubów „Senior+”, a tym samym wspierać nieaktywne zawodowo osoby w wieku 60+. W takiej placówce seniorzy będą mogli spędzić od poniedziałku do piątku co najmniej osiem godzin dziennie. Do dyspozycji osób starszych ma być pomieszczenie m.in. do wspólnych spotkań, gotowania, ćwiczeń i relaksu (z biblioteką, sprzętem RTV oraz komputerem z Internetem). Na realizację programu z budżetu państwa do końca 2020 r. zaplanowano 340 mln zł. Uprawnione podmioty, które chcą otworzyć taką placówkę, mogą uzyskać jednorazowe wsparcie do 80 proc. całkowitych kosztów, ale nie więcej niż 300 tys. zł. Można się również starać o dotację na utrzymanie takiej placówki.

Elementem rządowej polityki społecznej wobec osób starszych realizowana jest też akcja informacyjna „Bezpieczny i Aktywny Senior”, która ruszyła w grudniu ub.r. Głównym celem kampanii jest podwyższenie świadomości polskiego społeczeństwa na temat kwestii związanych z bezpieczeństwem i aktywnością osób starszych. Uwrażliwienie społeczeństwa na poruszane w kampanii kwestie związane z osobami starszymi pozwoli na wzmocnienie tradycyjnego, opartego na rodzinnych wartościach obrazu osób starszych w społeczeństwie.

Artykuł powstał we współpracy z Ministerstwem Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.

Polskie społeczeństwo starzeje się, a odsetek osób powyżej 60. roku życia rośnie nieubłagannie. Potwierdzają to statystyki GUS: w 2014 r. z 38,5 mln Polaków aż 8,5 mln miało 60 i więcej lat. To ponad 22 proc. całej populacji, a do 2050 r. będzie więcej niż 40 proc. Osoby po sześćdziesiątce w 2014 r. stanowiły już prawie jedną czwartą mieszkańców miast. Co ciekawe, rośnie odsetek Polaków w wieku 80 lat i więcej – w 1989 r. było ich 2 proc., obecnie 4 proc. Za tymi trendami demograficznymi muszą nadążyć rządy, tworząc odpowiednią do potrzeb osób starszych politykę senioralną.

– Gwałtowny wzrost znaczenia polityki senioralnej, którego doświadczamy w ostatnich latach, jest konsekwencją powojennego wyżu demograficznego w latach 1946–1959. Około roku 1953 rodziło się prawie 800 tys. rocznie. Te osoby są już ludźmi w zaawansowanym wieku, dlatego tak potrzebna jest odpowiednia polityka senioralna – wyjaśnia prof. Piotr Szukalski, demograf z Uniwersytetu Łódzkiego.

WSPARCIE DLA SENIORA

W ramach tej polityki Rada Ministrów monitoruje sytuację osób starszych. Przygotowana w 2016 r. Informacja o sytuacji osób starszych za rok 2015 jest pierwszym w historii rządowym opracowaniem tego rodzaju, umożliwiającym kompleksowe spojrzenie na sytuację osób starszych w Polsce. Kolejnym krokiem było powołanie w 2016 r. przy Ministrze Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Rady ds. Polityki Senioralnej. Za priorytet rada uznała weryfikację i aktualizację założeń polityki senioralnej oraz stworzenie programu polityki społecznej

Ruszymy w Polskę” – opowiadają „Do Rzeczy” posłowie ruchu Kukiz’15. To pomysł Pawła Kukiza i jego współpracowników na aktywizację lokalnych działaczy, aktywistów oraz organizacji społecznych, na których kukizowcy w przyszłym roku chcą oprzeć część samorządowej kampanii wyborczej.

– Wyjedziemy w teren, na spotkania w całej Polsce, zarząd ruchu, posłowie, ale też Paweł Kukiz. To nie będzie wspólny objazd, choć może się zdarzyć, że tu i ówdzie wystąpimy razem. Będziemy się spotykać z ludźmi, rozmawiać z nimi, a przede wszystkim ich słuchać – opowiada nam poseł Marek Jakubiak, wiceprzewodniczący klubu Kukiz’15.

Niedawny sondaż pracowni IBRIS dla Radia Zet i „Faktu” wskazał, że wyborcy typują Pawła Kukiza jako jednego z przyszłych liderów opozycji (17,5 proc.), przed nim był tylko Donald Tusk (21,8). Dla porównania: Grzegorza Schetynę wskazało 5,7, a Ryszarda Petru jedynie 4,5 proc. respondentów. Również ruch Kukiz’15 cieszy się poparciem wysoko ponad progiem, choć tu sondaże mocno się rozjeżdżają – tylko w styczniu w zależności od sondażowni było to od ok. 15 do 5,3 proc.

Początek akcji zaplanowany jest na pierwsze tygodnie kalendarzowej wiosny, ale część posłów Kukiz’15 już ruszyło w teren. Plan jest prosty – założyć „partyjne przyczółki” tam, gdzie dotąd biura poselskie Kukiz’15 nie funkcjonowały.

– Nie we wszystkich okręgach mamy posłów. 30 stycznia prawdopodobnie otworzymy biuro w Poznaniu, niedawno otworzyliśmy we Wrocławiu, będę miał też biuro w Gdyni – mówi wicemarszałek Stanisław Tyszką, który do Sejmu dostał się z okręgu podwarszawskiego.

Paweł Kukiz także ruszy w Polskę. Jego tournée będzie wyglądać jednak zupełnie inaczej niż pozostałych posłów. Dlaczego? Jesienią Kukiz’15 otrzymał nieco ponad 2,8 mln zł zwrotu kosztów kampanii wyborczej (ruch zrzekł się i nie przyjmuje subwencji budżetowej). 720 tys. zł z tych środków Kukiz przekazał na budowę domu dla weteranów opozycji antykomunistycznej, 2 mln zł przełał na konto fundacji Potrafisz Polsko, związanej z jego organizacją. Za te pieniądze kukizowcy zamierzają, we współpracy z Polskim Towarzystwem Stwardnienia Rozsianego oraz Fundacją im. Brata Alberta prowadzoną przez ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, zorganizować wiosną w całym kraju koncerty, na których zbierane



Wojciech Wybranowski

Paweł Kukiz na wiosnę zacznie tournée po Polsce. Będzie koncertował na współorganizowanych przez siebie akcjach charytatywnych i... rozmawiał z wyborcami. W teren ze zorganizowaną akcją ruszą także posłowie ruchu Kukiz’15

Kukiz –

będą pieniądze na pomoc osobom borykającym się z tą chorobą.

– Finansujemy organizację koncertu, ja śpiewam za darmo, ale w trakcie koncertów będą zbiórka pieniędzy, aukcje i inne eventy, tak by impreza przyniosła więcej, niż włożyliśmy. I całość przekazujemy na pomoc chorym i potrzebującym z danego terenu – opowiada nam Paweł Kukiz. Podobną akcję koncertów i dyskusji promujących JOW organizował już w 2015 r., przed referendum w sprawie JOW.

– Nie będę agitował w trakcie koncertu. Jednak takie spotkania są doskonałą okazją do kontaktów i rozmów z ludźmi, znacznie lepszą niż partyjne wiece i konwencje – mówi nam lider Kukiz’15.

PĘKA CZY NIE PĘKA?

Ruch rockowego muzyka zaczyna być największym od lat fenomenem na scenie politycznej. Organizacja bez terenowych struktur, konglomerat ludzi o bardzo różnych poglądach, nie powinna przetrwać roku politycznych batalii, intryg i podchodów. Co jakiś czas media sugerują, że Kukiz’15 za chwilę się rozpadnie. Od wyborów z klubu odeszło sześciu posłów.

– Jeszcze miesiąc temu były kłótnie, spory wewnętrzne, pojawiały się artykuły o »chamoobronie«. Jednak wydarzenia 16 grudnia spowodowały, że zareagowa-

liśmy bardzo solidarnie, stabilnie. Klub zareagował razem, to była nasza pierwsza spólna akcja całości. Teraz jesteśmy mocniejsi – uważa poseł Sylwester Chruszcz.

Gdy opozycyjne PO i Nowoczesna zablokowały mównicę w Sejmie, a PiS głosował ustawę budżetową w Sali Kolumnowej, niemal wszyscy posłowie klubu Kukiz’15 pozostali w sali plenarnej. Z wyjątkiem dwojga posłów: Rafała Wójcikowskiego [zginął tragicznie w ubiegłym tygodniu – przyp. red.] i Anny Siarkowskiej, którzy wzięli udział w głosowaniu ustawy budżetowej, reszta posłów Kukiza pozostała w sali plenarnej. Kukizowcy nie przyłączyli się ani do PiS, ani do Platformy i Nowoczesnej. Jak twierdzą nasi informatorzy, decyzję o pozostaniu w głównej sali Sejmu, ale nie przyłączaniu się do protestu podjęli – pod nieobecność Kukiza – wspólnie szefowie wszystkich frakcji w klubie. Spotkanie miał zorganizować Chruszcz.

– Paweł dał nam bardzo dużą wolność w klubie, mówią nawet, że za dużą. Dogadujemy się, docieramy, poznajemy, rozmawiamy. W tym jest nasza siła, choć niejednego korciło pewnie, by przejść do większego klubu. Jak się dobrze dotrzemy, to będziemy jechać sprawnie, jak najlepsze auto – komentuje poseł Jarosław Porwich.

Z docieraniem jednak bywają problemy. Gdy w ubiegłym tygodniu „Do Rzeczy”



Posłowie klubu Kukiz'15
(od lewej): Marek Jakubiak,
Stanisław Tyszką i Paweł
Kukiz FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

nowe otwarcie

w wydaniu on-line opisało – opierając się na informacjach pozyskanych oficjalnie od posłów PSL i ruchu Kukiz'15 – że w pierwszym dniu protestu w Sejmie miało dojść do spotkania przedstawicieli wszystkich klubów opozycji i dyskusji nad projektem apelu, w którym byłaby mowa o interwencji w Polsce europejskich instytucji, Siarkowska i Wójcikowski na Twitterze ogłosili, że o niczym nie wiedzieli, czym mocno podważyli wiarygodność klubowych kolegów. Już wieczorem okazało się, że Kukiz o sprawie wiedział.

W kuluarach klubu Kukiza mówi się niemal głośno, że w takiej formie i liczbie nie dotrąją do końca kadencji. Jego członkowie przyznają, że mogą stracić dwóch, może trzech posłów. W tym kontekście padają m.in. nazwiska Siarkowskiej i Magdaleny Błęńskiej. Posłankę Siarkowską pytamy o to, jak będzie wyglądała współpraca w ruchu Kukiza przy tak podzielonych poglądach na różne sprawy. Odpowiedź nie jest jednoznaczna. – Potrzebujemy wspólnej wizji. Niektóre rzeczy w ruchu dopiero się klarują. Czas pokaże, jak bardzo będzie to wspólna wizja i wspólna droga. Trzeba być dobrej myśli – mówi.

RADA „MĘDRCÓW” I WYBORY

W ugrupowaniu jest kilka liczących się grup: endecy, którymi kieruje Sylwester Chruszcz, „wolnościowcy” na czele z posłem

Tomaszem Jaskółą, „związkowcy i rolnicy” ze swoim liderem Grzegorzem Długim oraz frakcja „wojOWNików” kierowana przez Andrzeja Kobylarza. Do tego dochodzą „bezpiestwowcy” – posłowie nienależący do żadnej frakcji. Wolnym „elektronem” jest chociażby poseł Piotr „Liroy” Marzec, uważany za jednego z najbardziej pracowitych parlamentarzystów. Zgłosił już blisko sto interpelacji poselskich.

– W istotnych sprawach wygląda to tak, że Paweł konsultuje się z szefami grup, oni rozmawiają z posłami wchodzącymi w skład tych grup, stowarzyszeń i zapada wspólna decyzja – mówi Chruszcz.

Spory wpływ na decyzje Pawła Kukiza i politykę klubu ma też wicemarszałek

Stanisław Tyszką. To z nim Kukiz konsultuje decyzje dotyczące prac legislacyjnych i sposobu funkcjonowania klubu w Sejmie. Głośno było o nim po tym, jak okupujących salę plenarną posłów PO oraz Nowoczesnej porównał do warcholów i stwierdził, że powinni pokryć koszty ochrony Sejmu w trakcie okupacji.

Na „grupach frakcyjnych” i powiązanych z nimi stowarzyszeniach lokalnych lub ogólnopolskich ruch Kukiz'15 oprze przyszłoroczne kampanie przed wyborami samorządowymi. – Nie mamy wyjścia, to musi być bardzo szeroka koalicja różnych podmiotów lokalnych i stowarzyszeń. Tworzą się różne podmioty: stowarzyszenie Kukiz'15, Endecja, Stowarzyszenie na rzecz Nowej Konstytucji czy Stowarzyszenie Rolników i Konsumentów Kukiz'15. Ruchy wolnościowe zainicjowały współpracę – niedawno w Sejmie odbyło się Ogólnopolskie Forum Organizacji i Ruchów Wolnościowych organizowane przez Jakuba Kuleszę, Jacka Wilka i Tomasza Jaskółę. To będzie zawsze przypominało pospolite ruszenie – uważa wicemarszałek Tyszką. I przekonuje, że jednak to zaczyna się sprawdzać. Podaje jako przykład swoją akcję – publikację mapy wydatków polskich miast. – Prezentuję mapę wydatków Wrocławia, odzywają się wrocławscy libertarianie, że pomogą, i już kolejne środowisko jest zaktywizowane – opowiada.

Jednak niektórzy obawiają się, że „paliwo”, jakim był wyborczy sukces Kukiza, przez kolejny rok się wyczerpie. – Ktoś powie „sprawdzam”, gdzie masz struktury, dlaczego do tej pory nie przedstawiłeś żadnego programu, co z pomysłami, które opracowywałeś z Centrum im. Adama Smitha. Jeśli się nie przygotujemy, to będzie „ups” – mówi jeden z naszych rozmówców.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

SPROSTOWANIE

Burmistrz Miasta i Gminy Kępno Piotr Psikus informuje, że zawarta w artykule pt. „Polacy odzyskują pamięć”, zamieszczonym w Tygodniku „Do Rzeczy” 48/199 (28 listopada – 4 grudnia 2016 roku) informacja, że burmistrz Piotr Psikus nie chce zgodzić się na budowę Pomnika Żołnierzy Wyklętych w Kępnie, nie jest prawdziwa. Burmistrz Miasta i Gminy Kępno informuje, że pozytywnej opinii na lokalizację tego pomnika w miejscu wskazanym przez Społeczny Komitet Pamięci Żołnierzy Wyklętych nie wyraziła Rada Miejska w Kępnie, wydając w tej sprawie stosowną opinię w dniu 30 czerwca 2016 r. – jako jedyny wyłączny właściwy na mocy ustawy organ gminy uprawniony do podejmowania uchwał w sprawie wznoszenia pomników.

Piotr Psikus

Burmistrz Miasta i Gminy Kępno, ul. Ratuszowa 1, 63-600 Kępno

Aby zapobiec niebezpieczeństwom, jakie mogłyby zagrozić [...] wolności, należy mocno przychylić się do wymuszenia ustąpienia z urzędu po określonym czasie". To nie cytat z Jarosława Kaczyńskiego, który w Gdańsku wspominał, że w kodeksie wyborczym należałoby wprowadzić ograniczenie do dwóch kadencji dla stanowisk jednoosobowych wybieranych bezpośrednio, czyli wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. To zdanie (z którego usunąłem jedynie słowo „amerykańskiej”) napisał jeden z ojców demokracji USA – Thomas Jefferson.

Debata o wprowadzeniu kadencyjności w wyborach przede wszystkim na szczeblu lokalnym trwa w Stanach Zjednoczonych do dziś. Przy czym, odmiennie niż w Polsce, w USA nie ma jednolitej ordynacji, a różnice są olbrzymie na poziomie poszczególnych powiatów (błędnie zwanych czasem po polsku hrabstwami), więc i duża jest rozpiętość stosowanych rozwiązań. Ograniczenie do dwóch kadencji obowiązuje w przypadku wyborów na burmistrza Nowego Jorku, Houston czy Los Angeles (dwie kadencje), ale nie ma ich choćby w przypadku Chicago.

Trzeba przy tym przypomnieć, że mimo wspomnianego poglądu Jeffersona 22. poprawka do amerykańskiej konstytucji, ograniczająca urzędowanie prezydenta USA do dwóch kadencji, została uchwalona dopiero w 1951 r. Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych George Washington sam ustąpił z urzędu po dwóch kadencjach, mimo braku wymogu prawnego, a jedynym lokatorem Białego Domu, wybranym na więcej niż dwie kadencje, był Franklin Delano Roosevelt, wybrany czterokrotnie.

NIE MA REGUŁY

Limity w przypadku prezydentów czy burmistrzów funkcjonują w różnych systemach na świecie i w Europie. Zwykle ograniczenie dotyczy dwóch kadencji. Tak jest we Włoszech, w Brazylii, w Danii. Często ustanowienie limitu jest związane ze sposobem wyboru na funkcję i rzadko pojawia się tam, gdzie wybory nie są bezpośrednie, a osobę zarządzającą miastem wybiera rada.

Można odnieść wrażenie, że w PiS decyza na temat zmiany kodeksu wyborczego już zapadła. Szkoda, bo ograniczenie liczby kadencji nie jest wprawdzie rozwiązaniem egzotycznym czy niewyobrażalnym, ale budzi wątpliwości. To pomysł, który warto poddać pod dyskusję, ale dziwi arbitralne oznajmianie, że to znakomite rozwiązanie,



Łukasz Warzecha

Pomysł zmiany ordynacji wyborczej i wprowadzenie ograniczeń liczby kadencji wójtów, burmistrzów i prezydentów miast nie jest niczym nowym. Funkcjonuje w wielu krajach na świecie, ale to nie znaczy, że nie budzi wątpliwości



Do dwóch razy sztuka

a jego przyjęcie jest już pewne. PiS na razie nie przedstawił zresztą szerszej argumentacji. Z wcześniejszych wypowiedzi polityków tej partii można wywnioskować, że najważniejsze uzasadnienia są dwa.

Po pierwsze – ukrócenie powstawania lokalnych koterii i układów.

Owszem, taki może być skutek ograniczenia liczby kadencji. Jeżeli jednak faktycznie uznajemy – a w wielu miejscach można na to znaleźć przykłady – że lokalne patologiczne układy mają wielką siłę, czy faktycznie jesteśmy na tyle naiwni, aby sądzić, że usunięcie po dwóch kadencjach frontmana takiego układu, czyli właśnie wójta, burmistrza lub prezydenta, będzie uderzeniem w sam mechanizm? Układ ma to do siebie, że jest w stanie bez kłopotu podstawić w to miejsce kolejną osobę. Paradoksalnie zatem nowe rozwiązanie może wręcz ułatwić zadanie miejscowym koteriom, które po dwóch czy trzech kadencjach przebiorą się w nowe szatki, udając, że wyborcy mają do czynienia z całkiem innymi osobami.

Po drugie – będzie to sprzyjać promocji nowych ludzi.

Jednak ci nowi ludzie mogą być albo przedstawicielami starych układów, albo nowych, wcale nie lepszych od poprzednich. Ba, jako mniej doświadczeni, mogą być łatwiejszym łupem dla lobbystów czy pasożytów, żerujących na lokalnych przetargach i zleceniach. Mówiąc całkiem cynicznie – jeżeli wraz z nowym politykiem władzę w mieście miałyby wziąć nowa grupa osób, w wielu przypadkach może to oznaczać większą zachłanność na konfitury władzy niż w przypadku układu już osiadłego, nasyconego.

Nowość sama w sobie nie jest wartością, szczególnie że łączy się nierzadko z brakiem doświadczenia. Prezydent czy burmistrz znający swoje miasto od wielu kadencji może być ogromnym atutem – ale może być też obciążeniem. Tu nie ma uniwersalnej reguły, tymczasem planowana przez PiS zmiana wynika z założenia, że uporczywe trwanie na stanowisku zawsze jest zjawiskiem negatywnym. Żeby ujrzyć, że to złudne podejście, wystarczy spojrzeć na dwie prezydentury dużych miast: fatalnego dla Krakowa prezydenta Jacka Majchrowskiego (od 15 lat) i chwalonego prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka (od 19 lat).

NAUKA NA BŁĘDACH

Przeciwko ograniczeniu liczby kadencji wysuwa się – poza wymienionymi wyżej

– jeszcze jeden zasadniczy argument: jest to rozwiązanie sprzeczne z istotą demokracji reprezentatywnej. Dlaczego bowiem ustawodawca chce odmówić obywatelom prawa do wybierania władz miejscowości nawet na 10 kadencji z rzędu, jeżeli uznają oni, że dana osoba jest najlepszym kandydatem?

Tu ścierają się dwa zasadniczo odmienne podejścia. Pierwsze z nich uznaje, że obywatele mają nie tylko prawo do decydowania o samych sobie, lecz także do popełniania błędów. Jeśli kilkakrotnie wybierają słabego włodarza, to jest to wyłącznie ich problem i oni poniosą konsekwencje. Jeśli pozwalają na istnienie lokalnej kliki i nie pokazują jej czerwonej kartki – widocznie taka sytuacja im odpowiada. Skoro wyposażamy obywateli w czynne prawo wyborcze, musimy zarazem pogodzić się z tym, że w jego ramach będą dokonywali wyborów złych.

Drugie podejście, paternalistyczne w swojej istocie, dopuszcza interwencję w bierne prawo wyborcze, wychodząc z założenia, że obywatele nie są w stanie zrozumieć konsekwencji swoich decyzji i mądry ustawodawca na poziomie państwa musi wziąć ich w karby jak głupiutkie dzieci. To ostatnie podejście jest zdecydowanie bliższe Prawu i Sprawiedliwości.

W najbardziej ekstremalnej postaci różnicę pomiędzy tymi podejściami widać w kwestii kandydowania skazanych. Polski Sejm dokonał odpowiedniej nowelizacji konstytucji dopiero w 2009 r. Od tego czasu na prezydenta RP, do parlamentu, rad gmin i na wójtów, burmistrzów oraz prezydentów miast nie mogą kandydować osoby skazane prawomocnym wyrokiem za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego. Tymczasem odpowiednika takiej regulacji brakuje w amerykańskich przepisach wyborczych na poziomie federalnym. Teoretycznie zatem – o ile nie zabraniają tego przepisy danego stanu – do Kongresu może kandydować nawet odsiadujący dożywocie zabójca. Nie jest bowiem sprawą władzy federalnej pouczanie wyborców, kto jest właściwym kandydatem. Co innego poziom poszczególnych stanów – przyjęte na ich poziomie regulacje mogą w praktyce uniemożliwić rejestrację takiego kandydata.

Tudno oprzeć się wrażeniu – a opozycja już podnosi w tej sprawie larum – że motywacją PiS nie jest dobre urządzenie państwa na więcej niż bieżące potrzeby polityczne, lecz przede wszystkim sztuczne oczyszczenie sobie pola w najbliższej mu-

nicypalnej elekcji. W wyborach w 2014 r. PiS nie zdobył bowiem prezydentury w żadnym z 10 największych polskich miast, nierzadko zresztą całkowicie na własne życzenie. Tak było choćby w Łodzi, gdzie z fatalną Hanną Zdanowską z PO, która absurdalną przebudową Trasy W-Z sparaliżowała miasto na kilkanaście miesięcy, kandydowała z ramienia PiS ledwo rozpoznawalna była działaczka Platformy Joanna Kopcińska, ponosząc kompletną klęskę już w pierwszej turze. Największym miastem, w którym na czele zarządu stoi polityk Prawa i Sprawiedliwości, jest niespełna 90-tysięczny Nowy Sącz. Dla Zdanowskiej jest to już druga kadencja. Paweł Adamowicz rządzi Gdańskiem od 1998 r.

Dlatego dla rozpoznania intencji partii rządzącej kluczowa będzie odpowiedź na pytanie, czy ograniczenie liczby kadencji liczono by od wejścia w życie przepisu, czyli dopiero od 2018 r., czy też zaliczono by kadencje już odbyte. To znaczyłoby, że ani Zdanowska, ani Adamowicz, ani Majchrowski, ani Szczurek, ani inni, którzy mają za sobą minimum dwie kadencje, kandydować by już nie mogli.

PRAWO ZADZIAŁA WSTECZ?

Na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi jednak brakuje. Pytany o to marszałek Senatu Stanisław Karczewski bardzo mocno podkreślił, że prawo nie działa wstecz, więc kadencje liczyłyby się dopiero od wprowadzenia zmian w kodeksie wyborczym. Jednak sam Jarosław Kaczyński wskazał raczej drugie rozwiązanie. „Sądzę, chociaż nie mogę w tej chwili powiedzieć, że tak będzie na pewno, że większość sejmowa uchwali, że to wchodzi w życie od razu, ale na pewno to będzie zaskarżone do Trybunału Konstytucyjnego i jest pytanie, jaka będzie odpowiedź Trybunału” – powiedział Kaczyński w TVP Gdańsk. Jak zachowa się w tej sprawie TK – nie sposób stwierdzić. PiS powinien jednak brać pod uwagę, że w niektórych miejscowościach, gdzie od dwóch lub więcej kadencji rządzą dobrzy, sprawni, doświadczeni i popularni wójtowie, burmistrzowie czy prezydenci, takie podejście może zostać bardzo źle odebrane i wpłynąć nie tylko na wynik samych wyborów samorządowych – wyborcy z przekory mogą zagłosować przeciwko kandydatom PiS – lecz także pośrednio parlamentarnych.

Przede wszystkim zaś sprzeciw może budzić manipulowanie przy ustawie tak zasadniczej jak kodeks wyborczy dla chwilowej potrzeby.

MACIEJ PIECZYŃSKI: W Hucie Pieniackiej nieznani jeszcze sprawcy zniszczyli pomnik Polaków pomordowanych przez ukraińskich nacjonalistów. Wierzy pan w to, że – jak próbują tę sytuację przedstawić Ukraińcy – to była rosyjska prowokacja?

MICHAŁ DWORCZYK: Tutaj nie chodzi o wiarę albo spekulacje. Najważniejsze w tej sytuacji jest wykrycie sprawców oraz surowe ich ukaranie. Nie może być zgody na żadną przemoc i na takie barbarzyństwo, z jakim mieliśmy do czynienia w Hucie Pieniackiej. Rzeczywiście są pewne przesłanki wskazujące, że mogła być to prowokacja rosyjska, jednak fakty muszą zostać ustalone w trakcie śledztwa.

Na przykład ten, że wrzucony do sieci film z tego aktu wandalizmu opatrzony był podpisem po ukraińsku z widocznym rusycyzmem?

To jest jedna ze wskazówek. Modus operandi w tym przypadku był podobny jak w sytuacjach, w których tropy również prowadziły w kierunku albo separatystów z Donbasu, albo bezpośrednio Federacji Rosyjskiej. Jednak, moim zdaniem, absolutnie nie wolno wyciągać pochopnych wniosków. Oczywiście byłoby bardzo wygodnie dla władz ukraińskich, gdybyśmy stwierdzili, że to była rosyjska prowokacja. Przyznam się, że ja też bym wolał, żeby tak było. Natomiast równie możliwe jest, że sprawcami tego haniebnego czynu byli skrajni nacjonaści ukraińscy lub doszło do politycznych wewnętrznoukraińskich rozgrywek. W tej chwili najważniejsze jest przeprowadzenie rzetelnego śledztwa, wykrycie sprawców i przykładne ich ukaranie.

A co jeszcze wskazuje na trop rosyjskiej prowokacji?

W każdej takiej sytuacji należy postawić tezę starożytnych Rzymian – „Is fecit, cui prodest”, czyli „ten uczynił, komu przyniosło to korzyść”. Biorąc zatem pod uwagę konsekwencje – tzn. potencjalne pogorszenie relacji polsko-ukraińskich – trzeba stwierdzić, że najbardziej na tym korzystają kraje czy środowiska nieprzychylne naszym dobrym relacjom, a do takich należy bez wątpienia Federacja Rosyjska.

Rzecznik Prawego Sektora potępił to zdarzenie...

To bardzo pozytywny sygnał. Podobnie cieszy fakt, że niemal wszystkie środowiska ukraińskie – polityczne

i okołopolityczne – potępiły ten haniebny akt barbarzyństwa. Jednak w tego rodzaju sytuacjach zbyt proste diagnozy, stawiane w kwadrans po wydarzeniu, są bezzasadne. Dlatego liczę, że w odpowiednich organach państwa ukraińskiego nie zabraknie determinacji, żeby wykryć winnych.

Nie wydaje się panu, że Ukraińcy oczekują od nas, byśmy na wiarę przyjęli wersję o rosyjskiej prowokacji? Przecież co złego w naszych relacji, to według nich wina Moskwy.

Ta sytuacja jest najwygodniejsza dla ukraińskiego rządu – z jednej strony nie ma problemu napięcia polsko-ukraińskiego, z drugiej strony udowodnienie rosyjskiej prowokacji na pewno wzmocniłoby jeszcze naszą determinację do



Z Michałem Dworczykiem, posłem Prawa i Sprawiedliwości rozmawia Maciej Pieczyński

Uczmy Ukraińców historii

wspierania Ukrainy w konflikcie z Federacją Rosyjską. Nie możemy jednakże zamykać oczu na to, co się dzieje na Ukrainie. Na prowadzoną tam obecnie politykę historyczną, na gloryfikację ukraińskich organizacji nacjonalistycznych, takich jak OUN i UPA, na przedstawianie jako bohaterów godnych naśladowania ludzi pośrednio bądź bezpośrednio odpowiedzialnych za dokonanie ludobójstwa na Polakach w czasie II wojny światowej. Tego rodzaju sytuacja może sprzyjać radykalizacji postaw

i podejmowaniu nieodpowiedzialnych działań podobnych do zniszczenia polskiego pomnika. Dzisiaj w ukraińskiej narracji historycznej ostrze niechęci jest wymierzone w Rosję. Ta część historii OUN i UPA, która jest związana z mordowaniem Polaków, nadal jest skrzętnie omijana albo relatywizowa-

FOT. STEFAN MASZCZYK/REPORTER



na. Jednak w konsekwencji, jeśli ktoś rzeczywiście zagłębia się w historię integralnego nacjonalizmu ukraińskiego, zaczyna czytać książki Dmytra Doncowa oraz poważnie traktować tę zbrodniczą ideologię, to z czasem, w imię opacznie rozumianej „ukraińskiej racji stanu” może zacząć podejmować działania całkowicie nieprzewidywalne.

Zniszczenie pomnika w Hucie Pieniackiej potępił też szef ukraińskiego IPN, który w swojej książce ukraińskie zbrodnie nazywa „wojną polsko-ukraińską”, zrzucając winę na Polaków. Za nierzetelność zresztą dostało mu się nawet od rodaków...

Wołodmyr Wjatrowycz – prezes ukraińskiego IPN – jest głównym autorem polityki historycznej Ukrainy i dlatego w największej mierze odpowiada za gloryfikację zbrodniarzy oraz propagowanie wypaczonej wersji historii. Jego zaangażowanie ma charakter nie tylko instytucjonalny, lecz także ideowy. Jego publikacje dotyczące tamtych wydarzeń nie mają wiele wspólnego z rzetelnym warsztatem historycznym, są raczej publicystyką i – tak jak pan powiedział – zwracają na to uwagę nie tylko polscy, lecz także ukraińscy historycy. Dobrze się stało, że ukraiński IPN również potępił haniebną akt wandalizmu, ale nie możemy zapominać o negatywnej roli w relacjach polsko-ukraińskich, jaką dzisiaj odgrywa ta instytucja. Jej działania, w moim przekonaniu, krótkoterminowo przełożą się na pogarszanie relacji między naszymi krajami, a długofalowo mogą być problemem dla samych Ukraińców. Trudno bowiem sobie wyobrazić, żeby do rodziny państw europejskich został przyjęty kraj, który gloryfikuje zbrodniarzy oraz organizacje z wpisanymi w program hasłami eksterminacji ludności cywilnej. A do takich właśnie trzeba zaliczyć OUN i UPA.

Ukraińscy nacjonaści posługują się symboliką OUN-UPA jako ostrzem wymierzonym aktualnie w Rosję. Z drugiej strony Ukraińcy mają często wobec Polski dość roszczeniową postawę, chwalą nas jako sojuszników dopóty, dopóki jesteśmy wobec nich bezkrytyczni. A po drugie, ten sam rzecznik

Prawego Sektora, który dziś potępia akt wandalizmu, w udzielonym mi wywiadzie deklarował chęć krwawej rewolucji na Ukrainie, w efekcie której prezydent Poroszenko zostanie rozstrzelany w „piwnicy budynku administracji prezydenta”. Może, jeśli nie spróbujemy korygować postaw Ukraińców, to za jakiś czas o naszych politykach zacząć tak mówić?

Ukraina jest krajem niezależnym i może prowadzić własną politykę historyczną. Jednak Polska jest również krajem suwerennym i także może, a nawet powinna, prowadzić politykę, która z punktu widzenia polskiej racji stanu jest najlepsza. W moim przekonaniu najważniejsze z punktu widzenia Polski jest dbanie o to, żeby Ukraińcy poznali prawdę historyczną, a nie posługiwali się zmanipulowaną, propagandową wersją historii. Powinniśmy o to zabiegać, przygotowując publikacje w języku ukraińskim, przedstawiające rzeczywisty przebieg wydarzeń i prawdziwe relacje polsko-ukraińskie. Powinniśmy dotrzeć z przekazem do zwykłych Ukraińców, nawet jeżeli część polityków tego kraju nie wyraża tym zainteresowania. Ponadto uważam, że bagatelizowanie gloryfikacji OUN i UPA jest niewłaściwe. Dzisiaj ostrze tej propagandy i niechęci jest wymierzone w Rosję, jednak nie ma żadnej gwarancji, że za pięć lub dziesięć lat te złe emocje nie zostaną skierowane przeciw Polsce. Przemoc, stosowanie odpowiedzialności zbiorowej, działania zgodne z zasadą, że cel uświęca środki – a to właśnie cechy integralnego nacjonalizmu ukraińskiego – powinny zostać jednoznacznie potępione i na zawsze wykluczone z polityki zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej.

Jeśli usunąć przemoc, to także z polskiego przekazu. Naszym narodowcom też zdarza się krzyknąć: „Śmierć Ukraińcom!”

Takie sprawy trzeba zgłaszać do właściwych organów ścigania. Po skandalicznych okrzykach wznoszonych na marszu w Przemyślu osobiście zawiadomiłem prokuraturę o możliwości popełnienia przestępstwa. O ile wiem, osoba, która dopuściła się tego czynu, została już zidentyfikowana i czeka ją proces. Uważam, że jakiegokolwiek nawoływanie do przemocy, nie ma znaczenia, czy to w Polsce, czy na Ukrainie, powinno być absolutnie potępiane, nieakceptowane społecznie i ścigane z całkowitą surowością. Znamy przypadki, gdy aproba dla takich z pozoru drobnych przejawów nienawiści czy

agresji miała bardzo złe konsekwencje i doprowadzała do fatalnych w skutkach wydarzeń.

Zgadza się pan z Piotrem Tymą, prezesem Związku Ukraińców w Polsce, który twierdzi, że państwo polskie bagatelizuje antyukraińską falę?

Absolutnie nie zgadzam się z tą diagnozą. Wydaje mi się, że niestety na opinie prezesa Związku Ukraińców w Polsce mają coraz większy wpływ jego sympatie i antypatie polityczne. Ponieważ gdybyśmy przyjęli taką logikę, należałoby stwierdzić, że pobicie naukowców polskich w 2017 r. jadących do Lwowa, to z kolei przejaw nacjonalizmu ukraińskiego i niechęci do Polaków. A to nie jest prawda. Zdarzają się różnego rodzaju incydenty, które powinny być tępione, a ich sprawcy – karani. Jednak wyciąganie zbyt daleko idących wniosków – czy to w przypadku zaatakowania ukraińskich procesji w Przemyślu, czy też pobicia polskich naukowców na Ukrainie – jest niewłaściwe i ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Problemu oczywiście nie można bagatelizować, ale również nie można celowo takich zdarzeń wyolbrzymiać.

Jak pan skomentuje fakt, że prezydent Przemyśla Robert Choma dostał zakaz wjazdu na Ukrainę? Jak oświadczyła rzeczniczka Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, „zakaz ten jest efektem jego antyukraińskiej działalności. Nie mówimy o jednym wydarzeniu, ale o działaniach systematycznych, m.in. o popieraniu przez niego marszów antyukraińskich”. Chodzi w tym także o Marsz Orląt, w którym prezydent Choma maszerował miał ramię w ramieniu z narodowcami.

Ta sprawa musi zostać wyjaśniona. Mam nadzieję, że to nieporozumienie, ponieważ jeżeli się okaże, że Ukraińcy blokują wjazd do swego kraju osobom, które mają inną niż oni ocenę wydarzeń historycznych, to mamy do czynienia z bardzo poważnym problemem. Takie stanowisko musiałoby się spotkać z podobną reakcją ze strony państwa polskiego, np. podjęciem analogicznych działań wobec obywateli Ukrainy. Prezydent Choma odcinał się jednoznacznie od incydentów, jakie miały miejsce w Przemyślu. Natomiast wielokrotnie krytycznie wypowiadał się na temat gloryfikacji OUN i UPA. Pytanie: Czy to nie wpłynęło na decyzję ukraińskich służb? Jak wspomniałem, na pewno trzeba tę sytuację wyjaśnić i podjąć stosowne działania.

Grażyński wyklęty



Andrzej Krzystyniak

Uhonorowanie Michała Grażyńskiego spotkało się z głosami oburzenia. Czy obowiązująca dziś historia Śląska ma udowodniać, że nie jest on polski?

W gmachu Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach odsłonięto niedawno tablicę ku czci przedwojennego wojewody śląskiego, Michała Grażyńskiego. Zanim jednak to nastąpiło, przez lokalne media przetoczyła się fala krytyki i oburzenia na sam fakt upamiętnienia „sanacyjnego” przedstawiciela państwa polskiego na Śląsku.

Aby ocenić całą inicjatywę, zapytano w mediach kilka osób o opinie. Dziwnym trafem wszyscy okazali oburzenie i niechęć, a swoją opinię wypowiadali autorytatywnie w imieniu Ślązaków, którzy rzekomo nie chcą takiego upamiętnienia.

Przeciwnicy Grażyńskiego, gdyby pokusili się o głębszą refleksję, zapewne zauważyliby, że powód braku uhonorowania wojewody tuż po wojnie jest bardzo prozaiczny. Był on bowiem dla komunistów przedstawicielem sanacji,

tej znenawidzonej grupy „bankrutów politycznych”, niesprawiedliwej przedwojennej Polski, której mitu komuniści bali się panicznie, chcąc ją za wszelką cenę wymazać i zohydzić. Zdecydowanie wygodniejszy dla propagandy komunistycznej był Wojciech Korfanty, będący z „sanatorami” w niebezpiecznym dla niego konflikcie.

KŁUJĄCA „POLSKOŚĆ ŚLĄSKA”

Grażyński po 1989 r. nie doczekał się choćby najmniejszej próby uhonorowania swych zasług dla Śląska i Polski, a że takowe miał, przyznają nawet jego najzgorzalsi przeciwnicy.

Sprawa przedwojennego wojewody jest idealnym przykładem braku prowadzenia jakiegokolwiek polityki historycznej państwa polskiego po 1989 r. na Śląsku. Ba, jest również dowodem braku badań historycznych w zakresie historii Śląska.

Grażyński będzie, co logiczne, budzić niechęć, a nawet wściekłość osób, które reagują alergicznie na określenie „polskość Śląska”. Przedwojenny wojewoda przybył na Śląsk, za który walczył w powstaniach, z zamiarem zespolenia go z Polską. Nie było to łatwe zadanie, zważywszy na to, co Grażyński zastał na Śląsku: wrogą Polsce mniejszość niemiecką, podziały polityczne wśród samych Ślązaków, przemysł w dużej mierze w rękach niemieckich. Dzisiejsi piewcy „wielokultowości” Śląska nie wybaczą Grażyńskiemu, że działał w interesie państwa polskiego. Będą za to przywoływać postać Korfanteo, przeciwnika sanacji, i powoływać się na nią. I zrobią to ci sami, którzy twierdzą, że powstania śląskie, dzieło Korfanteo, były wojną domową lub wręcz polską agresją.

W przedwojennym województwie śląskim Grażyński musiał postępować

stanowczo, stawiając interes Polski ponad dobro regionu. Dzisiaj Polska nie jest zainteresowana przywoływaniem jego zasług, a druga strona raczej pragnie wymazywać polskość, niż ją przypominać. Co jakiś czas o tym, że Śląsk nie jest polski lub jest taki za krótko, pokazują nam takie „drobiazgi”, jak np. zmiana nazw tablic 20 lat temu z okazji 150. rocznicy utworzenia linii kolejowej Opole – Brzeg. Na fasadzie dworca w Opolu wmurowano bowiem tablicę z napisem: „150 lat kolei na ziemiach polskich”. Tymczasem, jak się okazuje, był to błąd i przekłamanie, które należało jak najszybciej wyjaśnić. Napis informujący o kolejach na ziemiach polskich zwrócił dwa lata temu uwagę mniejszości niemieckiej, która dostrzegła w nim „przekłamanie historyczne”. Podjęto działania, by fałsz historyczny jak najszybciej naprawić. Na tyle skutecznie, że po kilku miesiącach starań napis na tablicy zmieniono na: „150 lat kolei na ziemiach śląskich”, poddając się argumentacji inicjatorów mówiącej, że od 1843 do 1945 r. Opole nie było częścią Polski, ale Niemiec. Co ciekawe, nikt wówczas nie przeprowadził w mediach tak szerokich konsultacji jak w przypadku tablicy Grażyńskiego.

Nikogo nie oburzyło również to, gdy w 2013 roku dokonano zmiany napisu na tablicy pamiątkowej w tzw. Trójkącie Trzech Cesarzy w Mysłowicach. Pierwotnie brzmiał on bowiem tak: „W miejscu, w którym niegdyś stykały się granice trzech zaborców”. Zastąpiono go taką treścią: „W miejscu, w którym niegdyś stykały się granice trzech państw”, wszak „Śląsk nigdy nie był pod zaborami”. A historia Polski nie dotyczy przecież Ślązaków, jak uzasadnili swój czyn inicjatorzy.

KTO NAPRAWDĘ PISZE HISTORIĘ NA NOWO

Przy okazji próby uhonorowania Grażyńskiego w gmachu Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach pojawiły się głosy o „pisanu historii na nowo”.

To bardzo ciekawe stwierdzenie, przesiąknięte zarazem cynizmem, bo jeśli od kilkunastu lat mamy do czynienia z wymazywaniem polskości, wręcz jej zdzieraniem z warstwy kulturowej Śląska, to czym ma być to „pisanie historii” od nowa?

Czyżbyśmy byli już pogodzeni z tym, że kulturowo Śląsk nie należy do Polski,

jak się usiłuje nas przekonać od lat? Czy obowiązująca wersja historii Śląska brzmi dziś, że nie jest on polski? Czy postać Grażyńskiego nie psuje swoistych ahistorycznych puzzli?

Redaktor naczelny jednej z gazet regionalnych orzekł groźnie: „Ktoś, kto szanuje Śląsk i go zna, wie, że honorowanie Grażyńskiego jest sztuczne. Nigdy nie będzie bohaterem takim, jakim chcieliby go widzieć ci, którzy dziś piszą historię na nowo”.

Polska, która jest winna wszelkich nieszczęść na Śląsku, która to podzieliła po trzech powstaniach w sposób absurdalny Śląsk, która wypędziła po 1945 r. Ślązaków, nie ma prawa na tymże Śląsku przypominać swoich bohaterów. Czy to nie o takie przesłanie chodzi przeciwnikom Grażyńskiego?

W rocznicę wybuchu II wojny światowej jedna z gazet sympatyzujących z Ruchem Autonomii Śląska opublikowała tekst pod znamennym tytułem: „U nas witali radośnie”. W artykule tym autor udawał, jak to nieświadomi, czym jest nazistowska niemiecka armia, Ślązacy radośnie przyjęli wieść o zlikwidowaniu „absurdalnej” granicy. Z kolei niebawem w styczniu, jak co roku przy okazji obchodów tzw. tragedii górnośląskiej 1945 r., na nowo rozgorzeje dyskusja na temat represji, jakie rzekomo polskie państwo po „wyzwoleniu” zafundowało na Śląsku autochtonom, niszcząc w ten sposób jego „wielokulturowość”. Niektórzy wspomną nawet, jak w komunistycznym obozie Zgoda „Der Tod sprach polnisch” (śmierć mówiła po polsku). Na nic tłumaczenia zgodne z faktami, że reżim komunistyczny został zainstalowany za pomocą sowieckich bagnatów, a komunistyczna władza realizowała nie interes Polski i Polaków, ale obcego mocarstwa. Gdyby było inaczej, tacy ludzie jak Grażyński nie musieliby pozostawać na emigracji, skąd nie było powrotu (chyba że wprost do ubeckiego więzienia).

W oskarżeniach pod adresem przedwojennego wojewody brakło tylko zarzutów o sprowokowanie Niemców do agresji i wybuchu II wojny światowej, choć jeden z liderów RAŚ zarzucił Grażyńskiemu w wywiadzie dla lokalnego radia „represjonowanie mniejszości niemieckiej” w województwie śląskim. Kuriozalny zarzut w oderwaniu od perspektywy historycznej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KSIĘGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49 zł



PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 29 stycznia 2017 r.

1. 39,00 zł
25,00 zł
2. 34,90 zł
24,90 zł
3. 45,00 zł
33,90 zł
4. 49,90 zł
34,90 zł
5. 39,00 zł
26,90 zł

ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78



Łukasz Zboralski

Najpierw program „500+”, a teraz antylichwiarska ustawa Ministerstwa Sprawiedliwości. Nadchodzą ciężkie czasy dla firm pożyczkowych i dla ich klientów

Chwilówki, szybkie pożyczki, pożyczki na dowód – ta branża dynamicznie rozwijała się w Polsce przez ostatnie dekady. Rynek był ogromny. Z jednej strony – instytucje parabankowe dawały ludziom czasem jedyną możliwość dofinansowania. Z drugiej – wysokie koszty takich pożyczek groziły wpadaniem w spiralę zadłużenia. I wtedy na pomoc państwa liczyć nie można było. Wszystko odbywało się bowiem „zgodnie z prawem”. Jak wynika z badań Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości, blisko 90 proc. takich spraw było umarzanych. Przykład? Kobieta pożyczyła 650 zł w 2003 r. Pożyczki nie spłaciła w terminie. Po przejściu komorniczemu renty przez lata oddała już blisko 22 tys. zł. A jeszcze w 2010 r. jej należność do spłaty przekraczała 52 tys. zł. Prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa, uznała, że czyn nie zawierał znamion czynu zabronionego.

„500+” I PROJEKT RESORTU

Po tym, jak do rodzin popłynęło w ubiegłym roku ok. 17 mld zł w ramach rządowego programu „500+”, firmom pożyczkowym wymknęło się z rąk sporo klientów. Głównie tych, którym wcześniej nie wystarczało na podstawowe potrzeby życiowe i często musieli łączyć domowy budżet niewielkimi pożyczkami. To mocno uderzyło w branżę, najmocniej w mniejsze firmy. Choć kłopoty dopadają i średnie, takie jak spółka Marka, która oferowała pożyczki w najbiedniejszych regionach kraju. Już w ubiegłym roku jej przedstawiciele dawali do zrozumienia, że „500+” spowodowało kłopoty w biznesie. Niedawno firma złożyła wniosek o postępowanie restrukturyzacyjne.

Gigantom rządowy program zaszkodził mniej. I im klientów ubyło, ale pozostali pożyczają teraz większe kwoty. Zamiast 1–1,5 tys. zł teraz wnioskuje o 2–2,5 tys. zł. W dodatku zdaniem



Ostatnia chwila chwilówek?

przedstawicieli branży te pożyczki są lepiej spłacane. – Zmiany dotyczą także celów zaciąganych pożyczek – wskazuje Marcin Zuchowski, dyrektor ds. ryzyka kredytowego, członek zarządu Provident. – Zauważamy, że wśród beneficjentów programu „500+” pojawiają się nowe potrzeby pożyczkowe, bardziej aspiracyjne i rozwojowe. Obserwujemy, że rynek pożyczkowy coraz mocniej sięga

po nowe grupy klientów – również osoby młode, które jeszcze nie założyły rodzin. Pośrednio może to być efektem właśnie „500+”, ale wynika także z dużej konkurencji i rozwoju rynku pożyczkowego.

Jednak giganci za chwilę mogą mieć poważne kłopoty. W marcu ubiegłego roku rząd ustawowo przyciął limity dla pozaodsetkowych kosztów pożyczek. Wcześniej teoretycznie ich nie było.



kowych, nawet tych dużych. Dlaczego, skoro 20 proc. to przecież nadal zysk? – Łatwo to sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę przeciętną pożyczkę w wysokości 1 tys. zł – tłumaczy Zakrzewska. – Czyli limit kosztów mamy na poziomie 200 zł. A po stronie firmy mamy do wykonania: rozpatrzenie wniosku, zbadanie zdolności kredytowej i chęci spłaty pożyczki, obowiązki informacyjne, podjęcie decyzji i obsługę administracyjno-księgową. To wszystko kosztuje. A szkodowość, czyli ryzyko niespłacenia zobowiązań w tej branży, jest wyższa, niż mają banki. W dodatku firmy pożyczkowe nie mogą, tak jak banki czy SKOK-i, wliczać sobie złych długów do kosztów uzyskania przychodu. To wszystko wpływa na to, że przy tak obciążonych limitach nie będzie możliwości funkcjonowania.

MILION BEZ GOTÓWKI?

Czy te obawy nie są na wyrost? Są kraje, które ograniczenia wprowadziły i branża nie zniknęła. Ministerstwo w uzasadnieniu nowej ustawy podaje przykłady. W Wielkiej Brytanii umożliwiano finansowemu regulatorowi FCA ustanawianie maksymalnych kosztów kredytów i od 2015 r. rząd go do tego zobowiązał. Dwa lata temu także na Słowacji uregulowano rynek pożyczek krótkoterminowych. Ograniczono ich koszty i nakazano, by były przekazywane inaczej, niż tak jak jest obecnie w Polsce, gdzie w większości agencji firm wręczają gotówkę w domach klientów. Na Słowacji taką pożyczkę można przekazać tylko transparentnie – na rachunek bankowy, kartę prepaidową lub na pocztę. Łatwo wówczas o kontrolę i ewentualne argumenty przy reklamacji.

– No i na Słowacji, gdzie limity nie są tak restrykcyjne, jak proponuje polski resort sprawiedliwości, w ciągu pół roku zniknęła połowa firm pożyczkowych – mówi Monika Zakrzewska. – Z tego, co wiem, obecnie licencję na taką działalność posiada tam tylko kilkanaście firm. Jednak to tylko część tych przedsiębiorstw, które chcą jeszcze zebrać swoje długoterminowe pożyczki. Narodowy Bank Słowacji zaczyna już pytać branżę, co zrobić, żeby ten sektor odbudować. Bo przecież firmy zniknęły, ale potrzeby ludzi nie. A jeśli nie trafili do banków, to najprawdopodobniej trafili do szarej strefy.

Z branżowych szacunków wynika, że po załamaniu się rynku firm pożyczkowych w Polsce dostęp do jakichkolwiek

pożyczek utracić może nawet milion osób.

– Mam z tymi pożyczkami olbrzymi problem – mówi Maciej Bitner, główny ekonomista WISE-Europa. – Bo oczywiście każdemu odradzałbym ich zaciąganie ze względu na duży koszt. Z drugiej strony są ludzie, którzy takie pożyczki biorą. I można im radzić, żeby jednak w życiu najpierw próbowali odłożyć na czarną godzinę 1 tys. zł, bo przecież pożyczki spłacają, więc jeśli trzeba, to odrabiają te pieniądze, ale z takich czy innych powodów pewnie oni tego w ten sposób nie postrzegają i nie będą postrzegać. Podstawowym pytaniem, na które nie znam jak dotąd odpowiedzi, jest to, na ile takie decyzje klientów firm pożyczkowych są wyłącznie impulsywne, a na ile stanowią nieidealną odpowiedź na realny problem, który ich dotyka. Z pewnością jednak prawdą jest to, że jeśli takie pożyczki zniknęłyby w ogóle z rynku, to byłoby to niekorzystne, bo potrzeby przynajmniej części ich klientów przecież nie znikną i mogłoby je zaspokajać już tylko jeszcze droższe podziemie pożyczkowe, czyli mafie. Całkowite wyeliminowanie tego typu firm pożyczkowych jeszcze głębiej zepchnęłoby na margines ludzi biednych, bo to oni głównie korzystają z takich produktów.

Zdaniem Joanny Sadzik, dyrektor akcji „Szlachetna Paczka”, kluczowa w tej sprawie jest edukacja, której systemowo brakuje w polskim systemie oświaty. – Z naszego doświadczenia wiemy, że częstym problemem rodzin jest to, iż z powodu niewielkiej wiedzy finansowej zaciągają zobowiązania bez świadomości ich skutków – mówi Sadzik. – Gdy pożyczają pieniądze w banku, to sprawdza się ich zdolność kredytową i sporo im tłumaczy. Jednak w miejscach sprzedaży szybkich pożyczek jest z tym różnie. A rodzina, która żyje w biedzie, nie jest na ogół dobrze wykształcona. Podobny problem jest z osobami starszymi, które też nie mają pełnej wiedzy i np. nie porównują różnych ofert na rynku. Na te rzeczy odpowiada nasz nowy program „Paczka Biznesu”. Właśnie prowadzimy edukację finansową wolontariuszy. Oni potem będą uczyć rodziny, które zostały zgłoszone do ostatniej „Szlachetnej Paczki”. To dalszy ciąg naszej pracy, szukamy kolejnych możliwości na to, żeby rodziny wyszły z biedy. Żeby po prostu drugi raz „Szlachetna paczka” nie była im potrzebna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

– Od marca jest bezwzględnie obowiązujący limit i koszty pozaodsetkowe wynoszą 25 proc. plus 30 proc. w skali roku – mówi Monika Zakrzewska, prezes Fundacji Rozwoju Rynku Finansowego, która reprezentuje interesy firm pożyczkowych. – Czyli takie koszty przy pożyczce na rok nie mogą przekroczyć 55 proc., a przy pożyczce na miesiąc 27,5 proc. W dodatku zaczął obowiązywać tzw. zakaz rolowania pożyczki w ciągu 120 dni, co ma znaczenie w przypadku krótkich pożyczek – miesięcznych – i w skrócie oznacza, że gdy przyzna się klientowi drugą pożyczkę, to nie można naliczać tzw. kosztów stałych w wysokości 25 proc., a jedynie 2,5 proc. za każdy miesiąc.

A teraz nowe przepisy przygotowało Ministerstwo Sprawiedliwości. „Ustawa antylichwiarska” zakłada, że pozaodsetkowe koszty pożyczek nie będą mogły być większe niż 10 proc. kwoty kredytu i kolejne 10 proc. w skali roku. Branża mówi wprost: to koniec firm pożycz-

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Właśnie się zorientowałam, że nie przyniosłam nic dla kota prezesa od redakcji „Do Rzeczy”.

ROBERT GÓRSKI: Spokojnie, pani się nie musi wkupywać w moje łaski. Zresztą sam nie mam kota ani żadnego innego zwierzęcia.

Jak to jest, że w „Uchu prezesa” granemu przez pana prezesowi, urzędującemu przy ul. Nowogrodzkiej, szef TVP przynosi ryby, a szef rady mediów – mleko. Tylko minister wojny – Antoni – przychodzi z pustymi rękami.

On funkcjonuje na innych zasadach niż pozostali. Tak wnioskuje, przyglądając się mowie jego ciała, oglądając materiały telewizyjne, czytając artykuły prasowe. Jest prawie równy prezesowi. Są chyba nawet na „ty”, a zdaje się, że prezes z małym którym politykiem jest na „ty”.

Po obejrzeniu „Ucha...” prezes zwrócił uwagę, że koty nie piją mleka. Nie dostaliście jeszcze z Nowogrodzkiej jakiegos poradnika opieki nad kotami?

Nie, ale to dosyć zabawne, że nasza dyskusja odeszła od polityki, a skupiła się na tym, co jedzą koty. I w sumie temu serial miał służyć: żeby było weselej i normalniej. Chcę także uspokoić obrońców zwierząt. W serialu nie gra żaden kot. A to futro za plecami prezesa to nie są kłaki zerwane z żywego kota. To jest sztuczne. Słyszałem jeszcze zarzuty, że rybki nie powinny pływać w akwarium w kształcie kuli, bo podobno chorują na schizofrenię. Może więc zmienimy kształt tego akwarium. Dowiedzieliśmy się też dzięki serialowi, że prezes ma dwa koty. Jeden o imieniu Fiona, a drugi – nie wiem o jakim imieniu. Na planie serialu zostaniemy jednak przy jednym kocie, bo przecież i tak go nie widać.

Spodziewał się pan takiej reakcji prezesa czy raczej tego, że o „Uchu...” będzie „nienawistnie milczał”?

W ogóle nie spodziewałem się takiej reakcji na ten serial. Nie przypuszczałem, że zainteresowanie nim będzie tak duże, a już na pewno nie sądziłem, że odniesie się do niego sam prezes. To jednak bardzo miłe, że serial się podoba i że podoba się też prezesowi. Dzięki temu mojej mamie i jej koleżankom mogę powiedzieć, żeby trochę wyluzowały, bo skoro prezes się z tego śmieje, to one też by mogły odpuszczać. Nie ma co być bardziej papieskim niż papież.

Tacy są chyba raczej szefowie stacji telewizyjnych. Mówił pan, że byliście z „Uchem prezesa”



Z Robertem Górskim,
satyrykiem, twórcą serialu „Ucho prezesa”
rozmawia Agnieszka Niewińska

Mam prawo być Kaczyńskim



w różnych telewizjach i choć serial się podobał, to nikt nie chciał zaryzykować pokazania go na antenie. Można was oglądać tylko na YouTube?

Cenzurę dostrzegam na poziomie średnich urzędników. Okazało się, że sam zainteresowany nie ma nic przeciwko

serialowi. To jego podwładni obawiali się jego reakcji, przez co stali się bardziej prezesowscy niż prezes. Oczywiście wszyscy się trochę boją. Każdy, kto prowadzi jakiś biznes, chciałby go prowadzić nadal, a my proponujemy serial o polity-

ce i nikt nie wie, co to będzie. Każdy jest ostrożny. Staraliśmy się – bo przecież nie ja jeden jestem autorem tego serialu – żeby był raczej koncyliacyjny.

Mówił pan nawet, że pod adresem prezesa nie ma złośliwości, a jedynie uszczypliwości.

Tak, choć to akurat czasem trudno rozróżnić.

Sięgacie jednak po zgrane karty, jeśli chodzi o żarty z Kaczyńskiego: że niski, że kociar...

Nie będziemy przecież udawać, że pan prezes jest wysokim tyczkarzem, bo nie jest. Ani że ma psa, skoro ma kota. Ten świat przedstawiliśmy na początku i nie będziemy już do tego wracać. Nie będzie już żartów o wzroście, chociaż to zupełnie normalne, że jeśli ktoś jest mały, to nie sięgnie po szklankę ustawioną na wysokiej półce i musi kogoś zawołać.

Mariusza na przykład.

Właśnie. Ja to ja, ale Mikołaj Cieślak jest świetny w roli Mariusza. Skupiłem się na sobie, a dopiero po nagraniu zobaczyłem, co on wyprawia z tą postacią! Ja wiedziałem, że jestem znakomity – żartuję oczywiście – ale Mikołaj mnie zaskoczył.

Odnoszę wrażenie, że w serialu bardziej naśmiewacie się z współpracowników prezesa niż z niego samego.

Nie wiem, jak to się stało. Właściwie chciałem pośmiać się z prezesa, a wygląda na to, że on jako jedyny zachowuje jakąś kontrolę, jest tym, który to wszystko ogarnia. Myślę jednak, że w rzeczywistości chyba też tak trochę jest. Z jego najbliższego otoczenia zniknęły osoby, z którymi mógł rozmawiać jak równy z równym. I nie chodzi mi tylko o brata, lecz także o Ludwika Dorna czy Kazimierza Ujazdowskiego. Dorn kiedyś powiedział, że prezes jest otoczony eunuchami. Zapamiętałem to sobie. Lubię zresztą słuchać opowieści pana Ludwika, bo mówi kwieciście.

Dlaczego przybocznym prezesa jest u was Mariusz Błaszczak? Jako minister nie ma czasu na czuwanie przy ul. Nowogrodzkiej i dosładowanie prezesowi herbaty. Wybraliście go, bo to postać charakterystyczna? Zawsze w garniturze, z grzywką zaczesaną na lewo?

Żadne nazwisko w serialu nie pada, więc to tylko pani przypuszczenia, że jest to Mariusz Błaszczak. A jeśli już o niego pani pyta, to mam przed oczami obraz ław sejmowych. Siedzi obok prezesa w pierw-

szym rzędzie, właśnie on, a nie Joachim Brudziński, który być może czasem jest bliżej ucha prezesa. Ciekawa postać z tego Mariusza. To urzędnik z krwi i kości: ma postawę, kostium, minę, sposób chodzenia urzędnika. Taki urzędnik jak z Kafki.

Pan też ma minę, bo jak na pana patrzę, to widzę prezesa Kaczyńskiego. Oczywiście w serialu. Oglądał pan pasjami jego konferencje? Ćwiczył pan przed lustrem?

Nie planowałem, że będę odtwarzał prezesa mimicznie, wobec czego nie wpatrywałem się szczególnie w materiały z nim. Obejrzałem sobie przed nagraniem parę filmików i to wystarczyło. Podświadomie chyba zanotowałem sobie jakieś ruchy, szczególnie gesty. W końcu taki mam zawód: nasłuchuję, obserwuję i naśladuję.

„Ucho prezesa” to inna bajka niż posiedzenie rządu, które mogliście odegrać w dowolnym miejscu przy dowolnym stole. Poszłście w aktorstwo. To marzenie satyryka?

Trudno by było kontynuować posiedzenie rządu. Byłoby to zresztą nielogiczne, bo centrum sterowania Polską przeniosło się z KPRM do siedziby partyjnej. To od razu zwiększa atrakcyjność, bo nikt z nas nie wie, jak tam w środku jest, jak wygląda ten gabinet. Chyba że pani wie?

Niestety, nie wiem.

Ja właśnie też nie wiem, ale wyobrażam sobie, że to tam toczą się najważniejsze rozmowy, że zaglądając do gabinetu prezesa, można zajrzeć za kuliszy polityki. A artystycznie to jest dla nas krok w przód, bo zawsze chciałem przekroczyć granice kabaretu, pójść w stronę filmu, serialu czy teatru. Zapraszam zresztą do Teatru Śląskiego, gdzie grane jest moje przedstawienie „W 80 dni dookoła świata. Tam i z powrotem”. Co do serialu, to mogliśmy sobie na to pozwolić. Wcześniej byłem Tuskiem, więc teraz mam prawo być Kaczyńskim. Jesteśmy trochę starsi, trochę więcej wiemy. Nowe wyzwania są intrygujące. Trochę chciałem być aktorem, bo występowanie na scenie kabaretowej to co innego. Tam się szuka reakcji, sposób grania jest zupełnie inny. W dużych halach mimika jest drugorzędna czy wręcz nieistotna, bo ludzie z ostatniego rzędu i tak mnie nie widzą. Gra się słowem. A tutaj można posługiwać się zupełnie innymi farbami, pędzlami. Można grać twarzą, zawiesić głos i to mnie fascynuje jako aktora.

Ta kadencja jest dla satyryka ciekawsza niż poprzednia?

O tak. Poprzednia była monotonna, za czym zresztą wielu tęskni. Właściwie tylko co jakiś czas afery ją poruszały. Teraz rzeczywiście historia przyspieszyła – i w Polsce, i na świecie. Nie wiem, czy ta zmiana jest dobra czy nie, ale nikt nie zaprzeczy, że nastąpiła.

Cztery odcinki „Ucha prezesa” za nami. Zapowiada pan następne.

Za miesiąc będę wszystko wiedział. Trwają rozmowy, w których ja nie biorę udziału. Mam komfort pisania, występowania i zbierania laurów za tę ciężką robotę, którą wykonuje wiele osób.

Dalej będziecie się śmiać z rządzących czy pojawi się też opozycja?

Opozycja musi się pojawić. Nie mam tego przemyślanego, ale wyobrażam sobie, że Mariusz robi prezesowi poranną prasówkę i komentują wydarzenia, których bohaterami są ludzie opozycji. Te postaci nie muszą się fizycznie pojawić u prezesa. Ciężko zresztą sobie wyobrazić, żeby pani Basia wpuściła kogoś z opozycji do jego gabinetu. Na biurku stoi telewizor – do tej pory prezes go nie włączył. Może w końcu naciśnie ten guzik.

„Ucho prezesa” oglądają PiS-owcy i zwolennicy opozycji. Może wasz serial połączy Polaków?

Jak papież nie połączył Polaków, jak Smoleńsk nie połączył Polaków, to taki serialik miałby to zrobić? To jakaś utopia, ale gdy patrzę sobie na liczbę wyświetleń, to widzę, że „Ucho prezesa” skupia Polaków i przynajmniej na chwile odciągnie ich – paradoksalnie – od polityki.

Satyra polityczna już nas nie bawi, skoro jest jej tak mało w ostatnich latach?

Rzeczywiście, w tych tradycyjnych mediach jej nie ma, ale życie toczy się w Internecie, na Facebooku. Są memy i komentarze – niektóre szalenie zabawne, przenikliwe. Jednak na przykład moja mama nie ma do nich dostępu, bo żyje poza Internetem.

„Ucho prezesa” też – na razie – jest tylko w Internecie.

Dlatego mam apel do dzieci rodziców, którzy nie korzystają z Internetu. Pokażcie im to w swoich telefonach.



Piotr Gociek

Dwa znakomite serie zaoferował młodym widzom serwis Netflix. „Seria niefortunnnych zdarzeń” i „Łowcy trolli” to pozycje, których przegapić nie można



Hrabia Olaf i trolle

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Medialnego szumu więcej jest wokół „Serii niefortunnnych zdarzeń” – nic dziwnego, to telewizyjna wersja niezwykle popularnej serii książek dla dzieci i młodzieży, której autorem jest Lemony Snicket (13 tomów plus jeden dodatek, kilkadziesiąt milionów sprzedanych egzemplarzy na całym świecie). To długa i pogmatwana historia trojga rodzeństwa Baudelaire’ów (Wioletka, Klaus i niemowlę zwane Słoneczkiem). Dzieci po wielkim pożarze, w którym straciły dom i rodziców (tak się przynajmniej z początku wydaje), trafiają pod opiekę kolejnych opiekunów, którzy z reguły są wyjątkowo ekscentryczni. Nigdzie nie zagrzewają jednak długo miejsca, bo dorosłym, którzy zdecydowali się na opiekę nad rodzeństwem Baudelaire’ów, nieustannie przytrafiają się tragiczne wypadki. To efekt działań złowrogiego hrabiego Olafa, który czyha na fortunę rodu Baudelaire’ów. Kluczem do fortuny są dziedziczące ją dzieci, stąd całe zamieszanie.

Olaf i jego trupa (wyjątkowo marnych aktorów i rzezimieszków) w pierwszej części podstępem przejmują kontrolę nad losem dzieciaków i o mały włos nie

doprowadzają do ślubu Wioletki z hrabią Olafem. Ten ostatni zdemaskowany umyka jednak wymiarowi sprawiedliwości i knuje nadal, pojawiając się w kolejnych częściach (oraz odcinkach serialu) w coraz to nowych, niekiedy wyjątkowo absurdalnych przebraniach.

FANTASTYCZNA MAKABRESKA

Typowy scenariusz pierwszych odsłon cyklu jest taki: kolejny krewny przysgarnia do siebie rodzeństwo Baudelaire’ów, po czym w jego pobliżu nieoczekiwanie pojawia się wkradający się w jego łaski dziwny osobnik, w którym bystre dzieci natychmiast rozpoznają złowrogiego hrabiego, ale nie potrafią w żaden sposób przekonać dorosłych, że grozi im niebezpieczeństwo. A finał tych historii jest podobny: kolejny ubity opiekun, kolejne wyjście z opresji dzięki odwadze, przytomności umysłu i uporowi samych dzieci oraz Olaf umykający ze współnikami, by przygotować kolejną zasadzkę. W kolejnych tomach sprawy komplikują się dużo bardziej.

Gdyby tylko o ten łańcuch trupów chodziło, zabawa byłaby pusta, na szczęście

serię niefortunnnych zdarzeń przytrafiających się dzieciom Baudelaire’ów łączy jeszcze szersza intryga, z którą zapoznamy się w kolejnych bardzo enigmatycznych odsłonach. Pierwszy sezon serialu udostępniony przez Netflix liczy osiem odcinków stanowiących ekranizację czterech powieści: „Przykry początek”, „Gabinet gadów”, „Ogromne okno” i „Tartak tortur”. To realizacyjny majstersztyk, którego twórcy znaleźli znakomity sposób na oddanie specyficznego klimatu książek Snicketa. Literacki oryginał to rzecz mocno zanurzona w najlepszej brytyjskiej tradycji makabresek dla dzieci, której arcy mistrzem był Roald Dahl. Snicket podobnie jak Dahl potrafi wykreować świat, który nie odbiegając teoretycznie wyglądem i regułami od naszego, jest jednocześnie absolutnie fantastyczny, a swój cel osiąga odpowiednio wykrzywiając czy powiększając lub wyszydzając poszczególne detale. Tak też skonstruowano scenografię, która jest skrzyżowaniem horroru z teatrem i filmem rysunkowym (bardziej jednak w tradycji czeskiego zapomnianego mistrza Karela Zemana niż Hollywood). Są w tym serialu kadry, któ-

rych nie powstydziliby się Peter Greenaway czy Wes Anderson.

W to wszystko wrzucono dobrych aktorów, pośród których jednemu trafiła się kreacja wybitna. Hrabiego Olafa gra Neil Patrick Harris (znany z sitcomu „Jak poznałem waszą matkę” jako kobieciarz Barney) i robi to po mistrzowsku. Zgodnie z zasadą, że opowieść atrakcyjna jest na tyle, na ile porywający jest występujący w niej czarny charakter, Harris bierze na swoje barki cały serial, a od jego kreacji w kolejnych rolach nie można oderwać wzroku. Zresztą we wspomnianym sitcomie udowodnił nieraz, że jest świetnym parodystą i mistrzem przebieranek. Hrabia Olaf w jego wykonaniu jest jednocześnie nieodparcie śmieszny i naprawdę przerażający, dużo lepszy i ciekawszy od konkurencyjnej kreacji Jima Carreya (zagrał tę postać w kinowej wersji „Serii niefortunnnych zdarzeń” w roku 2004).

Trudno o większy horror dla dziecka niż utrata rodziców, zaś świat, w którym nikomu nie można ufać, bo bliscy nie dorastają do zadania opiekunów, a każdy obcy może się okazać złoćcą, tylko ów horror potęguje. Duża dawka humoru była więc potrzebna, by wyważyć opowieść. Tutaj także twórcy serialu (Mark Hudis i Barry Sonnenfeld) świetnie dali sobie radę. Widzowie uśmiechają się, gdy obserwują w akcji komiczne przerysowane postacie drugoplanowe, ale pękają ze śmiechu, kiedy do akcji wkracza narrator. Na ekranie pojawia się wtedy osoba śniący opowieść Lemony Snicket (w tej roli Patrick Warburton), który ze zboląłą miną i grobowym głosem informuje nas nie tylko o tym, jak straszne są losy rodzeństwa Baudelaire'ów i jak bardzo nie powinniśmy ich dziejów oglądać, lecz także zwierza się z własnych życiowych niepowodzeń (głównie związanych z młodzieńczą miłością, Beatrice). Telewizyjna „Seria niefortunnnych zdarzeń” to bez wątpienia najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się filmom dla dzieci od czasu pierwszych ekranizacji powieści o Harrym Potterze.

GNOMY I TROLLE

Jednocześnie w serwisie Netflix zadebiutował inny serial, ale wymyślony i narysowany z równie wielkim rozmachem i talentem. To kreskówka „Łowcy trolli”, której premiera miała miejsce 23 grudnia 2016 r. To z kolei produkcja DreamWorks Animation, studia znanego z ponad

30 hitów kinowych (m.in. „Shrek” czy „Madagaskar”) oraz popularnych serii TV („Pingwiny z Madagaskaru” czy „Kung Fu Panda: Legenda o niezwykłości”). Mózgiem przedsięwzięcia jest zaś wzięty reżyser Guillermo del Toro, autor m.in. „Labiryntu fauna” i „Pacific Rim”. Zgodnie z obyczajami Netflixu użytkownikom zaoferowano od razu cały sezon – 26 odcinków, zaznaczając jednocześnie, że jest to dopiero część pierwsza.

„Łowcy trolli” to produkcja niemal perfekcyjna, łącząca z sukcesem kilka wrażliwości. To bardzo amerykańska opowieść o dojrzewaniu w idyllicznym miasteczku (tu nosi ono znaczącą nazwę Arkadia). Szesnastolatek Jim to postać niczym z kart powieści Stephena Kinga czy Petera Strauba – owszem, przydarza mu się rzeczy fantastyczne i niebezpieczne, ale równie wiele trosk niesie zwykłe życie. Jim wychowuje się bez ojca, próbuje opiekować się chronicznie przepracowaną matką, nieśmiało zerka w kierunku dziewczyny, w której jest zadurzony, musi dawać z siebie wszystko, by nie zaważyć nauki. Serial zaczyna się jednak od mocnego uderzenia – tajemniczy amulet Łowcy Trolli wybiera po raz pierwszy właśnie Jima na swojego nowego pana.

W serialu Guillermo del Toro trolle bowiem istnieją (podobnie jak gnomy, licha i inny magiczny drobiazg), żyją pod ziemią, ukryte przed ludzkim wzrokiem i są głęboko podzielone. Te złowrogie zostały po długiej wojnie zamknięte w mrocznej otchłani. Te dobre (no, powiedzmy, te nieco bardziej przyjacielskie) po prostu w magicznej jaskini. Jim bohater (talizman daje mu zbroję, miecz i dodatkowe moce) zyskuje sprzymierzeńców wyglądających, jakby uciekli z planu filmu „Potwory i spółka” oraz przygnieciony nową odpowiedzialnością zaczyna wieść podwójny żywot. Serial inspirowany jest książką del Toro znaną także w Polsce (ukazała się w roku 2015), ale mocno od niej odbiega, jest bowiem pogodniejszy, mniej dosłowny i pozbawiony rozmaitych typowo horrorowych oślizłości.

Świat trolli wygląda trochę jak ten, który widzieliśmy w wyreżyserowanym przez del Toro filmie „Hellboy: Złota armia”, jest jednak o wiele bardziej rozbudowany. Część postaci zaprojektowano z kolei niczym w rysunkowej „Księdze życia”, świetnej amerykańsko-meksykańskiej opowieści o zaświatach, którą del Toro wyprodukował. Żeby było jeszcze ciekawiej, życiowy tor przeszkód zaprojektowany dla głównego bohatera „Łowcy trolli” (kolejne zadania i próby, zdobywanie nowych umiejętności i magicznych przedmiotów) to już inne dziedzictwo popkultury – kierunek: gry komputerowe. Wszystkie te elementy łączą się harmonijnie w opowiedzianą historię, która choć dziwaczna i czasami przerażająca, to jest jednocześnie głęboko optymistyczna i krzepiąca. A także dydaktyczna. Grono sojuszników Łowcy Trolli powiększa się nie dlatego, że tęgi z niego rębajło, ale dlatego, że on sam dorastając do kolejnych wyzwań, staje się lepszym człowiekiem, że ma w sobie współczucie, że jest lojalnym przyjacielem, po prostu dobrym chłopakiem, który w nadzwyczajnych okolicznościach stara się zachować zwyczajnie w porządku.

Z PRZESŁANIEM

Skierowana do miłośników niezwykłości bardziej w stylu Tima Burtona „Seria niefortunnnych zdarzeń” i „Łowcy trolli” odświeżający schematy młodzieżowych opowiadań o dorastaniu na przedmieściach to tak naprawdę dwie strony tej samej monety. Świetna rozrywka dla młodszych i starszych,

w której sercu leży tradycyjny, rodzinny przekaz, widoczny i odczuwalny mimo całego bogactwa i fantazyjności, z jaką fabuły są opowiadane. A co do dydaktyzmu, to jeszcze jedna ważna rzecz: bohaterowie jednego i drugiego serialu odpowiedzi na trudne pytania szukają w bibliotekach. W Stanach czytelnictwo i sprzedaż książek rosną. W Polsce – maleją. Co nam to mówi o polskich produkcjach dla dzieci?



★★★★★
„SERIA NIEFORTUNNYCH ZDARZEŃ” („A SERIES OF UNFORTUNATE EVENTS”)
SEZON 1, USA 2017



★★★★★
„ŁOWCY TROLLI” („TROLL-HUNTERS”)
SEZON 1, USA 2016

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Tadeusz Gajcy był moim zdaniem najwybitniejszym przedstawicielem literackim pokolenia Kolumbów. A pańskim?

STANISŁAW BERES: Szczerze mówiąc, nie mam ochoty na takie deklaracje, bo musiałbym podać dowody wyższości Gajcego nad Baczyńskim, gdyż to ich najczęściej zestawiano. Niestety, takich dowodów nie ma, co wiemy z bezna-
dziejnych dyskusji na temat tego, kto lepszy: Mickiewicz czy Słowacki, Herbert czy Miłosz. Kiedy byłem młody, bez wahania wskazywałem na Baczyńskiego, bo jego legenda – jako nowego Słowackiego – narodziła się już w czasie okupacji, a w kreowanie go na poetycki brylant zaangażowali się wybitni pisarze i profesorowie. Gajcy natomiast zawsze był „brzydkim kaczątkiem”, ponieważ pochodził z biednego, robotniczego środowiska, a podziemny „salon” był inteligencki i źle tolerował pyskatech chłopców od Piaseckiego, którzy wnosili do niego polityczny ferment. Po wojnie próbowano sugerować, że stanowią „drugą ligę”, na dodatek podejrzana politycznie, więc pewnie wielu z nas wmówiono, że Baczyński jest najlepszy. Dzisiaj już nie jesteśmy tego tacy pewni. Dowodem są opinie Herberta, Miłosza, Iwaszkiewicza, a nawet Staffa.

Związki z endecją wyniósł ze szkoły czy z domu?

Zdecydowanie to pierwsze, ponieważ uczył się w liceum ojców marianów na Bielanach, którzy pieczołowicie strzegli tradycji pravicowych, a nawet objęli duchowym patronatem Obóz Narodowo-Radykalny.

Jak zapisał się w jego biografii Wrzesień '39?

To był dla niego szok. Stawił się w punkcie werbunkowym, ale go odprawiono – jako niepełnoletniego – więc zgodnie z rozkazem płk. Romana Umia-
stowskiego ruszył na wschód i 17 września dotarł do Włodawy, gdzie trwała już bitwa, a Niemcy wkraczali do miasta. Nie został więc żołnierzem, nie wziął udziału w walce, nieładnie zmęczony i zrozpaczony ruszył z powrotem do stolicy. Była to droga wśród pogorzeli i trupów – ludzkich oraz zwierzęcych. Opisy tego, co widział, odnajdujemy w jego prozie.

W jakich okolicznościach związał się ze środowiskiem „Sztuki i Narodu”?

Ponieważ był studentem podziemnej polonistyki, gdzie spotkał m.in. Andrzeja



Z prof. Stanisławem Beresiem, autorem książki „Gajcy w pierścieniu śmierci” rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert



FOT. ROBERT CZEPIELEWSKI/EAST NEWS

Papierowy Krzyż Walecznych

Trzebińskiego, Wacława Bojarskiego, Tadeusza Borowskiego i Władysława Bartoszewskiego, z miejsca znalazł się w kregu prawdziwych spraw konspiracyjnych. Pierwszych dwóch kolegów było członkami silnie pravicowej Konfederacji Narodu i liderami świeżo powołanego przez nią do życia pisma podziemnego „Sztuka i Naród”, więc Gajcy, jako absolwent liceum ojców marianów, musiał im się wydawać dobrym kandydatem do współpracy. Kiedy redakcja ogłosiła

w 1942 r. konkurs poetycki, a Gajcy zdobył w nim trzecią nagrodę, jego akces do zespołu był rzeczą oczywistą. Z miejsca został ważnym autorem „SiN”, a ponieważ tragiczna seria wkrótce skosiła trzech pierwszych redaktorów pisma, już jesienią 1943 r. został jego naczelnym.

Skąd się wzięła tak ogromna antypatia Czesława Miłosza do twórców tej formacji?

Mówiąc najkrócej, Miłosz zawsze miał wrogi stosunek do prawicy, a do

jej skrajnego skrzydła, jakim był ONR, szczególnie. Ponieważ Konfederacja Narodu stanowiła jego kontynuację, swoją niechęć automatycznie przeniósł na młodych autorów z jej prasowego organu, który Miłosza doprowadzał do białej gorączki. Kiedy zaś w marcu 1942 r. Bojarski, Trzebiński oraz Gajcy przyszli na jego konspiracyjny wieczór autorski i zaatakowali go jako „zgniłego liberała” oraz nieledwie dekonwnika, zapalał do nich żywą nienawiścią. Nie wiadomo, czy nie miała w tym również jakiegoś udziału erotyczna rywalizacja z Trzebińskim. W każdym razie odtąd już do końca długiego życia Miłosz jechał na nich jak na suchej chabecie.

Jednak to jeszcze nie wszystko. Dzieliła ich też przepaść estetyczno-światopoglądowa, bo oni uwielbiali romantyczny i katastroficzny wizjoneryzm, który on przechorował w młodości, więc uważał go za anachronizm. Szczególnie jeżył się na koncepcje mesjanistyczno-prometejskie zmieszane z ideologią nacjonalizmu. Kaskaderskie postawy ofiary za ojczyznę budziły jego najżywszą niechęć. On to traktował niemalże jak patriotyczne obłąkanie. Jak mocno zatem musiał być zdumiony, gdy po wojnie narodził się kult poezji pokolenia wojennego, a tomiki poetów „SiN” wykupywano na pniu. Krytykować ich dalej nie mógł, bo bohatersko zginęli, a on opuścił Warszawę, gdy wybuchło powstanie. Co więcej, władze PRL ich sekwowały, więc nie mógł im basować. Jak sam przyznał, poczuł się zakneblowany moralnie, toteż ograniczał się do sarkastycznych komentarzy. Jednak co ciekawe, uczciwie przyznawał się do wewnętrznego rozdarcia pomiędzy szacunkiem a polityczną niechęcią. W końcu oni poszli na barykady, a on nie. Z takim obciążeniem trudno konserwować niechęć do tych, którzy zginęli.

Złożenie wieńca przez Gajcego, Bojarskiego i Stroińskiego pod pomnikiem Kopernika było dowodem ignorancji czy brawury?

Chcieli dokonać czegoś spektakularnego, tymczasem ich dowódcy kazali im działać w kulturze. Marzyli o partyzantce w ramach Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, dla których tworzyli piosenki marszowe, a tu każą im pisać artykuły i ciągnąć obowiązki redakcyjne. Co za nuda! Wymyślili zatem sobie akcję, po

której będą o nich mówić w całej Warszawie i eksponować w prasie emigracyjnej, więc zabrali ze sobą aparat fotograficzny. A co gorsza, pożyczili pistolet, który nie był im do niczego potrzebny, bo składanie wieńca pod pomnikiem Kopernika to tylko manifestacja patriotyczna. No i skończyło się, jak się skończyło: zdenerwowany Gajcy wystrzelił, granatowa policja i Niemcy poderwali się na nogi, w efekcie Bojarskiego śmiertelnie raniono, Gajcy czmychnął, a Stroińskiego uwięziono na Pawiaku, skąd wy dostał się po paru miesiącach tylko cudem (czytaj: łapówką). Akcja przeszła do legendy wyłącznie ze względu na rozlaną krew. W podziemiu ich krytykowano, choć z rodzajem politowania. Sam Gajcy doszedł do wniosku, że poeci się do tego typu akcji nie nadają.

Uda się jeszcze kiedyś wyjaśnić dokładne okoliczności śmierci autora „Widm”?

Nie liczyłbym na to. Rówieśnicy Gajcego mają w tej chwili 94 lata i pozostało ich naprawdę niewielu. Świadków zdarzeń na reducie przy ul. Przejazd było niewielu, bo to było istne piekło.

W dobie mody na historię alternatywną zapytam, jak potoczyłyby się losy bohatera pańskiej książki, gdyby nie poległ podczas powstania?

Pewnie byłoby z nim tak jak z Baczyńskim z wiersza Szymborskiej „W biały dzień”, w którym jest on podstarzałym, łysawym literatem w okularach z domu pracy twórczej Astoria w Zakopanem, takim samym jak inni goście. Zapewne jego los w PRL byłby podobny do losów kolegów z organizacji, którzy przeżyli powstanie: musiałby uznać władzę komunistów, pisałby wiersze socrealistyczne, by z czegoś żyć, drukowałby wiersze w „Dziś i Jutro”, w „Kierunkach” i „Słowie Powszechnym”, a książki w wydawnictwie PAX. Nie jest pewne, czy stałby się kimś takim jak Herbert, bo może poszedłby drogą Bratnego. Jednak może dożyłby naszych czasów i ktoś w rządzie wreszcie przebudziłby się, że ten 94-letni starzec wciąż jeszcze nie otrzymał Krzyża Walecznych. Według mnie to skandal, że od roku rządzi prawica, a jej bohaterski poeta, z którego jest tak dumna, nie doczekał się odznaczenia, o które wnioskowali jego dowódcy.



**STANISŁAW
BEREŚ
„GAJCY
W PIERŚCIENIU
ŚMIERCI”
CZARNE 2016**

**POLSKIE
„HOUSE OF CARDS”**

**WOTUM
NIEFUNNOŚCI**
W KREGACH WŁADZY I
**REMIGIUSZ
MRÓZ**
FILIA

**ŻĄDZA WŁADZY,
KORUPCJA, MANIPULACJA,
SZANTAŻ.**

www.wydawnictwofilia.pl
www.mrocznastrona.pl

**FILIA MROČNA
STRONA**

książka dostępna w salonach
empik



Idziemy



Dariusz Styczek

Polacy wracają do kina. Odradzanie się miłości do dużego ekranu najbardziej widoczne jest w mniejszych miejscowościach

Setki kanałów telewizyjnych, specjalne serwisy w Internecie i krążki Blu-ray nie zabiły tradycyjnej kultury kinowej. Przeciwnie – wyraźnie widoczny jest powrót Polaków przed wielki ekran.

Na odradzanie się biznesu kinowego wpływa jednocześnie kilka czynników. W ocenie Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (PISF) do najważniejszych należy zaliczyć procesy rynkowe – wzrost zainteresowania Polaków ofertą kin. Nie mniej

istotne są zmiany technologiczne, przede wszystkim cyfryzacja, dzięki której wszystkie kina mają równy dostęp do premier filmowych, inaczej niż w czasach taśmy analogowej 35 mm. Ważne jest również wsparcie ze strony instytucji publicznych, takich jak PISF czy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (MKiDN). Polski Instytut Sztuki Filmowej wspiera wszystkie podmioty prowadzące kina – zarówno prywatne, jak i samorządowe. Z kolei resort kultury prowadzi program

związany z rozwojem infrastruktury – głównie samorządowych domów kultury, które z reguły dysponują salą kinową.

KULTURA WRACA DO POWIATÓW

W ocenie Magdaleny Sroki, szefowej PISF, zjawisko odradzania się miłości do kina jest najbardziej spektakularne w mniejszych lokalizacjach. – Wraz z przywróceniem działalności kina lub jego modernizacją kina stają się atrakcyjnymi ośrodkami dostępu do kultury

do kina



FOT. EUTOLIA

filmowej – zauważa Sroka. – Widzowie dzięki łatwemu, a także często tańszemu niż w większych miastach dostępowi do filmów coraz częściej wybierają kino w miejscu zamieszkania, a nie – tak jak wcześniej – w większym mieście, gdzie się uczą lub pracują.

Powrót kultury chodzenia do kina to także efekt odpowiedniej polityki. Obiekty studyjne, lokalne, domy kultury dostosowują ofertę do potrzeb mieszkańców, prezentują programy skierowane do wybra-

nych grup widzów – młodzieży, dzieci czy seniorów. Odradzają się popularne niegdyś poranki dla młodej widowni. Jak grzyby po deszczu w mniejszych ośrodkach pojawiają się festiwale, przeglądy filmowe czy programy edukacyjne.

Zjawisko renesansu kina to w dużym stopniu efekt prowadzonej od 10 lat rozsądnej polityki wspierania kinematografii. Z programów wsparcia prowadzonych przez PISF korzystają zarówno kina prywatne, jak i samorządowe. Na

wsparcie może liczyć każda spółka prowadząca kino, niezależnie czy prywatna, czy samorządowa. Od początku swojej działalności, czyli od ponad 10 lat, PISF przeznaczył na modernizację kin prawie 32 mln zł, a na ich cyfryzację – 18 mln. Łącznie zatem państwo wsparło branżę kwotą 50 mln zł.

– To PISF w 2011 r. był pierwszą instytucją publiczną, która pomogła małym kinom przejść proces cyfryzacji. W 2011 r. stał się on nieunikniony,

Wyniki oglądalności (Box Office) 2014–2015

frekwencja w kinach w 2014 r. **40,4 mln**

48,79 proc.

19,7 mln

filmy amerykańskie

15,50 proc.

6,3 mln

filmy europejskie

27,14 proc.

11 mln

filmy polskie

pozostałe

Źródło: PISF

frekwencja w kinach w 2015 r. **44,7 mln**

64,64 proc.

28,9 mln

filmy amerykańskie

14,15 proc.

6,3 mln

filmy europejskie

18,65 proc.

8,3 mln

filmy polskie

pozostałe

RYS. PEGAZ

obiektem posługującym się sprzętem analogowym groziło zamknięcie. Dzisiaj wspieramy cyfryzację już nie pierwszej sali w danym kinie, ale drugiej, trzeciej – mówi Sroka.

NOWE SALE W KAŻDYM MIEŚCIE

Biznes kinowy stawia przede wszystkim na modernizację obiektów. – Obserwujemy tendencję do remontowania i przywracania do życia obiektów, w których kiedyś działały kina. W ciągu ostatniej dekady na mapę Polski wróciło ok. 100 takich placówek – podsumowuje dotychczasowe zmiany Magdalena Sroka.

Kolejny krok to inwestycje w nowe sale. Szczególnie dotyczy to miejscowości, w których nie ma konkurencyjnego kina, a odległość do najbliższej placówki wynosi 20–30 km. Również duże sieci kin ponownie inwestują w nowe lokalizacje. Obiekty powstające w większych miastach konkurują ze sobą lokalizacją, profilem, repertuarem. Poza tym PISF zachęca kina jednosalowe do przekształcania się w wielosalowe, wspierając takie projekty finansowo.

Aktywni chcą też być prywatni operatorzy. – Jesteśmy gotowi budować kina wszędzie, ale zawsze patrzymy nie na obecną sytuację, ale na to, jakie są prognozy dotyczące sytuacji materialnej, wzrostu populacji w danej miejscowości przez najbliższe 10–20 lat itp. To jest bardzo trudne, ale tak to działa – wyjaśnia Piotr Zygo, prezes zarządu Multikino SA (Vue). Wybudowanie kina to inwestycja, która zwraca się dopiero po latach. Umowę podpisuje się na minimum 10 lat, a zwyczajowo są to kontrakty

51,5 mln

WIDZÓW POSZŁO DO KIN W 2016 R.

12,9 mln

WIDZÓW OBEJRZAŁO POLSKIE FILMY

25 proc.

CAŁEJ WIDOWNI KINOWEJ PRZYCIĄGNĘŁY OBRAZY POLSKICH TWÓRCÓW

5 polskich tytułów

MAŁO PONAD 1 MLN WIDZÓW

dłuższe. Stąd budowa nowych obiektów to proces rozłożony na lata, a decyzje inwestycyjne są dobrze przemyślane. – Otoczenie rynkowe i prawne w Polsce nie jest zachęcające do inwestycji w kina

– zaznacza Zygo. I wskazuje m.in. na problem związany z piractwem w sieci.

Nowych graczy i obiektów wciąż jednak przybywa. W listopadzie 2016 r. nowa sieć kinowa – OhKino – otworzyła swój pierwszy obiekt w Mysłowicach. A jeden z liderów rynkowych – sieć Helios (41 kin i 47 tys. miejsc) – chwali się, że w 2016 r. otworzył cztery kina: w Poznaniu, Przemyśle, Gdańsku i Tomaszowie Mazowieckim. – W tym roku zamierzamy otworzyć kolejne obiekty. Wkrótce nasza sieć powiększy się m.in. o kino w Wołominie, a pod koniec 2017 r. uruchomione zostanie pierwsze kino Helios w Warszawie – mówi „Do Rzeczy” Tomasz Jagiełło z Heliosa.

Prowadzący kina budują markę, profilują swoje kina, a także biorą pod uwagę preferencje swoich widzów. W jaki sposób? Atrakcyjne filmy, ciekawy przegląd, oferta dla różnych grup wiekowych, zachęty do bycia wiernym kinomanem, stały kontakt z widzami – to tylko niektóre z elementów wpływających na wzrost liczby widzów, a także na rozwój rynku kin.

MAGNES POLSKICH PRODUKCJI

Najlepszą motywacją dla kin, by inwestować w biznes, jest dobry film, który przyciągnie widzów. W ubiegłym roku polskie filmy obejrzało prawie 13 mln widzów (o 19 proc. więcej niż rok wcześniej). Dla porównania – w 2005 r. widownia rodzimych produkcji sięgała ledwie 700 tys. osób.

PISF, od lat wspierając polskie filmy, stawia na ich jakość. I to znajduje odzwierciedlenie w wynikach oglądalności polskich produkcji w ostatnich latach. W ubiegłym roku pięć polskich filmów osiągnęło ponadmilionową widownię. Według Piotra Zygi ważne jest, by stymulować produkcję nowych obrazów. Takimi zachętami byłyby Oscar dla polskiego filmu, wieloletnie działania PISF czy pojawianie się zupełnie nowych producentów filmowych na rynku.

W podobnym tonie wypowiada się Tomasz Jagiełło. – Polska kinematografia rozwija się w szybkim tempie, proponując widzom szeroki wybór gatunków, dobre scenariusze i świetny montaż. Wierzę, że ten trend się utrzyma – dodaje.

Jakie są perspektywy dla całego rynku? Bardzo optymistycznie ocenia je Piotr Zygo. Jego zdaniem za maksimum pięć lat Polacy mogą kupić nawet 60 mln biletów do kina rocznie.

Już za tydzień w tygodniku **DO RZECZY** dodatek specjalny z serii Polonia Recordatur



CHWAŁA ORĘŻA POLSKIEGO **DODATEK SPECJALNY**

Bitwy Legionów

- Strzelcy komendanta Piłsudskiego
- Boje od Kielc do Wołynia • Żydzi w szeregach!



 **PGNiG**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Instrukcja obsługi miłości



★★★★★

REŻ. MARIA
SADOWSKA
„SZTUKA
KOCHANIA”
POLSKA 2016

wyst. Magdalena
Boczarska,
Justyna Wasilewska,
Piotr Adamczyk,
Eryk Lubos

Według twórców „Sztuki kochania” płeć piękna w czasach PRL podlegała podwójnej opresji: ze strony komunistycznej władzy i Kościoła.

Nie mam powodów, by źle wspominać Michalinę Wiśtocką. Będąc ubogim studentem, dorabiałem do stypendium, handlując książkami na niedzielnej giełdzie. Trudno w to dziś uwierzyć, ale słowo pisane było wówczas w Polsce artykułem pierwszej potrzeby. Przez moje ręce przeszło sporo egzemplarzy „Sztuki kochania”. Pamiętam, że schodziły ze znacznym przebicciem, choć większość Polaków miała już ich lekturę za sobą. Nie sądzę, by filmowa biografia propagatorki „radosnej zabawy w łóżku” powtórzyła tamten sukces. W III RP sława Wiśtockiej mocno bowiem

przygasała. Pojawili się nowi, znacznie śmielsi edukatorzy. Mamy do czynienia z ofertą skierowaną do elektoratu wchodzącego w wiek emerytalny, który do kina zagląda od wielkiego dzwonu.

Można też zastanawiać się, czy wydanie w 1976 r. „Sztuki kochania” było faktycznie wydarzeniem epokowym. Chcąc obronić taką tezę, scenarzyści przyjęli założenie, że komunizm był pruderyjny do szpiku kości. „Nawet miłość chcą nam zniszczyć!” – pomstuje bohaterka. Tymczasem w Polsce Ludowej, jeśli mnie pamięć nie myli, wciąż mówiło się o świadomym macierzyństwie i planowaniu rodziny (planowanie w ogóle było obsesją towarzyszy). A gdy do władzy dorwał się purytański Jaruzelski, golizna i biedaporno atakowały prawie z każdego kąta.

Rozumiem, że w tego typu produkcjach uproszczenia są nieuniknione, lecz uczynienie z Wiśtockiej bojowniczkii o prawa kobiet i duchowej siostry Agnieszki z „Człowieka z marmuru” to jednak gruba przesada. Kuriozalna jest też scena, w której nie mogąc przełamać oporu Wydziału Kultury KC, pyskata pani doktor udaje się po duchowe wsparcie do biskupa. Jak w znanym porzekadło o szewcu, który bez butów chodzi, autorka „Sztuki kochania” nie miała szczęścia w miłości. Dopiero będąc rozwódką, poznała uroki seksu tantrycznego.

Boczarska w roli Kinseya w spódnicy radzi sobie nadspodziewanie dobrze, lecz jej partnerzy są – z jednym wyjątkiem – irytująco karykaturalni. Przesadzono też z ogrywaniem perwersyjnego wdzięku gierkowszczyzny (ach, te ciuchy, te wczasy w pałacach odebranych feudałom, ten striptiz w naszymniku z rolek papieru toaletowego...).

Maria Sadowska od „Dnia kobiet” – taniej podróbki „Erin Brockovich” – zrobiła znaczne postępy, lecz jej wyobraźnia nadal tkwi w okowach prostackiego feminizmu. Filmowa „Sztuka kochania” jest komedią nawet w momentach, kiedy próbuje być poważna. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ELLE”

Thriller Paula Verhoevena został podczas tegorocznej gali Złotych Globów wyróżniony jako najlepszy film zagraniczny, a Isabelle Huppert uznano za najlepszą aktorkę. Do słowa „thriller” trzeba dodać „psychologiczny”, bo najważniejszy w tej opowieści jest portret silnej kobiety, która próbuje sama wymierzyć sprawiedliwość

po tajemniczym ataku, którego ofiarą padła we własnym domu. Kto pamięta „Nagi instynkt”, ten wie, którą płeć Verhoeven uważa za silną. (pg)

• reż. Paul Verhoeven, wyst. Isabelle Huppert, Laurent Lafitte, Anne Consigny, Francja/Niemcy 2016

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Amerykańska sielanka”, reż. Ewan McGregor, USA 2016
- „Sztuka kochania. Historia Michaliny Wiśtockiej”, reż. Maria Sadowska, Polska 2016
- „Resident Evil: Ostatni rozdział”, reż. Paul W.S. Anderson, Australia/Kanada/Niemcy 2016

Jezus z pistoletem

Nigdy nie jest za późno, żeby się zmienić. W „Pulp Fiction” gangster Jules, wyszedłszy cało ze strzelaniny, wycofał się z branży. Jego druh Vincent w niej pozostał i skończył marnie.

W filmie Bouli Lannersa opatrność wystawia na próbę duet podstarzałych zakapiorów. Gilou i Cochise wyprawiają się na głęboką prowincję, by odzyskać skradziony telefon komórkowy bossa. Poszukiwania idą im jak krew z nosa, bo zdrowie już nie to, co kiedyś, a motywacja szwankuje. Jeszcze gorzej radzą sobie para młodych nierozgarniętych włóczęgów oraz miejscowa – pozał się Boże – mafia.

Okoliczności przyrody też nie są miłe. Od samego patrzenia człowiekowi robi się zimno.

Tytuł „Ostatni będą pierwszymi” sugeruje biblijne konotacje i faktycznie mamy do czynienia z apokryfem. Dość fikuśnym, bo drażał przedstawiający się jako Jezus nie stroni od przemocy. Lannersowi nie chodzi jednak o zgrzywę. Chyba naprawdę wierzy, że głodnych należy nakarmić, zmarłych pochować, a dobrych oddzielić od złych, bo koniec świata może nastąpić szybciej, niż się spodziewamy. Są jeszcze dwa powody, by obejrzeć ten film. Pierwszy to Michael Lonsdale, a drugi Max von Sydow. ©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. BOULI LANNERS
„OSTATNI BĘDĄ PIERWSZYMI”
(„LES PREMIERS LES DERNIERS”)
BELGIA/FRANCJA 2016

wyst. Bouli Lanners,
 Albert Dupontel,
 Suzanne Clement,
 David Murgia



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZEMSTA PO LATACH

Miniserial wyprodukowany przez Ridleya Scotta dla BBC i kanału FX w Polsce pokazywany jest w serwisie HBO GO. Akcja rozgrywa się w roku 1814, do Londynu powraca z wojaży po Afryce James Delaney (Tom Hardy). Uznawano go za zmarłego, a jak się okazuje – żyje i dziedziczy (właśnie zmarł jego ojciec). Szczególnie



★★★★★

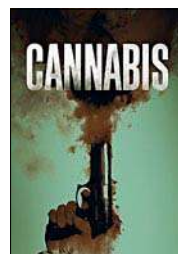
STEVEN KNIGHT,
TOM HARDY
„TABU” („TABOO”)
WIELKA BRYTANIA
2017,
HBO GO

wyst. Tom Hardy, Jonathan Pryce,
 Oona Chaplin

ważnym elementem spadku jest Nootka Sound, kawałek ziemi w Ameryce, na który chrapkę ma potężna Kompania Wschodnioindyjska. Młody Delaney to mroczniejsza odmiana hrabiego Monte Christo – wraca po latach, by się zemścić, w mieszkach trzyma klejnoty, a jego dawna miłość (przyrodnia siostra) ma już innego. Realizacyjnie rzecz wypada znakomicie, XIX-wieczna Anglia jest brudna i odrażająca jak w najmroczniejszych kawałkach z Dickensa. Oby tylko całość nie ześliznęła się w kierunku politpoprawnej agitki antykolonialnej, a już są tego zwiastuny. Kontrowersje budzi też ukazanie Kompanii Wschodnioindyjskiej jako skrzyżowania CIA z mafią i świętą inkwizycją. ©

GDZIE JEST TRAWKA?

Kradzież tony marihuany z przemysłowego kutra na Morzu Śródziemnym uruchamia lawinę wydarzeń. Okradziony gangster prowadzi brutalne śledztwo, by wykryć zdrajcę, pozbawieni towaru handlarze walczą między sobą, a żona domniemanego złodzieja, który zaginął bez wieści, odkrywa, że jej mąż prowadził podwójne życie. W sześcioczęściowej serii najciekawiej nakreślone są dwie postacie: główny bohater Shams (wariogodny Yasin Houicha), czyli arabski młodzieniec trudniący się dilerką, a bez swojej woli wkręcony w machinacje większych graczy, oraz wspomniana żona biznesmena (Kate Moran), który w rzeczywistości zarabiał na dziwkach i narkotykach. Serialowi szkodzi jednak brak tempa. I uczłowieczanie na siłę negatywnych bohaterów, przede wszystkim głównego bandziora El Feo (Pedro Casablanc).



wyst. Kate Moran, Christophe Paou, Yasin Houicha

★★★★★

HAMID HLIOUA
„CANNABIS”
FRANCJA 2016,
NETFLIX

© recenzuje **Piotr Gociak**

GRA TYGODNIA: „CIVILIZATION VI”

„Cywilizacja” to seria, bez której trudno sobie wyobrazić rozwój strategii turowych. Ba, to jedna z tych gier, która z edycji na edycję staje się lepsza, choć miewa potknięcia. Pomimo podobnej mechaniki możliwość pokierowania własną cywilizacją przez tysiąclecia jej

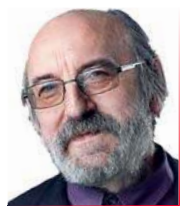
rozwoju nie przestaje bawić. Co nowego w „szóstce”, w której produkcję znowu zaangażował się Sid Meier? Plusy? Piękny silnik graficzny oraz szersze pole manewru w rozbudowie miast i technologii. Gra nabrała głębi, a klimat podkreśla bezbłędna ścieżka dźwiękowa. Minusy? Si czasami nie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

radzi sobie na dużych mapach. Mimo tego warto! © **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Strategia
- **Platforma:** PC/MAC
- **Producent, dystrybutor:** Firaxis/Cenega
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dryblingi Dybciaka

Jak na profesora przystało, swoją najnowszą pracę krytycznoliteracką Krzysztof Dybciak rozpoczyna od rozważań nad istotą i funkcjami krytyki oraz specyfiką eseju, czyli nad zagadnieniami znajdującymi się w centrum tematyki podjętej przez niego w wydanej przez UKSW książce. Nie ukrywam, że przez dwa pierwsze rozdziały nie przebrnąłem i gdybym uparł się, by przeczytać je ze zrozumieniem, tkwiłbym pewnie w okolicach 40. strony kolejny miesiąc, o zawartości pozostałych 340 stron „Wokół czy w centrum literatury?” nie mając pojęcia. Na szczęście zerknąłem w spis treści, gdzie moją uwagę przykuły nazwiska tuzów literatury polskiej, z Mickiewiczem i Sienkiewiczem na czele, Czesława Miłosza i Jana Józefa Szczepańskiego, współczesnych krytyków z Maciejem Urbanowskim przede wszystkim, a i takich postaci jak Zygmunt Kubiak, Bohdan Pocię i sam Stefan Kisielewski, któremu prof. Dybciak poświęcił szkic zatytułowany „Kisiel renesansowy. Wstęp do aksjologicznej komparatystyki twórczości”.

Z uprawiającymi literaturę ludźmi nauki mamy tę biedę, że ich pisarstwo naukowym musi być niejako z zasady. Tymczasem, gdy autorowi choć przez chwilę udaje się o tym zapomnieć, natychmiast to, co pisze, staje się może i mniej uczone, za to niesłychanie ciekawe, a przy tym skrzące się od dowcipu i inteligencji. A wtedy – tak jak przy czytaniu „Kisielewskiego” – przypominamy sobie, że Krzysztof Dybciak to nie tylko znamienity historyk i teoretyk literatury, lecz także świetny eseista i błyskotliwy poeta, a w swoim życiu zawodowym zajmował się nie tylko twórczością Karola Wojtyły, co skądinąd jest tego autora tytułem do chwały.

W każdym razie potrafi prof. Dybciak zaskakiwać, tak jak wtedy, gdy zbiera i porządkuje



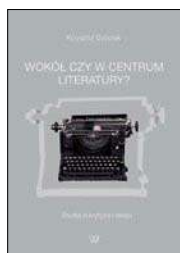
FOT. ANDRZEJ RYBICKI/PAF

dowody na to, że nie kto inny, ale właśnie Kisiel był najwzrostrońniejszym polskim twórcą po II wojnie światowej. Konstruuje w tym celu listę kryteriów, według których ustalić można rangę zasług twórców uprawiających wyłącznie jedną dziedzinę sztuki, a do tego jakże często w ramach tej jednej wykazujących swoje mistrzostwo w różnych gatunkach i rodzajach. Porównania do sportu nasuwają się automatycznie.

Nic dziwnego zatem, że autor ich dokonuje, zwłaszcza że – jak powiada – w wielu rzeczach całkowicie utożsamiał się z Kisielem, „od spraw najważniejszych, jak umiłowanie wolności indywidualnej i zbiorowej, walka z komunizmem w wszelkich postaciach, po sprawy mniej ważne, choć dla niego charakterystyczne, jak akceptacja ludzkiej sfery kultury i fascynacja sportem”. Ulubioną grą Stefana Kisielewskiego była piłka nożna. Wygląda na to, że Krzysztofa Dybciaka również, w przeciwnym razie nie znalazłoby się w omawianym szkicu takie zdanie: „Czy

bardziej cenić należy przebojowość i umiejętność strzelania goli Puska lub Eusebio czy też techniczne wirtuozostwo i akrobatyczną zwinność Pelego, fenomenalny drybling Garrinchy lub Gento, czy raczej geniusz taktyczny Di Stefanu albo Beckenbauera, a może fantazję i przebiegłość Maradony?”. W tym kontekście przewaga Kisielewskiego – nie dość tego, że pisarza i felietonisty, to jeszcze kompozytora – nad konkurencją staje się nietrudna do udowodnienia, co też krytyk czyni z właściwą sobie maestrią.

Apióro ma znakomite. Już na początku „Kilku myśli o Janie Błońskim” znajdziemy znamienity przypis, który cytuję z tym większą satysfakcją, że krakowska skłonność do urządzania rozmaitych benefisów i akademii na cześć dawno już przeobraziła się w karykaturę. W 2002 r. ukazało się tam dzieło zbiorowe „Jan Błoński... i literatura XX wieku”, a w nim stosowny szkic o autorze „Zmiany warty” sporządzony przez Stanisława Balbusa. „Spokojny zazwyczaj teoretyk – czytamy – postanowił przeliczyć w komplementach wszystkich innych laudatorów, co tylko częściowo mu się udało. Bo nawet jeżeli zaczynamy wierzyć w prekursorstwo jubilatą jako chronologicznie pierwszego w Polsce wynalazcę kulturowej semiotyki, strukturalizmu i semantyki form literackich, to nie możemy uwierzyć w pierwszeństwo rozpoznania historycznoliterackich, bo przeczą temu elementarne dane. Prof. Balbus pisze na s. 27, iż wydana w 1961 roku »Zmiana warty« wyprzedziła aż o 13 lat »Klucze do wyobraźni« Kwiatkowskiego z 1964 roku oraz o lat osiem »Rzecz wyobraźni« Wyki – opublikowaną w 1959 roku, czyli dwa lata wcześniej”. „To naprawdę – konkluduje Krzysztof Dybciak – za daleko idąca dekonstrukcja praw rządzących czasem”. ©



★★★★★

**KRZYSZTOF
DYBCIAK**
„WOKÓŁ CZY
W CENTRUM
LITERATURY?”
WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
KARDYNAŁA
STEFANA
WYSZYŃSKIEGO,
WARSZAWA 2016



TYLKO U NAS!

SZOKUJĄCE ZBRODNIĘ KAPO W NIEMIECKICH OBOZACH

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

- Tomasz Stańczyk – Gan-Ganowicz, pogromca komuny / Dave Barr – Byłem najemnikiem w Angoli / Tymoteusz Pawłowski – Polscy mudżahedini / Sławomir Cenckiewicz – Rozkazy likwidacyjne LWP / Nikołaj Iwanow – Stalin i homoseksualizm / Piotr Włoczyk – Wywiad z weteranem bitwy pod Kockiem / Rafał A. Ziemkiewicz – KGB i wirus HIV / Sławomir Koper – Jak polska księżna zastrzeliła kochanka

i wiele, wiele więcej
eprasa.pl 6a500a54bf



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

To, co ważne

Tadeusz Woźniak nigdy nie był artystą z mojej bajki, na „Zegarmistrza światła”, Ali-Babki, Tajfuny i Dzikusy byłem za młody, a potem słuchałem czegoś zupełnie innego. W tym przypadku to zaleta, bo mogłem czytać wywiad rzekę z pieśniarzem i kompozytorem bez obciążenia ślepą fanowską bezrozumnością. Czuję niedosyt, bo o wielu poruszonych kwestiach chciałbym się dowiedzieć więcej – dzieciństwo na powojennej Woli, polski „szół biznes” (cudzyśłów użyty celowo) lat 60., wszechwładza wojskówki i esbecji nad instytucjami kulturalno-estradowymi w PRL.

Prowadzący rozmowę Witold Górka wybrał jednak rolę wyrozumiałego słuchacza, a nie docieklivego śledczego, więc w większości przypadków pozwala swojemu bohaterowi po prostu się wygadać na tyle, na ile tamten sam uzna za stosowne. Woźniak opowiada chętnie i barwnie, ma dobrą pamięć oraz poczucie humoru, można zatem było wycisnąć z niego dużo więcej.

Miłośnicy twórczości autora „Smaku i zapachu pomarańczy” będą zadowoleni tak czy inaczej, bo jeśli chodzi o kulisy pracy kompozytora, to naprawdę sporo można się z tego wywiadu dowiedzieć. Także o długim okresie, kiedy Woźniak porzucił pisanie i śpiewa-

nie piosenek na rzecz pracy dla teatru. „Nie tęskniłem specjalnie za trasami, hotelami i koncertami. Jeżdżenie w trasy to było dla mnie znienawidzone zajęcie”. Ta emigracja trwała od początku lat 70. do wydarzeń roku 1989. „Byliśmy jako twórcy zupełnie nieprzygotowani na taką sytuację – wspomina Woźniak – poczułem, że w nowych warunkach, aby być w zgodzie ze sobą, muszę wrócić do piosenek”.

W ostatnich rozdziałach książki dużo jest o życiu prywatnym, a to za sprawą narodzin trzeciego syna, Filipa. Dziecko z zespołem Downa. I tu same herezje: rodzice zrezygnowali z badań prenatalnych, bo „co ma być, to będzie”. Życie z Filipem uważają za pełne i udane. Gromy padają na Związek Nauczycielstwa Polskiego – za znieczulicę i zwykłe lenistwo. „Po urodzeniu Filipa przybyło nam przyjaciół, a nie ubył”. To równie wzruszająca tyrada przeciw aborcji eugenicznej jak zakazany we Francji klip, w którym dzieci z zespołem Downa

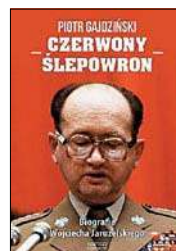
opowiadają o tym, że też mogą uczynić swych rodziców szczęśliwymi. Filip „uświadomił nam, Joli i mnie, co jest naprawdę ważne – mówi Woźniak – co z tego, że to dziecko nie będzie profesorem uniwersytetu. Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie?”. A Filip ma się dobrze. Nawet trochę muzykuje. ©©



★★★★★
TADEUSZ WOŹNIAK, WITOLD GÓRKA
„ZEGARMISTRZ ŚWIATŁA”
ZYSK I S-KA 2016

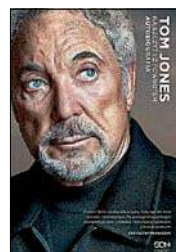
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Biografia Wojciecha Jaruzelskiego – mocno krytyczna, co nie dziwi, ale nie histeryczna. To, co wiemy o twórcy stanu wojennego, w zupełności wystarcza, by opowieść o jego dokonaniach była lekturą ponurą i przynębiającą.



PIOTR GAJDIŃSKI
„CZERWONY SĘP”
ZYSK I S-KA

Walijski baryton znany z „Sex Bomb” czy „It’s Not Unusual” zabawnie o zakrętach swojej kariery – od fabryki rękawiczek do scen w Las Vegas. Plus mrowie kapitalnych anegdot na temat innych sław, które poznał.



TOM JONES
„NA SZCZYT I Z POWROTEM”
SQN

Klasyka wiecznie żywa, czyli epopeja Borysa Pasternaka o Rosji w pierwszych dwóch dekadach XX w. Powieść wyróżniona w 1958 r. Literacką Nagrodą Nobla (nieodebraną przez autora). Nowa, elegancka szata graficzna.



BORYS PASTERNAK
„DOKTOR ŻYWAGO”
REBIS

„Podręcznik bojowy” równie dobrze mógłby nazywać się „Obrona sarmatyzmu”. Książka pełna pasji i wiedzy, owoc pracy znawcy epoki oraz jej piewcy – Jacka Kowalskiego. Kapitalnie ilustrowana.



JACEK KOWALSKI
„SARMACJA. OBALANIE MITÓW”
ZONA ZERO

©© poleca Piotr Gociek

NAJLEPSZE KSIĄŻKI HISTORYCZNE DRUGIEJ POŁOWY ROKU 2016:

- „W rolach głównych” – biografie i wspomnienia:
 - Anna Mieszkowska „Mistrzowie kabaretu. Marian Hemar i Fryderyk Jąrosy” (Zwierciadło);
 - Heinz Heger „Mężczyźni z różowym trójkątem” (Ośrodek Karta);
- „Okieł badacza” – książki naukowe i popularnonaukowe:
 - Mary Beard „SPQR. Historia starożytnego Rzymu” (Rebis);
 - Tomasz Owoc „Jeńcy wojenni w okupowanym Krakowie 1939–1945” (Muzeum Historyczne Miasta Krakowa);
- „Historia niebanalna” – książki ujmujące tematy historyczne w sposób nietuzinkowy:
 - Krystyna Kaplan „Londyn w czasach Sherlocka Holmesa” (PWN);
 - Grzegorz Motyka „Wołyń ‘43” (Wydawnictwo Literackie).

(Wyniki plebiscytu Historia Zebrana organizowanego przez portale Histmag.org oraz Granice.pl)



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

Judasz zwycięski!

Judasz!" – wykrzyknął jeden z widzów podczas koncertu Boba Dylana w Manchesterze 17 maja 1966 r. Najśłynniejszy bard miał bowiem czelność odłożyć gitarę akustyczną i zaprosić na scenę elektryczny zespół. Było to jedno z najbardziej legendarnych zdarzeń w historii muzyki popularnej. Okrzyk został uwieczniony na najśłynniejszej pirackiej płycie, tzw. Bootlegu, o błędnym tytule „Royal Albert Hall”. Oficjalnie album ukazał się 32 lata po tym zdarzeniu jako koncert z Manchesteru.

Teraz mamy pierwszy raz cały koncert z Londynu. W 1966 r. Dylan był u szczytu artystycznych możliwości. Kiedy nagrał „Blonde on Blonde”, trzeci

z albumów, które zmieniły bieg nie tylko muzyki, wyruszył na światowe tournée. 26 maja zagrał w Royal Albert Hall. Najpierw



★★★★★
BOB DYLAN
„THE REAL ROYAL
ALBERT HALL
1966 CONCERT!”
SONY

wykonał olśniewająco siedem piosenek, akompaniując sobie na gitarze i harmonijce. Po czym pojawił się zespół The Hawks, który przejdzie do historii jako The Band. Wspólnie z mistrzem grupa zagrała „hałaśliwy”, rockowy set, w którego finale rozbrzmiała nieśmiertelna „Like a Rolling Stone”. 50 lat później Dylan dostał Nobla. Jeśli ktoś ma wątpliwość za co, to niech posłucha tego albumu i zrozumie zawarte na nim teksty. ©©



★★★★★
TONY BENNETT
„CELEBRATES 90”
SONY

Jeden z największych wokalistów Ameryki świętował 90. urodziny w Radio City Music Hall. Na scenie, u jego boku, pojawili się juniorzy: Lady Gaga, Michael Bublé, Elton John... Na koniec „Happy Birthday” zaśpiewał Stevie Wonder. ©©



★★★★★
KOMETY
„BAL NADZIEI”
THIN MAN

Koncertowy greatest hits tria, które istnieje od 13 lat. 17 zagranych ze sceniczną werwą miniaturowych hymnów o dorastaniu na żoliborskich podwórkach. Nostalgiczne teksty, kąśliwe gitarowe riffy, świetnie pracująca sekcja. ©©

REKLAMA

Czasami życie zależy od rzeczy...

Piotr, lat 27.

Łóżko pielęgnacyjno-rehabilitacyjne, z którego korzystałem po wypadku samochodowym ułatwiło mi codzienne funkcjonowanie podczas wielomiesięcznego procesu rekonwalescencji.



Dzięki wpływom z 1 % Caritas Polska zakupiła:

- 4841 łóżek pielęgnacyjno-rehabilitacyjnych sterowanych pilotem wraz z materacami
- 436 ssaków medycznych
- 851 koncentratorów tlenu

- Oraz innego rodzaju nierefundowany sprzęt medyczny i rehabilitacyjny, który ułatwia codzienność 12 000 osób chorych i poszkodowanych w wyniku różnego rodzaju wypadków w całej Polsce.

...bo czasami życie zależy od rzeczy.



KRS: 0000 198 645

Pobierz darmowy program do rozliczeń PIT 2016 i przekaż swój 1% Caritas Polska.
www.jedenprocent.caritas.pl



MARCIN MAKOWSKI: W jakiej kondycji jest współczesna Europa? Na naszych oczach pisze własne requiem?

STANISŁAW MICHALKIEWICZ: Na pewno w ostatnich dwóch latach, na skutek błędów popełnionych przez Angelę Merkel, zachwiało się niemieckie przywództwo. Poza tym Europa od dłuższego czasu nęka-na jest przez rewolucję komunistyczną.

Marks, Engels i Lenin wstali z grobów czy coś przegapiłem?

Nie, po prostu ich rewolucja nie została zakończona i dzisiaj prowadzona jest według odmiennej strategii. Strategia bolszewicka oparta była na trzech filarach: gwałtownej zmianie stosunków własnościowych, masowym terrorze i masowej propagandzie, zwanej również duraczeniem. Zebrała straszliwe żniwo, ale na dłuższą metę okazała się nieefektywna. Dlatego dzisiaj komuniści działają według strategii, jaką jeszcze w latach 20. XX w. zalecił Antonio Gramsci, który twierdził, że polem bitwy rewolucyjnej powinna być strefa ludzkiej świadomości. W tej strategii na pierwszy plan wysuwa się masowe duraczenie, prowadzone za pomocą piekielnej triady: państwowego monopolu edukacyjnego, mediów i przemysłu rozrywkowego.

To by oznaczało, że musi istnieć jakiś ośrodek dyspozycyjny współczesnej rewolucji...

Przecież istnieją dzisiaj partie komunistyczne.

Jednak są na marginesie politycznym i nie odbierają komunikatów z Kremla.

Kreml nie ma monopolu na komunę. Bardziej wpływowe są partie socjaldemokratyczne, których celem jest również doprowadzenie do komunizmu, ale łagodniejszymi metodami. Oprócz nich najważniejszym środkiem wspierającym współczesną rewolucję jest żydokomuna, czyli Żydzi, którzy są jednocześnie komunistami, a i w ruchu socjalistycznym odsetek Żydów jest stosunkowo wysoki.

Marksistowski spiszek żydokomuny? Przepraszam, ale to, co pan mówi, brzmi, jakbyśmy żyli w latach 50. XX w.

Dlaczego? Ta rewolucja po dziś dzień nastawiona jest na systematyczne niszczenie organicznych więzi społecznych, które przez całe stulecia tworzyły cywilizację łańską. W „Międzynarodówce” śpiewano: „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata”. O jaki „przeszłości ślad” chodzi?



Ze Stanisławem Michalkiewiczem, prawnikiem i publicystą rozmawia Marcin Makowski

Nie ma prawicowej rewolucji

Właśnie o cywilizację łańską, opartą m.in. na greckim stosunku do prawdy, która istnieje obiektywnie. Komuniści nie mogą tego znieść, bo rozumują logiką mądrości etapu: „Palę wszystko, co kochałem, kocham wszystko, co paliłem”. Współczesna komuna nie znosi również prawa rzymskiego, z własnością prywatną na czele, oraz etyki chrześcijańskiej, zamiast której wyznaje etykę sytuacyjną. Jej złotą zasadę wyłożył kiedyś Antoni Zambrowskiemu współlokator celi więziennej w 1968 r.: „Nie ten Żyd, kto Żyd, ale ten, kogo partia wskaże”. W efekcie tej walki Europa doprowadzana jest do stanu bezbronności, co widać w konfrontacji

z cywilizacją islamską, która uchodźcami zalewa nasz kontynent.

Tylko dlaczego pana narracja brzmi tak, jakby w USA wygrał Bernie Sanders, a cała Europa znajdowała się w rękach skrajnych socjalistów? Przecież mówi się o konserwatywno-prawicowej rewolucji.

Chyba pan żartuje. Wydaje mi się, że myli się pan co do charakterystyki ideowej współczesnych polityków „prawicowych”. Front Narodowy we Francji to narodowi socjaliści. Uważany jest on za nurt prawicowy w następstwie chaosu semantycznego, wskutek którego Adolf Hitler, przywódca partii narodowosocja-



lud nie zagłosował na tego kandydata, którego mu wskazały. To jeszcze nie świadczy o niczym poza niesamowitą intuicją Donalda Trumpa, który szóstym zmysłem wyczuł siłę tego sprzeciwu wobec establishmentu. Przedstawił się jako kandydat antysystemowy, ale czy faktycznie taki będzie, to zupełnie inna historia.

Został zatem Viktor Orbán. Może chociaż on jest z krwi i kości konserwatystą?

Orbán, proszę pana, to osobna historia. Węgry na początku lat 90. były takim samym państwem jak Polska, czyli krajem okupowanym przez tamtejszą bezpiekę. Pytanie: Jak w tej sytuacji Orbán mógł dojść do władzy, pozornie przecież wbrew jej interesom. Dlaczego w Budapeszcie nie ma tak zacieklej politycznej wojny, jaka toczy się dzisiaj w Warszawie? Przecież bezpieczniacy się nie nawrócili, bo wilk zmienia skórę, ale nie obyczaje. Według mnie przyczyna leży w niedawnej przeszłości kraju. Francja, Niemcy i Rosja przejęły kontrolę nad tamtejszą gospodarką do tego stopnia, że Węgrzy musieli kupować wodę z Dunaju od państwowej spółki francuskiej. Potężniejsi mocodawcy zagraniczni wysłizgali zatem lokalną bezpiekę ze wszystkiego i odcięli jej źródła finansowania. Ci, gdy zobaczyli, że są bosi i goli, jednym susem przeskoczyli na stronę umęczonego węgierskiego narodu w nadziei, że i dla nich coś odwojuje. Tylko żeby tak się stało, trzeba dać narodowi wojować. Orbán próbuje to wykorzystywać. Proszę zwrócić uwagę, jaki program przyniósł mu po raz drugi konstytucyjną większość. Lider Fideszu zapowiedział, że uwolni Węgry od pułapki zadłużenia. Żeby to zrobić, trzeba jednak przykręcić śrubę, i to nie tylko zagranicznym korporacjom, lecz także własnym obywatelom.

FOT. MICHAŁ WODNIAK / EAST NEWS

listycznej, uważany jest za reprezentanta „prawicy” i to w dodatku „skrajnej”. Oczywiście nie znaczy to, że Front Narodowy chce kogoś mordować, ale upraszczając sprawę, ich program zakłada rozbudowanie świadczeń socjalnych, ale tylko dla Francuzów. Stąd taka charakterystyka z mojej strony.

A jakby pan opisał Kaczyńskiego, Trumpa i Orbána?

Ideą Jarosława Kaczyńskiego jest przedwojenna sanacja i to, co PiS robi w gospodarce, np. w programie jej „repolonizacji”, jest realizacją innej wersji etatyzmu z elementami socjalistycznymi.

W jednej ze swoich książek nazwał pan politykę rządu „gierkizmem”. Prawdziwej prawicy już nie ma?

Użyłem takiego zwrotu, bo jest tak, jak powiedział wicepremier Morawiecki na spotkaniu z przedsiębiorcami w Gorzowie, kiedy zapytano go, z czego będzie finansowany rządowy program rozdawnictwa. De facto z pożyczonych pieniędzy. Gierek robił to samo, tworząc iluzję dobrobytu, a gdy przyszło do oddawania długów, złota epoka błyskawicznie się skończyła.

Jeśli chodzi o Trumpa, to mamy do czynienia z konfrontacją demokracji kierowanej z demokracją spontaniczną. W tej chwili widać, w jak wielkim szoku są lewicowe media, które nie mogą zrozumieć, dlaczego

Węgrzy nie pokochali Orbána za przykręcanie śruby.

To prawda. Dlaczego w takim razie na niego głosują? Myślę, że można to wyjaśnić fragmentem preambuły nowej węgierskiej konstytucji, w której jest mowa o Koronie św. Stefana. Nam to nic nie mówi, ale nad Dunajem znaczy wiele. Korona św. Stefana to bowiem nic innego jak nazwa terytorium węgierskiego sprzed traktatu w Trianon z 1920 r., który został narzucony Węgrom jako kara za ich uczestnictwo w I wojnie światowej po niewłaściwej stronie. To był dla nich traktat rozbiorowy, w którego wyniku państwo utraciło dwie trzecie swojego dawnego terytorium.

■ Sekret popularności Viktora Orbána można zatem przedstawić w skrócie następująco: „Musimy wydobyć Węgry z zadłużenia, trzeba ograniczyć wydatki i socjał, ale mamy w perspektywie dawną wielkość”. Być może zatem z osób, o których rozmawialiśmy, to on jest najbliższy ideałom prawicy. Nie ma zatem wielkiej konserwatywnej rewolucji – ani w Europie, ani na świecie.

Myśli pan, że w Polsce chcielibyśmy obietnicy wielkości, ale brakuje węgierskiego samoograniczenia w wydatkach?

Obecna elita polityczna w ogóle pogubiła się w swoich pragnieniach. Żeby budować silną Polskę, trzeba najpierw odblokować jej potencjał ekonomiczny, który jest zablokowany przez kapitalizm kompradorski, narzucony przez gen. Kiszczaka w Magdalence, przez postępującą biurokratyzację państwa oraz niemiecki projekt Mitteleuropa z roku 1915, który zmierza do podporządkowania gospodarczego i politycznego Warszawy oraz w ogóle Europy Środkowej Berlinowi. Żaden z tych czynników przez rząd PiS nie został dzisiaj nawet osłabiony.

Napisał pan kiedyś, że prawdziwa konstytucja III RP streszcza się do jednego zdania: „Wy nie ruszacie naszych, my nie ruszamy waszych”. Czy obecna wojna pomiędzy rządem a opozycją jest efektem naruszenia tego status quo?

Być może rządy Jarosława Kaczyńskiego doprowadziły starych kiejkutów [w Starych Kiejkutach jest ośrodek szkolenia agentów wywiadu – przyp. red.] do przekonania, że on chce tę zasadę złamać. Stąd ich zaciepka walka o utrzymanie systemu, którego ramy zapisano w 1989 r., kiedy historyczny naród polski dostał 35 proc. politycznego wpływu, a polskojęzyczna wspólnota rozbójnicza – 65 proc. Ponieważ przedstawiciele tej drugiej klasy zaniepokoił się, że te proporcje mogą być zachwiane, posuwają się do działań, które moim zdaniem wyczerpują znamiona zdrady stanu. Nie wiem jednak, czy plany Kaczyńskiego sięgają tak daleko. Widać przecież w zachowaniu PiS wielką powściągliwość. Przejawia się ona m.in. w śledztwie prowadzonym w sprawie afery Amber Gold, gdzie zaprasza się tych wszystkich prokuratorów i utytułowanych wybierających zamiast autentycznych mocodawców, czyli generałów i oficerów WSI, którzy pociągali za sznurki. Ja z tego wyciągam wniosek, że wojna rządu z postkomuną przebiega w myśl zasady: „Kopiemy się po kosztach,

ale nie wyżej”. Myślę, że pani Małgorzata Wassermann to wie, inaczej zaprosiłaby na przesłuchanie gen. Dukaczewskiego. A nawet jeśli chciała to zrobić, to ktoś jej to zapewne wyperswadował. Podobnie działa opozycja.

To znaczy?

Też jest na pasku, ale Berlina. Schetyna, Petru i Kijowski zostali desygnowani do konkretnych zadań antyrządowych przez oficerów prowadzących, którym z kolei polecenie wydała niemiecka Federalna Służba Wywiadowcza.

Wszystko można wytłumaczyć zakulisowymi wpływami służb?

Nie wszystko.

Na razie w naszej rozmowie większość rzeczy zdaje się mieć spiskową genezę.

Byłbym zdumiony, gdyby Polska nie była penetrowana przez służby obcych wywiadów.

Niewątpliwie. Jednak sądzi pan, że i Petru, i Kijowski, i Schetyna to agenci, którzy czekają na sygnał?

Czy pan się chce dowiedzieć, co ja myślę, czy chce mnie skarcić za to, że niewłaściwie odpowiadam na pytania?

A czy pan chce uczestniczyć w wywiadzie czy wygłosić monolog? Jeśli przeprowadzamy wywiad, to zadaję pytania, które nie muszą być wygodne. Chcę bowiem wiedzieć, jak się pan do nich ustosunkuje.

Wyjaśniam zatem, że w drugiej połowie lat 80. bezpieczeniacy wiedzieli, że nastąpi transformacja ustrojowa, i szukali za wszelką cenę jakiejś polisy ubezpieczeniowej. Wiedzieli, że jak się Sowietci wycofają, to

stanowcze decyzje. Być może ta teoria spiskowa trochę sprawę upraszcza, ale dosyć dobrze wyjaśnia, co się dzieje. Jak inaczej zrozumieć, że tego samego dnia, kiedy w Sejmie zaczyna się okupacja, do Wrocławia zjeżdża Donald Tusk? Że wieczorem Schetyna zapowiada okupację Sejmu do skutku, a rano bez wyraźnych przyczyn ją zawiesza? Ktoś musiał mu coś ważnego w nocy powiedzieć. Od początku tak to dla mnie wyglądało albo przynajmniej od chwili, gdy w roli rozgniewanego ludu na gwałt pod parlament ściągano konfidentów z całej Polski i nawet sam najstarszy kiejkut III RP, pan gen. Marek Dukaczewski, osobiście też się tam pofatygował, a we Wrocławiu Donald Tusk niby przez przypadek wygłasza jednoznaczne polityczne orędzie i włącza się do akcji. Wyobrażam sobie, że pani kanclerz Merkel go uruchomiła, mówiąc: „Słuchaj, chcesz zostać prezydentem, to jazda do Polski i pilnuj interesu”.

A jaki złośliwy agent wysłał Ryszarda Petru do Portugalii i wystawił Mateuszowi Kijowskiemu faktury dla KOD?

Oczywiście jakiś margines głupoty istnieje z każdej strony. Pan Petru chciał być może sprawdzić się jako mężczyzna, Kijowskiemu brakowało na gadżety. Oficerowie prowadzący nie kontrolują wszystkiego. Nie mówią podwładnym, kiedy mają chodzić do wychodka.

Na koniec chciałbym zapytać o coś, co być może łączy pana z Jarosławem Kaczyńskim. W 1992 r. był pan autorem projektu kilku ustaw, które zakładały zmianę ordynacji wyborczej i wybory przeprowadzane według zasad większościowych. Lider PiS też mówi dzisiaj o konieczności zmiany w ordynacji. W podobnym duchu?

Cieżko powiedzieć, bo Kaczyński mi się nie zwierza, ale nie sądzę, aby chodziło mu o to samo, o co mnie na początku lat 90. Byłem wtedy tak naiwnym człowiekiem, że sądziłem, iż w Polsce faktycznie wszyscy chcą dekomunizacji. Dlatego napisałem projekt ordynacji wzorowany na modelu francuskim, który był nakierowany na blokowanie dostępu do parlamentu tamtejszemu Frontowi Narodowemu. Niestety, większość posłów w nadzwyczajnej komisji do opracowania ordynacji wyborczej ten projekt odrzuciła, bo nie byli pewni, czy sami zostaliby wybrani w proponowanym trybie. Wtedy do mnie dotarło, że w Polsce nikt żadnej dekomunizacji nie chce, bo wszyscy mają wprawdzie usta pełne frazesów, ale tak naprawdę, to chodzi o to, żeby wypić i zakąsić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**POD WĄS**

Mama z małej niecki

IGOR ZALEWSKI

Mam tę nieprzyjemność, że chodzę z synem na basen. Nie bardzo wiem po kim, bo na pewno nie po mnie, syn jest utalentowanym atletą, więc dbamy o to, żeby ten dar od Boga się nie marnował. No i dlatego chodzimy na pływalnię.

Nienawidzę tego. Szczerze i od serca. Świat natrysków, szafek i przebieralni jest mi z gruntu obcy. Najgorsze jest jednak przebieranie się. W zimie to szczególnie upierdliwe, bo obaj mamy na sobie tony ubrań. I trzeba najpierw te ubrania zdjąć, potem założyć chłopakowi piankę, która niby ma chronić przed chłodem, ale przed niczym nie chroni. I kiedy on wyskakuje z basenu i przybiega do szatni, już szczeka zębami, więc muszę go błyskawicznie odpiankować, a potem jeszcze błyskawicznie wytrzeć i ubrać, żeby nie zamarzł na śmierć.

Uczciwie muszę przyznać, że młody ma chociaż krótkie włosy. Jakąś dekadę temu chodziłem na basen z córką, która włosidła zawsze nosiła przynajmniej do połowy pleców. A raz, przez całą zimę, miała zaplecione dziesiątki warkoczyków, które namotała jakaś kobiecina podczas egzotycznych wakacji. I suszenie tych nieprzebranych włosów, zwłaszcza w wersji warkoczyki, to był dopiero koszmar. Czasem używałem trzech suszarek naraz, a i tak tkwił w przebieralni godzinę, bo wyjście na mróz z wilgotnym włosom oznaczało natychmiastowe

zapalenie płuc. Nie raz, nie dwa miałem ochotę wyrwać te cholerne warkoczyki i tylko miłość do córki (oraz strach przed jej matką) przed tym mnie powstrzymywały. Szczerze mówiąc, strach bardziej niż miłość.

Młody jest ostrzyżony na jeża, więc przynajmniej walka z suszarkami odpada. Dobre i to. Nie zmienia to jednak faktu, że wyprawa na basen z dzieckiem jest dla mnie tym, co czeka mnie po śmierci, jeśli trafię do piekła.

W tym samym czasie co my chodzi na basen pewna mama z pięcioletnim chłopcem. Chodzą na tzw. małą nieckę, więc widuję ich tylko po kąpieli, gdy wkurzony i wycieńczony trafiają do szatni. Mama jest bardzo ładna i ponętna, a maluch jest słodki i niepełnosprawny umysłowo. Podśpiewuje sobie coś pod nosem i przebywa we własnym świecie, zdecydowanie nie współpracując z mamą. Niedawno obficie oblał się wodą z butelki, gdy kobieta na chwilę się od niego odwróciła. Zareagowała spokojnie, z czułością, którą należałoby wyrzeźbić. Z tą samą czułością, ze spokojem oraz z cierpliwością pokonuje opór dziecka, gdy zakłada mu kolejne warstwy zimowego odzienia.

Patrzę na nią z podziwem. Jestem pełen uznania dla jej bezinteresownej miłości. Zastanawiam się, czy byłbym zdolny do podobnego uczucia, i wcale nie jestem tego pewny. I wstydę się, że narzekam na coś, o czym ona może tylko pomarzyć. ©©

**KRÓTKO PO WOLSKU**

Szopka z szopką

MARCIN WOLSKI

Powiem szczerze, wznawiając po sześciu latach nieobecności w telewizji „Szopkę noworoczną”, nie spodziewałem się takiej eksplozji złości, nienawiści i złych emocji wobec satyry.

Jak bardzo zmieniliśmy się od czasów „Polskiego zoo”, śmieszącego większość, lubianego nawet przez ośmieszanych w nim polityków!

A przecież: Cimoszewicz – szakal, Miller – czerwony pajak, Kwaśniewski – dzika świnia nie były to łagodne karykatury, podobnie jak Lis – Michnik, Kaczyńscy – Chomiki, Moczulski – Krogulec czy Rokita – Diabeł.

Wrogość i nienawiść odebrały wielu Polakom poczucie humoru

Dlaczego więc „puszysta” Komorowska z obrazu Bote-ro, Kamiński jako Pierrot czy Miller z Palikotem ucharakteryzowani na żebaków mają być jakąś obrazą majestatu?

Jakież rasizm kryje się w przedstawieniu Obamy jako biednego Murzyna? A kimże w końcu jest? Chińczykiem? Także nazwanie Sikorskiego panem Applebaumem nie ma nic wspólnego z antysemityzmem. Gdyby jego wpływowa małżonka nazywała się np. Martinez, nazwałbym go – jako „męża mojej żony” – panem Martinezem, podobnie mundur obsypanego orderami

Sowieta nie podważa jego zasług bojowych w Afganistanie, tylko obrazuje gigantyczne ego, którego nie sposób zmieścić w żadnym innym mundurze. Trudno też w pieśni „Nasz będzie jutrzejszy dzień” śpiewanej przez Merkel i „uchodźców” widzieć gloryfikację nazizmu, raczej przestrogę przed nieuchronnym „zderzeniem cywilizacji”. Jednak przy złej woli nawet w zakończeniu ręki Rzeplińskiego (obraz namalował Topor wiele dekad temu) da się ujrzyć twarz Kaczyńskiego.

Zresztą nie chodzi mi o samą „Szopkę...”, za którą otrzymałem oprócz krzywdzących obelg (tym bardziej przykrych, że również z naszej strony) moc gratulacji i wręcz przesadzonych komplementów. Chodzi o nas! Wrogość i nienawiść odebrały wielu Polakom nie tylko zdolność realnych ocen rzeczywistości, lecz także poczucie humoru. To zły znak. Brak zdolności do śmiania się również z samych siebie cechuje dyktatorów i systemy autorytarne.

Reakcja „partyjna” pozwalająca na śmianie się wyłącznie z przeciwników przypomina działania harcówników przed rzeczywistym starciem.

Szkoda, że nikt jakoś nie zauważył przesłania zawartego w piosence finałowej:

„Może kiedyś zakończy się wrzask, miast okopów sukcesów w krąg kopce.

A my wszyscy będziemy grać, w jednej szopce”.

Daj Boże!

(Zapraszam na powtórzenie „Szopki...” w TVP1 29 stycznia). ©©

WYWIAD
NIEAUTORYZOWANY



Z Leszkiem Millerem,
byłym premierem
rozmawia Marek Migalski

W ocenie PiS zachowuję zdrowy rozsądek

MAREK MIGALSKI: Rozmawiamy kilka dni po śmierci Tomasza Kality. Myśli pan, że obecny Sejm zajmie się projektem ustawy o leczniczej marihuanie, której był zwolennikiem?

LESZEK MILLER: Mam wrażenie, że PiS w tej sprawie jest głęboko podzielony. Część chce jej wprowadzenia, ale są też takie postaci jak premier, która posuwa się ruchem węża. Jest też prezydent, który opowiedział się „za”.

Jednak wie pan, że od niego niewiele zależy?

No wiem. A w klubie PiS chyba jest niejasność. I wszyscy patrzą na Kaczyńskiego. Niemniej jednak jest dobra okazja dla wszystkich wahających się, by przestali się wahać i spełnili pragnienie Tomka Kality. Którego, jak widać, wszyscy dziś lubią.

Po śmierci też pan będzie tak miał.

Kalita jednak miał coś takiego, co zjednywało mu nawet życzliwość jego przeciwników politycznych.

Potwierdzam. Znałem Tomka i taki właśnie był.

Ta ustawa już Kalicie nie pomoże, ale może pomóc tym, którzy zachorują w przyszłości na podobny typ nowotworu. Bo jest oczywiste, że zachorują.

To zresztą byłaby dobra okazja do tego, by posłowie zagłosowali zgodnie ze swoim sumieniem. Co nie zdarza im się tak często.

Tu złowieszczą rolę odgrywa minister Radziwiłł, który jest zdecydowanym przeciwnikiem tej ustawy. I jakaś część PiS się orientuje na tę postać.

Chyba pan żartuje? Orientują się na Radziwiłła jako na lidera?

Nie tyle lidera, ile fachowca. Myślę jednak, że on się po prostu myli.

Jak wszyscy doktorzy. Mówię to jako doktor politologii.

To tym lepiej, gdyby odstąpił od swojego szkodliwego poglądu.

Co łączy Leszka Millera z lubianym przez niego i cenionym prof. Kikiem?

(śmiech) Niewiele. Kik był moim zdecydowanym przeciwnikiem...

Pan sobie przeciwnika jednak znalazł. Myślałem, że pana przeciwnikami to byli Kwaśniewski czy Schroeder.

Kik chłostał mnie biczem krytyki przy każdej okazji. I kiedyś mój znajomy powiedział mi, że on ma pretensje do

mnie, iż ja zablokowałem jego wybór na delegata na ostatni zjazd PZPR w 1989 r. A ja wtedy o Kiku nie miałem zielonego pojęcia. Może więc jeśli Kik przeczyta ten wywiad, to zrozumie, że ja w tamtej sprawie mam czyste sumienie i nigdy mu w niczym nie przeszkadzałem.

No ale okazuje się, że jednak z Kikiem macie coś wspólnego, bo obaj ukochaliście PiS.

Proszę nie używać tego terminu.

„Ukochać” czy „PiS”?

Ukochać. Zachowuję w ocenie PiS zdrowy rozsądek. Jeśli jako szef klub SLD w poprzedniej kadencji składałem projekty ustaw dotyczących zwiększenia płacy minimalnej, obniżenia wieku emerytalnego, podniesienia rent i emerytur, to teraz nie będę tego krytykował, bo byłbym niepoważny.

A co pan uważa w rządach PiS za niewłaściwe?

Na przykład przyjęcie ustawy budżetowej. Bo to był swego rodzaju blitzkrieg.

To się panu powinno podobać, bo pan lubił takie metody.

Wiem, jak się zazwyczaj blitzkriegi kończą. Chociaż bowiem Kaczyński odniósł sukces, to jest to sukces taktyczny, a nie strategiczny.

Pyrrusowe zwycięstwo?

Sprawa tej ustawy będzie żyła nie tylko w tym roku, lecz także w następnym.

Ależ skąd! Przecież prezydent podpisał, a pani sędzia Przyłębska i jej koledzy to przyklepią.

Będzie żyła, bo jakaś część polityków opozycyjnych będzie nadal uważać, że ustawa została przyjęta z wadami prawnymi. Ja zresztą też tak uważam.

No i co z tego?

Zaczną się wnioski do sądów powszechnych. Bo przecież na pewno tzw. esbecy i ci, których dosięgła ustawa dezubekizacyjna, będą szli do sądów i będą wygrywać.

A tu pana, jako starego PZPR-owca, boli? To się panu w PiS już nie podoba, prawda?

To mi się zdecydowanie nie podoba. Nie podobają mi się wszystkie ustawy przegłosowane w Sali Kolumnowej.

Przecież to pan powiedział, że Sejm jest tam, gdzie jest marszałek Sejmu.

Oczywiście. I dlatego uważam, że opozycja popełniła błąd. Zamiast siedzieć

■ w sali plenarnej, powinna była pójść do Sali Kolumnowej.

No i poszła, tylko że tam blokowano ją przez rząd krzesel.

To trzeba było wejść siłą.

Żelazny kanclerz się teraz odezwał.

Jeśli ich była garstka, to można było ich zignorować. Jednak proszę sobie wyobrazić, że wchodzi 200 osób i stawia opór. Oni chyba nie poszli, bo zakładali, że tam nie będzie quorum.

I oni nie chcieli „robić” tego quorum?

Tak. Mogli się przecież spodziewać, że jak już PiS poszedł do Sali Kolumnowej, to znaczy, że ma to quorum.

Czyli doradzałby pan wtedy przebić Kaczyńskiego brutalnością?

Tak. Oczywiście, że tak.

Pan by się nie zawahał?

Nie zawahałbym się. Poszedłbym tam ze swoim klubem i jeśli by mnie nie wpuszcili, to bym to sobie siłą wyrąbał.

Czytałem ostatnio pana felieton i doczytałem się tam pana zgody na amerykańsko-rosyjski podział świata na strefy wpływów.

Nie. Ja tylko twierdzę, że eskalacja napięcia międzynarodowego może doprowadzić do nieszczęścia.

Jednak kto eskaluje? USA czy Rosja? Chyba to drugie państwo, wchodząc na Ukrainę.

Wejście Rosji na Ukrainę było niepożądaną eskalacją napięcia, ale Amerykanie też podejmują pewne działania, które idą w tym samym kierunku.

Gdzie ostatnio weszli?

Niech pan sobie poczyta o interwencjach, w których nasi sojusznicy uczestniczyli.

To przecież pan wciągał nas do amerykańskich interwencji! Czyli to pan eskalował międzynarodowe napięcie.

Uważam, że dzisiaj największym zagrożeniem dla naszej cywilizacji nie jest Rosja, tylko wojujący islam.

Terlikowski panu za te słowa piątkę przybije.

Wojujący islam to jest wróg ideologiczny. A ten zawsze jest najgorszy.

Przy wszystkich pana wadach, których nie sposób byłoby wymienić w tak krótkim wywiadzie,

to jednak pan jest państwowcem. I pan musi wiedzieć, że odpalający się w centrum Warszawy islamista, nawet jeśli zabije kilkadziesiąt osób, to jednak nie zagraża niepodległości Polski. A Rosja owszem.

Rosja nie zagraża naszej niepodległości, bo nie ma takiego interesu. Nie ma u nas dużej mniejszości rosyjskiej, która mogłaby prosić swoją macierz o interwencję. Rosja nie ma także żadnych pretensji terytorialnych. W przeciwieństwie np. do ukraińskich nacjonalistów. No i w Polsce nie ma żadnych bogactw naturalnych, dla których Kreml miałby tutaj interweniować.

Czyli większym zagrożeniem dla polskiej niepodległości jest Ukraina, a nie Rosja?

Nie. Mówiłem o nacjonalistach ukraińskich.

Którzy jednak mają wpływ na ukraińską politykę.

Jednak niedecydujący. Dlatego uważam, że doktryna Giedroycia, na którą tak chętnie powołują się polscy politycy, może kiedyś była trafna, ale dziś jest nieaktualna. Gwarantem naszej niepodległości nie jest Ukraina, ale UE i NATO. Idee Międzymorza są przebrzmiałe, to historyczne koncepcje, które nie mają żadnego znaczenia.

Dobrze natomiast wyglądają na seminarium prof. Szczerskiego z Pałacu Prezydenckiego.

To mrzonki. Powtarzam – Unia Europejska i NATO są gwarantami naszej niepodległości.

To dlatego posyłał pan naszych chłopców na śmierć w interwencjach amerykańskich?

Po pierwsze, nie posyłałem na śmierć, tylko wysyłałem w dobrze pojętym polskim interesie. A po drugie, robiłem to, mając uchwałę Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Wtedy zresztą poróżniliście się ze Schroederem, prawda?

Niemcy i Francja miały wówczas na tę sprawę inny pogląd. Schroeder powiedział mi wtedy: „Wiesz, my, Niemcy, tyle razy już maszerowaliśmy, że już więcej nie powinniśmy”. Ja byłem wtedy w trudnej sytuacji, bo to był 2003 r. i myśmy pukali wówczas do unijnych drzwi. Jednocześnie chcieliśmy dobrych relacji z USA.

Czyli dylemat, czy bardziej kochać mamę, czy tatę.

Podjąłem wówczas decyzję, że w tym czasie stawiamy na Amerykanów, bo to nasz najważniejszy sojusznik.

Czyli niewiele brakowało i by nas pan nie wprowadził do Unii.

Nie. Byliśmy już wtedy po zamknięciu negocjacji. Poza tym ja miałem wówczas potężnego sojusznika właśnie w Schroederze. A i wtedy, i dzisiaj Niemcy były najpotężniejszym państwem w UE. Pamiętam, jak wówczas Chirac mi powiedział, że w Unii Niemcy to jej koń pociagowy, a Francja jest woźnicą. Dzisiaj zresztą Niemcy są i koniem, i woźnicą. Jak słyszałem, że naszym strategicznym sojusznikiem w UE ma być Wielka Brytania, to wiedziałem, że to świadczy o amatorszczyźnie i braku profesjonalizmu naszej dyplomacji.

Na koniec: Co z lewicą? Palikot zajął się biznesem i kolekcjonowaniem sztuki, pan się udziela jako publicysta...

Bardzo mi to odpowiada.

Rozumiem pana, bo mam tak samo. Razem się bolszewizuje. Co z tą lewicą będzie?

Uważam, że nieobecność SLD w Sejmie to jest jednorazowy incydent.

Żadnej partii nie udało się wrócić...

Jednak też nigdy nie było takiej kadencji jak obecnie, gdzie potwierdza się prawo Kopernika, że zły pieniądź wypiera lepszy.

To oznacza, że chcecie wracać jako SLD, a nie jako szersza koalicja?

Nie wiem, jak będzie za trzy lata. Jeśli patrzemy na sondaże, to tam wciąż jest nie jakaś zjednoczona lewica, tylko SLD.

Pan jest wciąż patriotą SLD?

Tak. I niech pana czytelnicy odpowiedzą sobie na pytanie: Czy Sejm jest lepszy z SLD, czy bez SLD?

Myszę, że czytelnicy tego wywiadu przychylią się do potwierdzenia, że Sejm bez SLD jest lepszy.

A ja uważam inaczej.

Jak pan ocenia przywództwo Włodzimierza Czarzastego w Sojuszu?

Uważam, że robi to, co może zrobić.

To dużo czy mało?

To bardzo dużo. Bo też sytuacja jest niełatwa. Życzę mu powodzenia. Tak jak całemu SLD.

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE



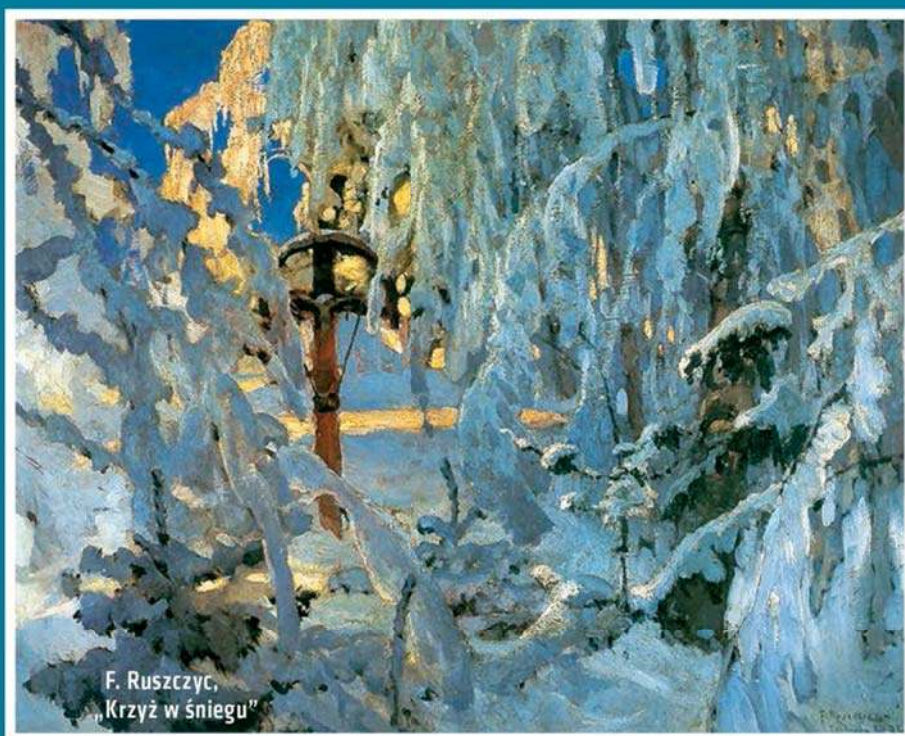
PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE.

WEJDŹ ►

Insurekcjonizm

W NIEOKRĄGLĄ ROCZNICĘ WYBUCHU
POWSTANIA STYCZNIOWEGO
22-I-1863



F. Ruszczyk,
„Krzyż w śniegu”

Generał-gubernator z „Konfederatów Barskich” Adama Mickiewicza (proszony przez hrabinę, by nie gnębił w Polsce „spokojnych ludzi”):

„— Spokojnych ludzi? Chciałbym mieć honor zawrzeć znajomość z owymi spokojnymi ludźmi, lecz jak dotąd nie znalazłem ich w Polsce wcale. Jeżeli kiedyś byli w tym kraju, o czym wątpię, to plemię owo wyginęło — tu każdy, póki mu tchu starczy, robi powstanie. Mój doktor słusznie zapewnia, że Polak nawet po zgonie konspiruje jeszcze co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny”.



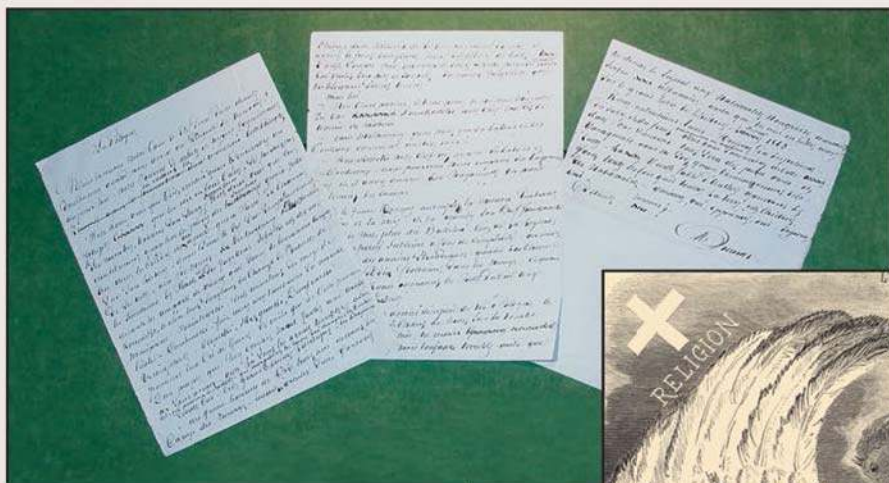
Waldemar
Łysiak

W styczniu zawsze myślimy o Styczniu — o Powstaniu Styczniowym — chyba że ktoś ma gdzieś ojczyźnianą przeszłość. Dla patriotów Styczniowie jest ważne, gdyż była to kolejna danina krwi przypominająca całemu światu głośno, że jeszcze Polska nie zginęła, bo walczy o suwerenność, a przecież trup nie mógłby walczyć całe 17 miesięcy, czyli dłużej niż owe 24 godziny z diagnozy medyka satrapy carskiego. Rozgłos tej kolejnej antyrosyjskiej rebelii był globalny, m.in. dzięki konsekwentnej propolskiej postawie Watykanu. Pius IX błogosławił walczącym Polakom, wzywał „wszystkie narody kuli ziemskiej”, by wznosiły ciągle modły za rwącą kajdany Polskę (sierpień 1863), i przemawiał do narodu polskiego: „Wprawdzie nie mogę wam dać wojska bądź armat, lecz daję nieustanne modły, by wasza Ojczyzna, zrzuciwszy pęta, stała się wreszcie wolna”. Świat to słyszał i kibicował sarmackim rebeliantom — rzecz bardzo ważna, stymulowało to bowiem, ku wściekłości Petersburga, globalny odzew na klasyczny „proof of life” (dowód życia), jakim był „priwiśliński bunt”.



Plakacik rocznicowy na 50-lecie Powstania Styczniowego; niżej: Polka swemu mężczyźnie wyruszającemu w bój przywieśza do powstańczej czapki konfederatki („krakuski”) biało-czerwoną kokardkę, będącą swego rodzaju godłem „mundurowym” Powstania Styczniowego (obraz Artura Grottgera „Pożegnanie powstańca”, r. 1866); obok: autentyczna powstańcza rozetka w zbiorach autora eseju

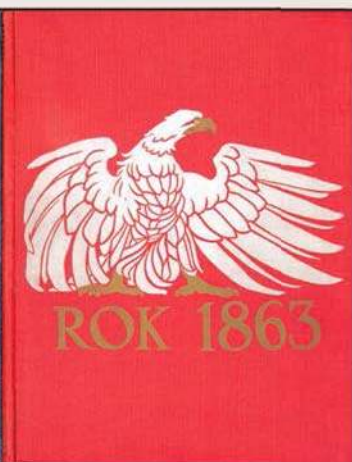
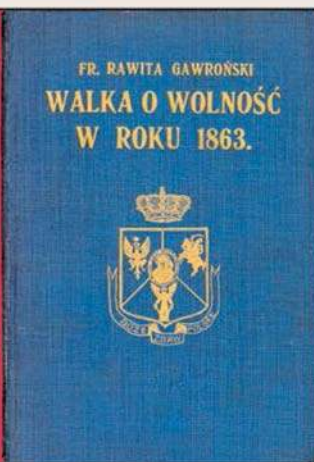
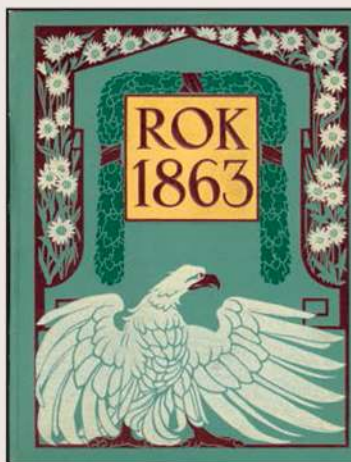




Z natury rzeczy, ergo: wskutek tożsamości kontynentalnej, ów odzew był najszerszy w krajach Europy (zachodniej i północnej zwłaszcza). Prasa włoska, niemiecka, hiszpańska, francuska, angielska oraz skandynawska na bieżąco relacjonowała i komentowała krwawy polski młyn przez półtora roku. Dla przykładu zlustrowmy ówczesną scenę francuską. Sławny pisarz, wielbiony już przez cały glob Aleksander Dumas-ojciec, napisał duży artykuł pt. „La Pologne” („Polska”), sławiąc polskich rycerzy wolności: „Polsko, chociaż roku 1830 u twej trumny poeci śpiewali twój zgon — ty oto wstajesz znów, skrwawiona i okaleczona, ale zawsze potężna, groźna, straszna dla wrogów!”. Zakończył słowami o niezłomnych Polakach: „Zwyciężeni — tak; uciskani — tak; straceni — tak; zniszczeni — Nigdy!”. Rządowe Paryż, Rzym tudzież Londyn były Powstaniu wrogie, więc artykuł ukazał się w Neapolu (luty 1863) na łamach „L'Indépendente” (pocztuję sobie za zaszczyt, iż pełny oryginalny rękopis tego artykułu znajduje się dzisiaj w moich zbiorach). Gazety francuskie — wbrew oficjalnym francuskim „czynnikom” — nie szczędziły

Wyżej: będący fragmentem zbiorów autora rękopis artykułu Dumasa-ojca „La Pologne” z roku 1863; obok: gloryfikująca Powstanie Styczniowe strona w „Le Monde Illustré” z 28 marca 1863 roku (drzeworyt należący do zbiorów autora)

powstańcom braw i zachęt, co ukierunkowywało opinię publiczną przychylnie dla walczących Lechitów. Popularny „Le Monde Illustré” regularnie tłoczył całostronicowe drzeworyty z apolgią heroizmu insurgentów, będące dzisiaj bibliofilskimi cymesami, za które płaci się solidne pieniądze. Drukowano też marty-



rologiczne romanse o Styczniowej Insurekcji (exemplum Alexandre de Lamothe, „*Les faucheurs de la mort*” — „*Kosy- nierzys śmierci*”), rozchwytywane przez zachodnioeuropejską publiczność.

Powstanie Styczniowe ma dzisiaj nad Wisłą wielu wrogów (zwłaszcza lewaków i endeków, o czym niżej), którzy — piętnując wszelkie rodzime insurekcje narodowowyzwoleńcze jako bezsensowne daniny krwi — Styczniowe długo uważali za kulminację „idiotycznych narodowych samobójstw”, „durnych ojczyznianych całopaleń”, „paroksyzmy przejawów głupiej bohaterzczyzny” (dopiero w ostatnich latach wysforował się przed tę rebelię „obłęd Powstania Warszawskiego” — świeższy, więc aktualnie częściej dezawuowany). Ja zaś korzystam ze styczniowej okazji, by zrelacjonować trwającą już półtora stulecia wrogość części rodaków wobec naszych Powstań (tych antyrosyjskich), i by przeanalizować owej gwałtownej niechęci bezsensowność, ergo: by wytłumaczyć tumanom ewidentną sensowność (konieczność) Powstań.

BEZPRZYCZYNOWA BURDOMANIA WIECZNYCH CHŁOPCZYKÓW

Wiktor Gomulicki: „*Tylko naród zwyrodniały, nikczemny lub też przez charaktwo przyrodzone na wygaśnięcie skazany, może znosić ucisk przemocy bez protestu. Takim narodem Polacy nie są i nigdy nie będą*” (1925).

Nigdy nie byli. Byli głupcami, niedo-
łęgami, partaczami, hultajami, którzy
przez własne błędy, przez warcholstwo
swej szlachty i przez sprzedajność swej
magnaterii, utracili wpięć mocarstwo-
wość, a później niezawisłość na sto kil-
kanaście lat — lecz nigdy nie byli rabami
pokornie znoszącymi los okajdaniomych
jeńców. Ciągłe rwali te kajdany (głównie
rosyjskie, choć pruskie i austriackie rów-
nież). Konfederacja Barska, Insurekcja
Kościuszkowska, Powstanie Listopado-
we, Powstanie Styczniowe, Rewolucja
1905, Legiony Piłsudskiego. A przecież
był jeszcze pronapoleoński wyzwolen-
czy ruch zbrojny (1806/1807), i napoleońska
kampania moskiewska (1812), i rok 1848
(kontrpruski, kontraustriacki), wreszcie
dwa zrywy XX-wieczne, oba wygrane: Po-
wstanie Wielkopolskie i Bunt lwowski
Orląt. A Powstania Śląskie? Przechowuję
zdjęcia moich familiantów, braci mojej
Mamy, biorących udział w Insurekcji Wiel-



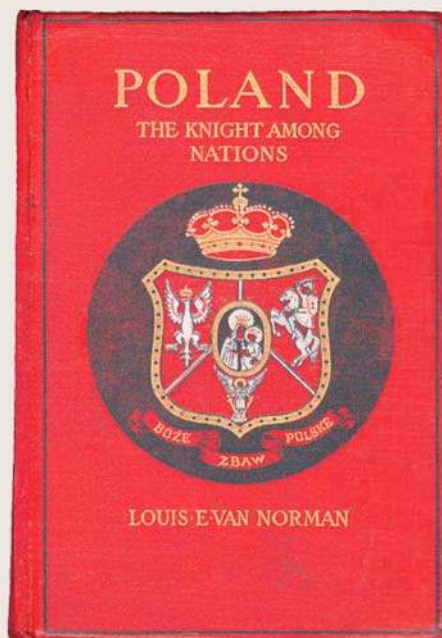
Wujowie autora, Stanisław oraz Marcin Kowalewscy, uczestnicy Powstania Wielkopolskiego, i rodzice autora (z nim w wózku) podczas Powstania Warszawskiego

kopolskiej — wujka Stanisława Kowale-
wskiego i wujka Marcina Kowalewskiego,
oficera pochowanego w asyście Ułanów
Wielkopolskich na kwaterze Żołnierzy
Ofiar Wojny Polsko-Bolszewickiej 1920
roku (cmentarz gnieźnieński). Miał 30 lat.
Tak młodo umierało się Polakom wsu-
tek Rebelii i Wojenki („*Jak to na wojence
ładnie, kiedy ułan z konia spadnie*”), dla
wywalczenia lub ocalenia suwerenności
Sarmatów. Ileż razy była to straszliwa he-
katomba (ostatnia w Powstaniu Warsza-
wskim 1944) lub masakra (Poznań 1956,
Wybrzeże 1970). Bunt Solidarności-
wy — zwycięski — zamyka póki co tę
powstańczą białą-czerwoną kartę.

Owa rycerska waleczność była od
dawien dawna powszechnie uważana
w Europie i w Ameryce za swoiste polskie
„*specialité de la maison*”, za znak rozpo-
znawczy narodu polskiego — za jego
główną cechę dodatnią (według licznych
cudzoziemskich pisarzy, kronikarzy,
pamiętnikarzy i dziejopisów, którzy mniej
lub bardziej słusznie wytykali nam mnó-
stwo przywar — była nie tyle główną,
ile jedyną polską cechę dodatnią). Gdy
w drugiej połowie XIX i w pierwszych
dekadach XX wieku mnożyły się na Za-
chodzie monografie historii Polski pisane
przez cudzoziemców, tytuł jednej z nich
(drukowanej roku 1917) „*Poland — the
Knight among Nations*” („*Polska — ry-
cerz wśród narodów*”) kilkoma wy-
razami streszczał wiodącą zawartość.
Trzeba się było nieźle napocić wojennie
oraz insurekcyjnie przez długie lata, żeby
mimo utraty własnego państwa zyskać
renomę takich twardzieli. I właśnie owa
renoma — renoma zawadiaków, którzy

ciągle skakali Rosji do gardła — piekielnie
denerwowała „*kręgi postępowe*” (wysłu-
gujące się Rosji eszelony komunistów,
preferujące Rosję falangi endeków, tudzież
uprawiające kult „nowoczesności” hordy
„światowców”, „europejczyków”, goszy-
zujących mędrków, etc.). By ją skompro-
mitować jako infantylną-tromtadacką
burdomanię — przyklepili jej pogardliwy
epitet: „*bohaterzczyzna*”.

Już roku 1851 guru „*proletariatus
wszystkich krajów*”, Fryderyk Engels, pisał
do arcyguru lewicowców, Karola Marksa:
„*Polacy nigdy nie działali w histo-
rii prócz wygłupiania się walecznością
i pochopnego wywoływania burd. Trudno
byłoby wskazać polski czyn o histo-*



rycznym znaczeniu (...) Nieśmiertelna była u Polaków tylko ich zwadliwość bez żadnego powodu". Historycy i publicyści marksistowsy będą później cytować ten beczelnie kłamiwy sąd równie chętnie, jak bibliści cytują frazy Pisma Świętego.

Trwa to wciąż. Exemplum tekst Denisa Goriełowa w „Izwiestiach” (2003): Rosjanin wykpiwa tam katolicyzm, twierdząc, że jest to religia niepoważna „na tle statecznego luteranizmu, dostojnego prawosławia i wojowniczego islamu”, a Polaków przedstawia jako głupawych filutów, smarkaterię, gówniarzy bezsensownie stawiających się sąsiadom: „Polacy są narodem gier i zabaw (...) Od setek lat naród dzielnych wiecznych chłopczyków uprawia zabawy w pistoleciki i szabelki, w hasła, odzwywy i konspiracje, drażniąc sąsiadów-osilków (...) Wschodnioeuropejska Joanna d'Arc, krzywdzona przez imperialistów (...) Polacy zawsze mieli 20 lat, gdyż dłużej nie żyją i żyć nie chcą ci chłopcy dumnie dzierżący swoje karabiny ćwiczebne. Krótkie bohaterskie życie stało się najbardziej chodliwą polską walutą. Wymieniało się na nią honor, wolność i szacunek potężnych sąsiadów”.

Oto jak totalistów wciąż uwiera nie-subordynacja „tych wiecznych chłopców”, co zamiast gnać pokornie karki przed moskiewską barbarią — regularnie wybijali bestii zęby, waląc żelazem w wyszczerzoną mordę ruskiego Niedźwiedzia. Od Batorych i Żółkiewskich, po XIX-wiecznych

„buntowuszczyków” i Piłsudskiego. Lecz palicho kacapskich krytyków i prześmiewców. Bolesny jest fakt, że również rodacy łajali buntownictwo polskie.

OD STAŃCZYKÓW DO ENDEKÓW

Jako pierwsi gorliwie przeklinali Insurekcje ugodowi wobec zaborcy konserwatyści galicyjscy (ostatnie dekady wieku XIX), formacja tzw. „Stańczyków”, piętnując je jako romantyczne, bezsensowne szaleństwa. Czynili to z trybun politycznych i z akademickich katedr; gdyż ważną formację obozu tych „lojalistów” tworzyła grupa uczonych krakowskiej Akademii Umiejętności i Uniwersytetu Jagiellońskiego, silne figury ówczesnego krakowskiego Salonu — historycy tej miary co Józef Szujski, Michał Bobrzyński i Walerian Kalinka. Dla nich polskie „liberum conspiro” było dużo cięższym grzechem niż „liberum veto”. W czambuł potępiali wszelką opozycję i wszelkie antyzaborcze konspiracje (zwłaszcza zbrojne), lansując, miast rewolucji, „pracę organiczną”. Szujski dekretował „pogrzeb «liberi conspiro», tego ducha grzesznego, okupionego krwią i łzami milionów” (1867). Bobrzyński, przerażony Powstaniem Styczniowym, jeszcze goręcej ganił buntowniczego ducha, perswadując: „Należymy do tego pokolenia, które ocaliwszy się z ostatniej zawieruchy, dojrze-

wszy już po niej, mając w żywej pamięci jej wszystkie następstwa — postanowiło zerwać z tradycją ostatniego stulecia, i nie w młodzieńczych porywach, ale w trzeźwej i wytrwałej pracy wewnętrznej szukać zbawienia i lepszej przyszłości” (1879). Skarcił go za to Stefan Żeromski fragmentem „Syzyfowych prac”, gdzie uczniowie kieleckiego gimnazjum, wertując książkę swojego rodaka, Michała Bobrzyńskiego, ze zdumieniem znajdują w niej to samo, co im do głów pakowali rosyjscy belfrowie sekujący „buntowuszczyków”. Notabene — trudno się dziwić, że Bobrzyński nie lubił marszałka Piłsudskiego (Komendant był wielbicielem i historiografem Styczniowej Insurekcji).

To samo zdanie co XIX-wieczni „Stańczycy” miał przed II Wojną Światową nurt demowszczyzny czyli endecji (Narodowa Demokracja), a po wojnie i po 1989 roku neoendecja skupiona wokół „legalisty” Janusza Mikkego. Według tego gościa powstańcy narodowi to byli (co do jednego) „zdrajcy” (sic!) godni wieszania i rozstrzeliwania, a już Piłsudski szczególnie. Powstanie Listopadowe pan Mikke ujął tak: „Niepodległość została zlikwidowana wskutek kryminalnego wybryku gołowąsów” (1994). Dlatego już jakiś czas temu pytałem à propos: czy leci z nami psychiatra? Notabene o dom bez klamek prosi się cały gang neoendeki, bo ci ludzie ciągle gromią „szkodliwy model patriotyzmu tradycji Konfederacji Barskiej, poronioną tradycję insurekcyjną”, żądając przy tym: „Z zajęć historii trzeba koniecznie wyeliminować kult romantycznych powstań, który infekuje umysły kolejnych pokoleń” (Adam Wielomski, 2006). Salonowi („michnikowszczyźnie”) to się podoba, gdyż tak jak „ojcami” ideowymi bolszewików byli Marks i Engels, tak duchowymi mentorami dzisiejszych salonowców byli pedał/nihilista Gombrowicz (który wiecznie wyszydzał patriotyzm i ową „poronioną tradycję insurekcyjną”) tudzież Litwin/kosmopolita Miłosz (który polskiemu patriotyzmowi nie szczędził epitetów, przeklinając m.in. „puste gesty powstańcze”).

W dobie chwilowej za PRL-u odwilży cenzorskiej (rok 1981, do 13 grudnia) wywalczonej przez eksplozję „Solidarności” (cenzura prewencyjna podkułowała wówczas ogon) — na Uniwersytecie Warszawskim zmaistrowano dwa druczki powielaczowe (200 egzemplarzy każdego, i każdy miał zaledwie 18 stron), których tematem były dwa postnapoleońskie Powstania: Listopadowe i Styczniowe (tak, postnapoleońskie, bo nawet o tym drugim ojciec Witkacego, malarz/architekt Stanisław



Karton Grottgera (z cyklu „Polonia” 1863) ukazujący bój powstańców styczniowych



Lb, B. Strzemiński, Wrocław.

Witkiewicz, rzekł: „Rok 1863 był ostatnim czynem polskiej Napoleońskiej epoki”. Autorzy druczku o tytule „1831” wyrazili taki sąd: „Powstania narodowe XIX wieku od 35 lat stały się poniekąd tematem tabu. Przyczyny nie należy szukać w celowej działalności cenzorskiej — nie usuwano przecież historii powstań z podręczników czy opracowań, bo tego typu postępowanie spotkałoby się z reakcją przeciwną: z zainteresowaniem nie tylko samymi powstaniami, ale i epoką. Lecz wiedzę o wydarzeniach z 1831 czy 1863 roku ograniczano konsekwentnie do niezbędnego minimum”.

Co racja, to racja. Wszelako „niezbędne minimum wiedzy” osiągnąć niekoniecznie i nie zawsze radykalnym minimalizowaniem tekstów czy marginalizowaniem tematów, lecz również za pomocą odpowiednich manipulacji interpretacyjnych, „właściwych” kontekstów, „słusznych” wydzwieknień, lub gdy trzeba było — epitetów dosłownych:

KOMUNA ANTYPOWSTANIOWA

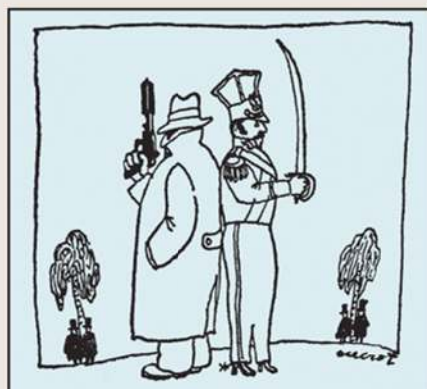
Propaganda peerelowska (Wydział Kultury KC PZPR), mająca względem tradycji powstańczej jeden zasadniczy cel (przeorientować/spacyfikować rebeliancką mentalność sarmacką, wykreować mentalność niewolniczą, wybić z gorących łbów wszelką myśl o antysowieckim zrywie) — sięgała kontrapowstańczo po kogo tylko się dało, nawet po karykatury-

stów i satyryków. Exemplum strofy poety Janusza Minkiewicza:

„Dziejów Polski tenorem
Było: ginąć z honorem,
Každy życiem szafował bez żenad...
Pradziadowie i ojce
Rażno szli w samobojce:
Tylko ten sławę miał, kto był denat”.

Jednocześnie eszelony pseudohistoryków oraz gromady lokajskich publicystów deptały powstańczą predylekcję i martyrologię, nie cedząc słowa pisanego, i nie łagodząc epitetów. „Nasi przodkowie chętnie i efektywnie umierali za ojczyznę (...) Byli oni głupimi i śmiesznymi frajerami” (Anna Bratkowska i Ryszard Turcki, 1959). Trwało to do samego końca PRL-u, czego przykładem późny jazgot o „zadowolonym z siebie męczeństwie”, o „apologii przasnej tradycji”, o „spazmatycznych postawach romantycznych, godnościowych i wzniosłych”, tudzież o „podbijaniu polskiego bębna” (Małgorzata Szpakowska, 1987). Padało takich bolszewickich charknięć mnóstwo. Udział w gromieniu polskiego „liberum conspiro” brały tuzy publicystyki PRL (Zygmunt Kałużyński, Wiesław Górnicki, Krzysztof Teodor Toeplitz, Stanisław Stomma, Janusz Roszko, itp.).

Ale komunizm PRL-owski miał różne fazy, „tryndy”, „odnowy”, wolty i ewolucje, tak jak miał i różne zwalczające się frakcje w partyjnych szeregach. Po okresie represji wobec AK — akowców, dopiero co zwanych „faszystami” i „zapłutymi karłami reakcji”, zrobiono „komatantami”, chciano bowiem uszlachetnić czerwoną AL, wiążąc akowców i alowców jednym komatantckim stowarzyszeniem. Chciano również pokazać, że władze są czułe na



Szyderczy rysunek Andrzeja Czaczoa ukazujący zderzenie insurekcyjnej tradycji z propagandą peerelowskiej bezpieki

rycerskie, tyczące XIX stulecia sentymenty obywateli, więc pułkownik LWP, politruk o krasnoarmiejskim rodowodzie i działacz partyjny, Zbigniew Załuski, napisał książeczkę pt. „Siedem polskich grzechów głównych”. Wydano ją w roku 1962 (do 1968 miała cztery wydania) i nagłośniono m.in. zawziętymi „polemikami” prasowymi. Okładka — prócz autora i tytułu — nosiła autorskie credo: „Chcę poborić naszej historii romantycznej, trudnej, młodzieńczo «górną i chmurną», ale na pewno wcale nie durnej”. Dzisiejsze encyklopedie (te wydawane od roku 1990) mówią, że była to Załuskiego „polemika ze stereotypem tzw. «bohaterszczyzny»”, dodając wszakże, iż była majstrowana „na użytek komunistycznej propagandy”.

Co zrobił pan pułkownik? XIX-wiecznemu wykrwawianiu się rodaków poświęcił część pierwszą dzieła („Traktat o samobójcach czyli domniemane grzechy polskie”), deklarując we wstępie, że chociaż „powtarzanie tradycyjnych gestów patriotycznych grozi dziś wysadzeniem świata w powietrze” (co znaczyło: żadnych buntów, drodzy moi!), to jednak on pragnie przeciwstawić się tezie, iż „historia Polski jest nieprzerwanym ciągiem bezsensownego umierania”, aczkolwiek czasami była „stkiem nonsensów, których trzeba się jak najprędzej wyrzec”. Później przytoczył rozliczne epitety, którymi wcześniej reżimowi gorliwcy pióra dokładali polskim XIX-wiecznym buntom („różnia narodowa”, „patriotyczne jatki”, „polskie skretynienie”, „somosierszczyzna”, „bohaterszczyzna”, „bezdenna głupota”, „bezmyślne, idiotyczne błazeństwa, kończone zwykle mniejszą czy większą ilością trupów”, „ubiczno-idiotyczni Polacy”, itd.). Następnie zajął się „przeciwstawianiem” vel „polemizowaniem”, gładząc o sprawach technicznych (armaty a kosi, dubeltówki a karabiny), o problemach kawaleryjskich, o honorze księcia Pepi, i w ogóle że fajnie jest być romantykiem. Uniikał przy tym jak ognia istoty problemu. Zakończył tę część cytatem z Marksa o mądrym „proletariacie”.

Prócz takich prymitywnych agitek wydawano dziełka trochę subtelniejsze, historiozoficzne salonowo, jak chociażby książka Tomasza Łubieńskiego „Bić się czy nie bić? O polskich powstaniach” (1978). Autor był Insurekcjom niechętny, i po latach, gdy Rzeczpospolitą już dekomunizowano, dalej karcił, za krzewienie buntowniczego ducha, narodowych wieszczów: „— W ogóle rola literatury w polskiej polityce była zabójcza: to unoszenie się poezją — Słowacki

■ zamiast chłodnej kalkulacji. Do pewnego stopnia to rozumiacie. Nie mieliśmy armat, więc mieliśmy poezję. Wieszczości zastępowali generałów i polityków. Moim zdaniem ta tradycja nie służyła sprawie polskiej" (2004).

"CLOU" – INSUREKCYJNA RACJA STANU

Jestem przeciwnego zdania: ta tradycja wybornie służyła sprawom polskim. Co doskonale rozumiano w II RP, czyli w „międzywojniu”, obchodząc z fanfarami rocznice Powstań. I miano świętą rację — absolutną słuszność. Sam bowiem fakt, że każde z Powstań kształtowało i umacniało antyniewolniczą tożsamość narodową, dowodzi ich niezbędności, nawet za tak straszną cenę jak Niagary krwi i tysiące Sybirów. Augusto Pancaldi słusznie zauważył w 1986 roku, że częste „odwoływanie się do tożsamości narodowej stanowi deskę ratunku dla kraju, który dręczy dziwna choroba”. Jeśli przyjmiemy za

dobrą monetę (a wskażcie mi choć jeden rzetelny powód, przez który nie mielibyśmy tak uczynić), iż tożsamość narodowa jest „żywym rezultatem tego, co przeszłość cierpliwie zgromadziła tworząc kolejne warstwy” (definicja głośnego XX-wiecznego historyka, Fernanda Braudela), to musimy uznać, że w całym naszym długu wobec przeszłości — bunty są najcenniejszym klejnotem. I że miast miedlić głupie pytania o ich potrzebie — winniśmy skakać z radości oraz bić pokłony ceniom rebeliantów. Do zajęcia takiego właśnie stanowiska nie trzeba żadnej ideologii, żadnej wiary, wiedzy, nauki czy „partyjnego” poglądu. Wystarczy chłodna ocena hierarchii historycznych zysków i strat, sądzenie w kategoriach większych niż ciężar jednego pobojuwiska czy nawet stu pobojuwisk, bilansowanie miarą przekraczającą martyrologię jednego pokolenia zagubionego w lesie szubienic i wśród szpalerów plutonów egzekucyjnych. Dopiero stosując tę wyższą miarę — możemy uświadomić sobie nieodzowność wszyst-

kich owych danin krwi i całopalnych ofiar. Były konieczne dla wyposażenia wielu generacji Polaków w poczucie godności. Bez niego nasza tożsamość narodowa byłaby śmieciem. Bez Powstań zostałyby nam tylko targowice, swary i smród haniebnego poddaństwa, niezakłócanego żadnym gestem oporu. Każde z tych „samobójstw” przedłużało nam życie; każde było tym słowem „Nie!”, o którym starożytni Grecy powiadali, że „tylko człowiek, który umie mówić: nie!, jest naprawdę wolny”.

I druga kwestia, ważniejsza wedle reguł pragmatyzmu — kwestia kartograficzna. Bez nich — bez tych „samobójców narodowych” kultywujących „bohaterstwach” — zabrakłoby Polski na mapach XX wieku. Chociaż bowiem każdorazowo umierali nie odnosząc doraźnego sukcesu, lecz nie umierali dla samej horacjańskiej maksy „Dulce et decorum est pro patria mori” (słodko i szczytnie jest dla ojczyzny umierać). Generał George Smith Patton, Amerykanin, wybitny dowódca podczas II Wojny Światowej, klarował żołnierzom:

„ — Nie chcę, żebyście umierali za ojczyznę. Chcę, żebyście zmusili wroga, by to on umierał za własną ojczyznę!”. Naszym powstańcom i konspiratorom chodziło o coś identycznego, ale rezultaty fizyczne nie były satysfakcjonujące — umierało więcej naszych, bo przegrywaliśmy nasze Powstania. Jednak dzięki tym regularnym Insurekcjom tzw. „sprawa polska” vel „kwestia polska” — mimo braku polskiej państwowości — była permanentnie obecna w polityce międzynarodowej, czyli w dyplomacji europejskiej i dyplomacji całego świata, nie schodziła z łamów gazet, z kart książek, z ust i umysłów, nasze bunty nie zezwalały, by ją zapomniano. To dzięki temu, gdy po I Wojnie Światowej mocarstwa reperowały nowymi granicami Stary Kontynent, „kwestia polska” od razu została primadonną wersalskich targów i ustaleń kartograficznych. Jerzy Narbutt wypunktował rzecz znakomicie, pisząc: „Naród, który nie posiada dostatecznej siły, by wywalczyć sobie wolność i zapewnić suwerenność państwową — musi jednak znaleźć w sobie dosyć siły, aby przynajmniej przypomnieć światu o swoim prawie do wolności. Taki był sens nieudanych powstań polskich w XIX wieku” (2003). Kilka lat później to samo wyraził akowicz z Powstania Warszawskiego, Stefan Zadróżny, pisząc (publicznie) do gimnazjalistów: „Gdyby nie było powstań — nie byłoby Polski. Powstania były bardzo kosztowne i w ludziach, i w zabytkach, ale gdyby ich nie było, to nie byłoby nas — nie byłoby wolnej Polski” (2010). Kropka. ©©



W II RP rocznice Powstań obchodzono bardzo uroczysto, traktując narodowo-wyzwolenczą insurekcyjność jako fundament odzyskanej roku 1918 niepodległości



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ważny temat, kiepski tytuł

Ten ciekawy zbiór reportaży może szerokiemu gronu czytelników przybliżyć mało znaną zbrodnię komunistyczną. Chodzi o obozy koncentracyjne, które komuniści założyli w Polsce po „wyzwoleniu”. Świętochłowice, Jaworzno, Oświęcim i inne. W sumie ok. 200 obozów. Wiele z nich powstało przy wykorzystaniu infrastruktury pozostawionej przez Niemców.

W obozach tych działy się rzeczy potworne. Komuniści przekraczali w nich wszelkie granice zezwierżenia. Mordowali, torturowali, upokarzali. Ofiarą morderczych placówek – stworzonych na wzór i podobieństwo sowieckich łagrów – padły tysiące Niemców, Polaków, Ślązaków, Ukraińców. Dręczono w nich m.in. żołnierzy wyklętych.

Niestety, sprawa ta – może poza Śląskiem – jest słabo znana polskiej opinii publicznej. Zajmują się nią głównie lokalni historycy i działacze społeczni. Dobrze więc, że Marek Łuszczyna napisał swoją książkę, ale... cóż za koszmarny podtytuł! „Polskie obozy koncentracyjne”?! Domyślam się, że chodzi o podniesienie sprzedaży książki. Problem w tym, że jest to absurd.

Polska po 1945 r. nie była niepodległym, suwerennym państwem. Znalazła się pod okupacją Armii Czerwonej, pod której osłoną bolszewicy zamontowali w naszym kraju swój obłędny system. Założone na terenie Polski obozy można więc nazwać sowieckimi czy komunistycznymi, ale na pewno nie polskimi!

Łuszczyna powołuje się na fakt, że Polakami byli pracujący w komunistycznych obozach strażnicy. No cóż – to dość śliska droga. Jeden z rozdziałów książki poświęcony jest bowiem znanemu sadyście Salomonowi Morelowi, komendantowi Świętochłowic i Jaworzna. Jak zatem rozumiem, placówki te za jego kadencji były „żydowskimi obozami koncentracyjnymi”?

Jeżeli Łuszczyna już koniecznie chciał udowodnić, że polskie obozy istniały naprawdę, to mógł napisać książkę o Berezie Kartuskiej. Wtedy rzeczywiście miałyby rację. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Najpiękniejsza para kina

Nasza przedwojenna kinematografia zanotowała dużo sukcesów. Wiele filmów z tamtych lat oglądamy chętnie do dziś. Największym powodzeniem cieszą się komedie muzyczne, gdzie lekkiej fabule towarzyszą przeboje muzyczne tamtych lat.

Pomysł był genialny w swojej prostocie. Para urodziwych, śpiewających aktorów, kilka chwytliwych piosenek, humorystyczna fabuła i obowiązkowe szczęśliwe zakończenie. Do realizacji byli jednak potrzebni odpowiedni wykonawcy, ale polskie kino nie narzekało na brak utalentowanych aktorów. Na pierwszy ogień poszli Tola Mankiewiczówna i Aleksander Żabczyński. Mankiewiczówna była aktorką wszechstronną, natomiast Żabczyńskiego uważano za pierwszego amanta polskiego kina.

Pierwszym filmem nowego gatunku były „Manewry miłosne” z 1935 r. Cieszyły się one tak ogromnym powodzeniem, że producenci poszli za ciosem. 21 stycznia 1937 r. miała premierę „Pani minister tańczy”, gdzie Mankiewiczówna wcieliła się w podwójną rolę: szefowej Ministerstwa Ochrony Moralności Publicznej oraz jej siostry – bliźniaczki, piosenkarki kabaretowej. Oczywiście obie panie zakochały się w jednym mężczyźnie, w młodym arystokracie na urzędniczej posadzie, w którego rolę wcielił się Żabczyński. Doskonale również spisał się sprawdzony duet kompozytorsko-autorski – Henryk Wars i Jerzy Jurandot.

Żabczyński był również stałym partnerem Mankiewiczówny na scenie kabaretowej, oboje zresztą spirali się po latach, dla kogo z nich Andrzej Włast napisał tekst „Jesiennych róż”. Wiadomo jednak, że Tola zaśpiewała ten superszlagier w rewii „Przebój Warszawy” na scenie Morskiego Oka.

Urodziwych i utalentowanych aktorek w polskim kinie nie brakowało

Żałować można tylko, że po sukcesie „Pani minister tańczy” Mankiewiczówna i Żabczyński nie pojawili się już razem przed kamerą. Jednak urodziwych oraz utalentowanych aktorek w polskim kinie nie brakowało i pan Aleksander kręcił kilka filmów rocznie. Towarzyszyły mu: Jadwiga Smosarska („Jadzia”), Loda Niemirzanka („Ada, to nie wypada”), Helena Grossówna („Królowa przedmieścia”, „Zapomniana melodia”). Ostatni z tych filmów okazał się wyjątkowym sukcesem, a pochodzące z niego piosenki do dziś są popularne. Największą sławę zdobyła „Już nie zapomnisz mnie”, oczywiście w popisowym wykonaniu Żabczyńskiego. Jednak z perspektywy lat trzeba przyznać, że to właśnie razem z Mankiewiczówną stanowili najpiękniejszą parę polskiego kina epoki międzywojennej. ©©



MAREK ŁUSZCZYNA
„MAŁA ZBRODNIA.
POLSKIE OBOZY
KONCENTRACYJNE”
ZNAK



Piotr Kowalczyk z Rzymu

Antonio Tajani jest totalnym przeciwieństwem swojego poprzednika Martina Schulza – zideologizowanego, aroganckiego krzykacza z rozdętym ego

Włoch na czele Europy



FOT. CHRISTIAN HARTMANN/REUTERS/FORUM

Na czele Parlamentu Europejskiego stanął wyważony, nieco wyniosły, unikający kamer i rozgłosu, skuteczny pragmatyk. Spokojny self-made man centroprawicy, kompromisu, zakulisowych porozumień i zdrowego rozsądku.

Tajani na pewno nie będzie charyzmatycznym przewodniczącym z wielkimi politycznymi ambicjami. Charyzmy nie ma, bo nie jest mu do niczego potrzebna, a ambicje starannie ukrywa. Po wyborze zapowiedział, że będzie skromnym rzecznikiem i gwarantem decyzji przyjętych przez europosłów. Za priorytety w pracach PE uznał walkę z terroryzmem, politykę migracyjną, wzrost gospodarczy i zmiany klimatyczne. Włoscy komentatorzy twierdzą, że można mu wierzyć. Tym bardziej że trudno wyobrazić sobie, by „spokojny Tajani z pianą na ustach rzucał się w wir politycznych i ideowych sporów jak jego poprzednik” (dziennik „Libero”). Jedni twierdzą, że teraz PE będzie pracował spokojniej, ale inni się obawiają, że nie, bo jeszcze bardziej w piórka obrósł krzykliwy szef liberałów – Guy Verhofstadt. To właśnie dzięki wsparciu kierowanej przez Belga

frakcji Tajani wygrał wybory i będzie musiał mu za to zapłacić przynajmniej stanowiskiem wiceprzewodniczącego PE. Na razie, w ramach umiławania skromności, Tajani zapowiedział znaczne uszczuplenie liczby członków swojego gabinetu, a także, by uniknąć zarzutów o męski szowinizm – wprowadzenie pośród swych współpracowników parytetu płci.

POLITYK NIEZNANY

Tajani wdrapał się na imponujący szczyt swojej politycznej kariery dość późno, bo dopiero w wieku 63 lat. Jednak to i tak niezłe, jak na człowieka, który od 2011 r., czyli od upadku ostatniego rządu Berlusconi, buduje swoją pozycję w unijnej centrali sam, praktycznie pozabawiony mocnego politycznego wsparcia w kraju, co w Brukseli skazało go na żmudne tworzenie quasi-prywatnej sieci sojuszników, popleczników, zależności i układów. Jak na człowieka, który do Brukseli trafił przypadkiem, trudno nie mówić o ogromnym osobistym sukcesie.

Był rok 1994. Italia zmagająca się z polityczno-moralną traumą. W efekcie głośnego skandalu – gdy wyszło na jaw, że wszystkie włoskie partie politycz-

ne (poza postfaszystami) od lat żyły z łapówek przedsiębiorców w zamian za zlecenia publiczne – runęła przepiękna chadecja i rozsypała się w pył partia socjalistyczna. Wywodzący się z niej premier Bettino Craxi, by uniknąć więzienia, zbiegł do Tunezji. Zbliżały się wybory. Powinni je w cuglach wygrać ortodoksyjny komunista Achille Occhetto i jego towarzysze, którzy po utracie sponzorów w Moskwie, podobnie jak nieco wcześniej ich polscy koledzy, grzecznie przepoczwaryli się w socjaldemokratów. Jednak w styczniu 1994 r. medialny krezus Silvio Berlusconi – właściciel trzech stacji telewizyjnych, wydawnictw i klubu futbolowego AC Milan – stworzył liberalną, plastikową, antykomunistyczną partię polityczną Forza Italia (od zawołania włoskich kibiców), która 10 tygodni później niespodziewanie wygrała wybory. Jednym z jej pięciu założycieli był właśnie Antonio Tajani. Wówczas miał 41 lat i błyskotliwą karierę dziennikarską za sobą, więc naturalną kolejną rzeczą został rzecznikiem Berlusconi. Nie odstępował szefa na krok. Nazwano go „cieniem Berlusconi”. Tajani przed wyborami dostał prominentne, gwaran-

tujące wybór do parlamentu miejsce na liście Forza Italia, ale z powodu biurokratycznych niedopatrzeń formalnych nie mógł kandydować. Niejako w ramach rekompensaty został baronem Forza Italia w regionie Lacjum ze stolicą w Rzymie, a trzy miesiące później, w czerwcu 1994 r., Berlusconi umieścił go na czele listy w Lacjum w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Tajani miejsce zdobył, wyjechał do Brukseli (choć niechętnie) i pracuje w Unii do dziś.

W Italii Tajani do ubiegłego wtorku był osobą stosunkowo anonimową. Z radą włoskiej polityki wewnętrznej znikł ostatecznie w 2001 r., gdy minimalnie przegrał balotaż o stanowisko burmistrza Rzymu z Walterem Veltronim. W grudniu ubiegłego roku, gdy okazało się, że na brukselskiej karuzeli stanowisk Tajani ma szansę wygrać wybory na szefa PE, zaczęło się o nim w Italii trochę mówić, choć półgłosem. Dopiero gdy nim został, włoskie media odkurzyły ciekawy życiorys i przypomniały, kim Tajani był i jest.

PUPIL LETTY

Urodził się w Rzymie w 1953 r. Jest synem oficera i nauczycielki języków klasycznych. W Rzymie ukończył prestiżowe klasyczne liceum im. Torquato Tasso (renesansowy poeta włoski), a potem prawo na największym europejskim uniwersytecie – La Sapienza w Rzymie. Dojrzał w krwawych „latach ołowiu”, jak Włosi mówią o ponurych czasach terroru lewackich Czerwonych Brygad. Jednak – co wówczas pośród rozpolitykowanej młodzieży, przejętej rewolucją obyczajową, ruchem hipisowskim i okupacją uniwersytetów stanowiło ewenement – był rojalistą. Chciał powrotu przepędzonych po II wojnie z Italii Sabaudów, najlepiej na tron. Zresztą do dziś uważa brytyjską królową Elżbietę II za wybitną postać historyczną, a Juana Carlosa za twórcę hiszpańskiej demokracji. Po studiach próbował pójść w ślady ojca i robić karierę w armii. Po ukończeniu szkoły wojskowej we Florencji pracował w centrum radarowym w San Giovanni Teatino w Abruzzii. Znudzony monotonią i dyscypliną wojskowego życia porzucił tę pracę i poświęcił się dziennikarstwu, do czego miał wybitny talent, więc karierę zrobił błyskawiczną. Jako człowiek o tradycyjnych poglądach najpierw podjął pracę w prawicowym tygodniku „Settimanale” (luźno związanym z postfaszystowskim Włoskim Ruchem Społecznym), gdzie był

sprawozdawcą parlamentarnym. Jednak z postfaszystami Tajaniemu nie było po drodze (o sobie mówi „demokratyczny katolik”). W 1987 r. na łamach tego tygodnika ostro skrytykował ówczesną politykę Ruchu, a szczególnie poglądy i postawę jednego z jego deputowanych – Alfreda Pazzaglii. Ten w rewanżu spoliczkował go publicznie w holu Transatlantico Izby Deputowanych, gdzie wybrańcy narodu spotykają się z dziennikarzami. I jest to dotychczas jedyny znany skandal, w który, i to w sposób bierny, zamieszany był Tajani. Potem pracował jako redaktor i prezenter dzienników publicznego Radia RAI. W 1982 r. przeszedł do prawicowego mediolańskiego dziennika „Il Giornale”, gdzie najpierw kierował filią w Rzymie, a potem, dzięki znajomości języków (oprócz klasycznych dobrze włada angielskim, francuskim i hiszpańskim, nieco gorzej rosyjskim), został korespondentem zagranicznym, m.in. w Libanie i Moskwie. W 1991 r., w wieku zaledwie 38 lat, awansował na redaktora naczelnego, co zbliżyło go do świata polityki. Wpadł w oko najbliższemu współpracownikowi i przyjacielowi Berlusconi, późniejszemu szefowi gabinetu wszystkich jego rządów, Gian-niemu Letcie. Jak Tajani powiedział później: „Dobrze zapamiętałem sobie słowa Henry’ego Kissingera: »Dziennikarstwo? To dobre dla chłopców«. Kiedy więc Berlusconi w 1993 r. postanowił przedzierzgnąć się z przedsiębiorcy i biznesmena w polityka i poprosił o wsparcie, Tajani porzucił „Il Giornale” i całym sercem poświęcił się projektowi Forza Italia.

SUKCES SPOD PARASOLA

Wysłany do Brukseli nie czuł się tam początkowo najlepiej. Dwukrotnie próbował wrócić na włoską scenę polityczną. W 1996 r. kandydował w wyborach parlamentarnych, ale przegrał, podobnie jak pięć lat później, gdy chciał zostać burmistrzem Rzymu. W PE był czujką Berlusconi. Próbował oswajać Unię z Forza Italia i w jej imieniu budować w Brukseli polityczne sojusze. Zadanie było trudne, bo partia Berlusconi była tworem nowym, a co gorsza – zawarła koalicję z postfaszystowskim Sojuzem Narodowym. Natomiast samego Berlusconiego nie bez racji traktowano w Brukseli (i w całej Europie) jako uosobienie gigantycznego konfliktu interesów. Był najbogatszym przedsiębiorcą w kraju, a równocześnie

premierem, potem zaś szefem opozycji. Mimo to w 1998 r., po żmudnych negocjacjach z ówczesnym kanclerzem Niemiec Helmutem Kohlem, Tajani zdołał wprowadzić Forza Italia na brukselskie salony, a konkretnie związać ją z potężną, chadecką Europejską Partią Ludową. W 2008 r. Tajani, nominowany przez Berlusconi, został komisarzem ds. transportu, a potem przemysłu i przedsiębiorczości. We wdzięcznej pamięci mają go mieszkańcy Gijón. W 2015 r. poświęcił mu ulicę, bo rok wcześniej, po długich negocjacjach, przekonał amerykańską firmę Tenneco (przemysł samochodowy), by jednak nie zamykała tam swojej filii, czym uratował kilkaset miejsc pracy. Natomiast wszyscy obywatele Unii zawdzięczają mu prawo do odszkodowania, gdy samolot się spóźni, a także przyspieszenie rejestracji samochodów i płatności w transakcjach handlowych. Gdy w 2014 r. odchodził z Komisji Europejskiej, gdzie był jednym z czterech wiceszefów, zrezygnował, jak powiedział, z powodów moralnych, z przysługującej mu odprawy w wysokości niemal pół miliona euro. Nie każdego było na to stać.

Włosi przyjęli sukces Tajaniego różnie. Prawicowa prasa krzyczała z pierwszych stron: „Włoch na czele Europy!”, natomiast lewicowa, której faworyt Gianni Pittella w wyborach w Strasburgu poległ, wycofała informacje o tej klęsce na tylne strony. Tym bardziej że zwyciężył człowiek Berlusconi. A na dźwięk tego nazwiska każdy włoski lewicowiec dostaje gęsiej skórki i rośnie mu ciśnienie. Sam Berlusconi w należytym doń od 1992 r. „Il Giornale” osobiście napisał Tajaniemu laurkę i jego sukces uznał za własny. Natomiast Tajani na długo przed wyborami w Strasburgu, zapewne biorąc pod uwagę, że jego sponsor traci na potęgę wpływy w kraju, a w PE – delikatnie mówiąc – nie jest osobą zbyt popularną, ze swojego życiorysu na własnej stronie internetowej wycofał wszelkie informacje łączące go w jakikolwiek sposób z Berlusconim. Jednak Tajani, gdy renegaci, którzy w 2013 r. wyszli z partii Berlusconi, tworząc wspierającą lewicowy rząd Nową Centroprawicę, mimo umizgów do nich nie przystał, co rok później kosztowało go posadę w Komisji Europejskiej. Słowem – ostrożny człowiek, który nawet gdy świeci słońce, nosi właściwy polityczny parasol, a jak trzeba, to – zgodnie z receptą na sukces w Unii – nawet i dwa.

Eutanazyjna schizma



Tomasz P. Terlikowski

W Kanadzie, choć nikt tego nie ogłosił, doszło do eutanazyjnej schizmy w Kościele katolickim. I nie jest to tylko spór o metody duszpasterskie, ale głębsze pytanie o odpowiedzialność moralną jednostki i wizję Kościoła

Kanada, co do tego nie ma wątpliwości, choć z punktu widzenia USA jest prowincją, znajduje się obecnie w ścisłej czołówce lewicowych przemian. To tu premier szczyti się, że w rządzie ma zachowane wszelkie możliwe parytety (kobiet, gejów, niepełnosprawnych itp., itd.), tu aborcja jest legalna i finansowana przez państwo do końca trwania ciąży, a obrońców życia wsadza się do więzień za naruszanie wolności świadczenia usług i tu – od nieco ponad pół roku – obowiązuje ustawa eutanazyjna, wedle której „medyczną pomoc w umieraniu” świadczyć mogą nawet pielęgniarki. Postęp zaszedł więc tu maksymalnie daleko. Nowoczesny – a jakże! – jest tu także Kościół. Biskupi o wiele częściej i chętniej pojawiają się na marszach feministek niż obrońców życia, a liczba księży wciąż spada. I właśnie w tym kraju, i w tym Kościele mamy do czynienia z pierwszą, całkiem realną, eutanazyjną schizmą.

OSTATNIE NAMASZCZENIE PRZED EUTANAZJĄ?

O co poszło? Otóż kanadyjscy biskupi zdecydowanie podzielili się na tło stosunku do poddających się eutanazji katolików. Część z nich uznała, że kapłan może i powinien towarzyszyć w umieraniu osobom poddającym się eutanazji na

własną prośbę, część zajęła zaś stanowisko zdecydowanie przeciwne. Za pierwszym rozwiązaniem opowiedzieli się hierarchowie z regionu atlantyckiego Kanady, a także Quebecu; za drugim – ci z prowincji Alberta. Obie grupy wydały poważne dokumenty i zobowiązały podlegających im księży do ich respektowania. A żeby było jeszcze ciekawiej, obie powołują się na papieża Franciszka, by usprawiedliwić swoje podejście.

Zwolennicy „duszpasterskiego otwarcia” podkreślają, że ksiądz może udzielić komunii i ostatnich sakramentów osobie, która przygotowuje się do eutanazji. Decyzję tę usprawiedliwiają, powołując się na papieża Franciszka i jego adhortację „Amoris laetitia”. Ich zdaniem kapłan może sam zdecydować, czy udzielić sakramentów świętych osobie, która zamierza się dać zabić przez innych. W dokumencie noszącym tytuł „Duszpasterska refleksja na temat medycznego asystowania przy umieraniu” podkreślają, co jasno mówi bp Claude Champagne, że od doktryny ważniejsze jest dla nich współczujące towarzyszenie duszpasterskie. – Naszą troską jest duszpasterskie towarzyszenie. Naszym wzorem jest papież Franciszek – mówi biskup. I dodaje, że w przypadku ludzi cierpiących oraz szukających eutanazji biskupi regionu atlantyckiego sugerują, by im towarzyszyć, próbować ich zrozumieć i podążać z nimi ich drogą.

Ojciec Święty – jak podkreślają biskupi w kontrowersyjnym dokumencie – „przypomina, że ci, którzy towarzyszą innym, muszą zdawać sobie sprawę, iż sytuacja każdego człowieka przed Bogiem i jego życie łaską są tajemnicą, której nie możemy poznać z zewnątrz”. „W związku z tym nie możemy wypowiadać się na temat odpowiedzialności i winy innych ludzi” – oznajmili. „Chcemy zaznaczyć, że duszpa-

sterstwo nie może być zredukowane do norm dotyczących przyjmowania sakramentów lub celebracji pogrzebowych” – podkreślają biskupi. I dodają, że trzeba towarzyszyć duszpastersko i modlitewnie rodzinom oraz osobom, które rozważają eutanazję. To właśnie dzięki temu towarzyszeniu można sprawdzić, czy osoba chcąca się zabić, powinna otrzymać sakramenty czy nie. Biskupi zaznaczają także, że nie ma powodów, by nie znaleźć odpowiedniej formy pogrzebu dla ludzi, którzy popełnili eutanazję. Kilkustronicowy dokument pełen jest dość ogólnych sformułowań, emocjonalnego współczucia, które ma skrywać to, że biskupi w istocie zgodzili się na towarzyszenie kapłanów w eutanazji.

Całkowicie odmienne stanowisko przyjęli, w znakomicie udokumentowanym ponad 30-stronicowym dokumencie, biskupi Alberty. Oni przypomnieli katolickie nauczanie w sprawie eutanazji, wyrazili całkowity sprzeciw wobec jej wykonywania i podkreślili, że kapłani katolicki nie mogą wykonywać czynności, które mogą zostać odczytane jako wsparcie czy akceptacja dla eutanazji czy wspomaganego samobójstwa. A to oznacza, że nie wolno udzielać takim osobom sakramentów przed eutanazją, a i z pogrzebem trzeba być bardzo ostrożnym. O krok dalej od nich poszedł tylko bp Vitus Huonder, ordynariusz Chur (Szwajcaria), który w swoim dokumencie wprost zakazał sprawowania kościelnych pogrzebów wobec osób, które zdecydowały się na legalne wspomaganie samobójstwo.

DUSZPASTERSTWO MA ZNACZENIE

Debata w Kościele, którą wywołuje podejście do osób decydujących się na eutanazję, tylko pozornie nie odnosi się do meritum sprawy. Obie strony zapewniają



wprawdzie, że w pełni zgadzają się z katolickim potępieniem eutanazji. „[...] nikt ani nic nie może w żaden sposób zezwolić na zadanie śmierci niewinnej istocie ludzkiej, bez względu na to, czy chodzi o płód lub embrion, o dziecko, osobę dorosłą, starca, o osobę nieuleczalnie chorą czy znajdującą się w agonii. Ponadto nikomu nie wolno prosić o taką śmiercionośną czynność ani dla siebie, ani dla kogoś innego, powierzono jego odpowiedzialności; co więcej, nikt nie może zgodzić się na to bezpośrednio lub pośrednio. Nie może również takiej czynności prawomocnie nakazać lub zezwolić na nią żadna władza. Chodzi w tym przypadku o naruszenie prawa Bożego, o znieważenie godności osoby ludzkiej, przestępstwo przeciw życiu, zbrodnię przeciw ludzkości” – można przeczytać w deklaracji „Iura et bona” Kongregacji Nauki Wiary. I tego akurat, przynajmniej na poziomie biskupów, nikt poważnie w Kościele nie kwestionuje.

Jednak św. Jan Paweł II dodawał także, że niedopuszczalne jest jakiekolwiek współuczestnictwo w tego rodzaju działaniach. „Z moralnego punktu widzenia nigdy nie wolno formalnie współdziałać w czynieniu zła. Takie współdziałanie ma miejsce wówczas, gdy dokonany czyn – już to z samej swej natury, już to ze względu na określony kontekst kształtujących go okoliczności – ma charakter bezpośredniego uczestnictwa w działaniu przeciwko niewinnemu życiu ludzkiemu albo też wyraża poparcie dla niemoralnej intencji głównego sprawcy. Takiego współdziałania nie można nigdy usprawiedliwić ani powołując się na zasadę poszanowania wolności drugiego człowieka, ani też wykorzystując fakt, że prawo cywilne je przewiduje i nakazuje: za czyny dokonywane osobiście przez każdego istnieje bowiem odpowiedzialność moralna, od której nikt nie może się uchylić i z której będzie sądzony przez samego Boga” – uzupełniał papież z Polski. I trudno nie zadać pytania: Czy wysłanie kapłana, by ten wypowiadał osobę decydującą się na eutanazję i udzielił jej sakramentów, nie jest przypadkiem pewną formą współdziałania? Biskupi opowiadający się za tego typu posługą stwierdzają wprawdzie, że kapłan nie może odpuścić grzechu, przed jego dokonaniem, a zatem nie ma mowy o odpuszczaniu grzechu eutanazji, zanim do niego dojdzie, ale... to teologiczne zawiłości, których przeciętny człowiek nie rozumie. Dla niego kapłan, który udziela ostatniego namaszczenia osobie decydującej się na eutanazję, to

swoisty sposób akceptacji tej procedury i tego wyboru przez Kościół. I nie da się uciec przed taką konsekwencją.

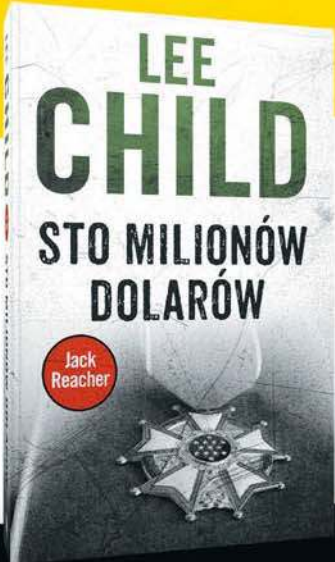
Świadomość tego miał także św. Jan Paweł II, który niezwykle mocno krytykował uczestnictwo niemieckich katolików w sieci poradni przedaborcyjnych. Prawo w Niemczech stanowi, że zanim kobieta zdecyduje się na aborcję, musi uzyskać zaświadczenie o odbytej rozmowie. Kościół katolicki założył i prowadził sieć poradni, w których wydawano takie zaświadczenia. I choć biskupi zapewniali, że dzięki nim udawało się odwieść wiele kobiet od aborcji, to św. Jan Paweł II zakazał wydawania takich zaświadczeń właśnie dlatego, że budowały one wrażenie współuczestnictwa Kościoła w aborcji. I analogiczną zasadę można, jak się zdaje, przyjąć w odniesieniu do decyzji części kanadyjskich biskupów.

DECENTRALIZACJA W PRAKTYCE

Kłopot polega tylko na tym, że w tej chwili nie widać kogoś, kto miałby przywołać „otwartych duszpastersko na eutanazję” biskupów do porządku. Franciszek zdecydowanie opowiada się po stronie decentralizacji, a ona prowadzi Kościół w takim właśnie kierunku. Już teraz w kwestii komunii świętej dla rozwodników w ponownych związkach biskupi w różnych diecezjach zajmują formalnie sprzeczne stanowiska. Teraz do podobnej sytuacji dochodzi w kwestii duszpasterskiego podejścia do osób, które chcą popełnić eutanazję. I wiele wskazuje na to, że takich różnie rozstrzyganych kwestii będzie więcej. Niemcy od dawna postulują przywrócenie do istnienia zlikwidowanych przez św. Jana Pawła II katolickich poradni wydających zaświadczenia konieczne do aborcji... W Holandii część biskupów chętnie uznałaby za uzasadnione błogosławienie par jedнопłciowych (oczywiście także z przyczyn duszpasterskich), a ostatnio jeden z afrykańskich biskupów wprost stwierdził, że z przyczyn duszpasterskich trzeba uznać wielożenstwo.

W efekcie Kościół katolicki przekształcił się w coś w rodzaju anglikanizmu, z papieżem jako w znaczącym stopniu honorowym zwierzchnikiem. Jedność doktryny zostanie zachowana w teorii, ponieważ w praktyce zastąpi ją... duszpasterska różnorodność. Z tej drogi wciąż oczywiście można zawrócić, ale wymaga to odważnych decyzji Stolicy Apostolskiej i samego papieża. Franciszek jest zwolennikiem synodalizacji i decentralizacji, więc on takich decyzji nie podejmie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

11 STYCZNIA
STO MILIONÓW DOLARÓW
MOŻE BYĆ TWOJE



BLISKO 2 MILIONY KSIĄŻEK O JACKU REACHERZE SPRZEDANYCH W POLSCE!

RÓWNIEŻ W TWARDEJ OPRAWIE



Książka dostępna w KSIĘGARNIE Świat Książki oraz na stronie swiatksiazki.pl

Patroni medialni:



WYDAWNICTWO ALBATROS



Piotr Włoczyk

Branża specjalizująca się w zamrażaniu ludzkich ciał działa od 50 lat i nigdy nie miała się tak dobrze jak dziś

Minęło pół wieku od śmierci prof. Jamesa Bedforda, pierwszego człowieka, który dał się po śmierci zamrozić w nadziei na wskreszenie, wyleczenie i odmłodzenie dzięki postępowi nauki. Dla entuzjastów krioniki (techniki zamrażania ludzkich i zwierzęcych ciał) rocznica jego śmierci to wyjątkowy dzień, który ma nawet swoją nazwę – Bedford Day.

Profesor Bedford, wykładowca psychologii z Uniwersytetu Kalifornijskiego, zmarł 12 stycznia 1967 r. w wieku 73 lat. Cierpiał na raka jąder z przerzutami do płuc. Gdy koniec był już bliski, jego syn skontaktował się z ludźmi, którzy ogłosili, że mają pomysł na pokonanie śmierci.

Cała operacja została zaplanowana z kilkudniowym wyprzedzeniem, pozostało tylko czekać przy łóżku szpitalnym na śmierć profesora. Już po kilku minutach od stwierdzenia zgonu czterech pseudonaukowców opętanych wizją życia wiecznego na ziemi zabrało się do realizacji procedury rodem z kiegoś filmu science fiction.

Na czele zespołu krioników stał Robert Nelson, na co dzień zajmujący się naprawianiem telewizorów. Nelson był prezesem nowo powołanego Kalifornijskiego Towarzystwa Krionicznego (Cryonics Society of California).

Pierwszym krokiem było wstępne schłodzenie ciała prof. Bedforda za pomocą suchego lodu. Następnie krionicy usunęli ze zwłok większość krwi, wtlaczając w jej miejsce dimetylosulfotlenek. W teorii miało to zakonserwować ciało prof. Bedforda i zabezpieczyć je przed wytworzeniem się w jego organizmie kryształków lodu, które są głównym wrogiem krioników – pojawienie się kryształków prowadzi bowiem do rozrywania komórek. Ostatnim etapem tej procedury było wstawienie zwłok do dewaru, ogromnego termosu wypełnionego ciekłym azotem o temperaturze –196 st. C.

„Nie mieliśmy gdzie go [ciała prof. Bedforda – przyp. red.] zabrać. Namówiłem więc Roberta Prehodę [jednego z krioni-

FOT. HENRY GROSINSKY/CONTRIBUTOR/GETTY IMAGES

Hibernbiznes

ków – przyp. red.], żeby przenieść go do jego garażu i potrzymać go tam dzień albo dwa. Następnego dnia pan Prehoda zadzwonił do mnie i powiedział, że żona grozi mu wezwaniem policji, jeżeli nie wyciągniemy dr. Bedforda z ich garażu” – wspominał Robert Nelson w rozmowie z BBC.

Gwoli ścisłości: o „Hibernatusie” z Louis De Funèsem nikt wtedy jeszcze nie słyszał, film miał wejść do kin dopiero dwa lata później.

GŁOWY Z AZOTU

Ostatecznie ciało dr. Bedforda trafiło do Arizony, gdzie tkwi do dziś w krio-przechowalni Alcor Life Extension Foundation (Fundacja Wydłużenia Życia Alcor), założonej w 1972 r.

Wbrew nazwie Alcor z życiem niewiele ma jednak wspólnego. Żaden kraj na świecie nie pozwala bowiem na zamrożenie człowieka żywcem. Mrozić w ciekłym azocie można jedynie trupy.

Alcor przechowuje w azocie zwołani 149 osób, natomiast 1116 żywych członków (stan na koniec grudnia 2016 r.) opłaca składki, deklarując tym samym, że po śmierci chce się poddać krioprezervacji.

Koszty tej pogoni za nieśmiertelnością nie są w tym przypadku małe. Zamrożenie i przechowywanie przez czas nieokreślony całego ciała to wydatek ok. 200 tys. dol. (ponad 800 tys. zł). Ci, których na to nie stać, mają jednak plan B, choć brzmi on jeszcze bardziej makabrycznie niż plan A. Za niecałe 100 tys. dol. Alcor oferuje tzw. neuroprezerwację, czyli umieszczenie w ciekłym azocie odciętej głowy „pacjenta”. To opcja dla ludzi, którym w ewentualnym kolejnym życiu na ziemi nie będzie potrzebny ich stary korpus. Paradoksalnie jest to jednak do pewnego stopnia racjonalne podejście: jeżeli uda się bowiem kiedyś nauce ożywić trupa, to przyprawienie do ożywionej głowy innego ciała nie powinno nastręczać większych trudności.

Wymienione ceny dotyczą jednak tylko mieszkańców Ameryki Północnej. „Pacjentom” spoza USA i Kanady doliczana jest opłata w wysokości 10 tys. dol. Najgorzej mają ci z Chin. Muszą oni dopłacić aż 50 tys. dol. do standardowej ceny.

Aby skorzystać z usług hibernacyjnych, powinno się przed śmiercią opłacać składki (525 dol. rocznie). Jeżeli zmarły nigdy nie był członkiem tego klubu, to jego rodzina, chcąc go zamrozić, musi się liczyć z dodatkową opłatą w wysokości 50 tys. dol. Ci, którzy nie mają dużych

oszczędności, mogą zawczasu wykupić polisę na życie i przepisać ją na rzecz Alcoru. Taka forma płatności jest równie mile widziana jak gotówka.

Krionika nie ogranicza się tylko do świadczenia usług dla ludzi. Hibernowane są też trupy zwierząt domowych, a nawet ptaków. Ceny za te usługi są oczywiście stosunkowo niższe.

Alcor działa już 45 lat, ale ze statystyk podanych przez firmę wynika, że prawdziwy boom przeżywa dopiero od początku tego wieku. W 2000 r. – według Alcoru – zamrożonych było tylko 40 ludzi. Od tego czasu miało ich przybyć ponad 100.

Entuzjaści tej parareligii przekonują, że tak jak kiedyś niemożliwe wydawało się przeszczepianie narządów, tak teraz ludzie nie doceniają potencjału krioniki. Co pewien czas krionicy nagłaśniają kolejny przypadek odratowania człowieka z re-kordowo długiej hipotermii, podkreślając przy tym, że nauka robi w tej dziedzinie coraz większe postępy. Tylko jak ma się odratowanie z hipotermii do opowieści o wskrzeszaniu zamrożonych przez dzie-sięciolecia martwych ciał?

Na razie nauce udaje się z sukcesem zamrażać i odmrażać tylko pojedyncze komórki (np. komórki jajowe). Powtarzanie tego w większej skali zawsze kończy się tym samym: rozmrożoną papką, która w niczym nie przypomina organizmu przed zamrożeniem. Krionicy mają jednak odpowiedź i na to: rozwiązanie przyniesie postęp w nanotechnologii. Ich zdaniem małe robociki będą kiedyś w stanie naprawić zniszczone komórki rozmrożonego człowieka. Po naprawieniu ciała przez nanoroboty naukowcom przyszości pozostanie już tylko... wskrzesić człowieka ze zmarłych.

TANIE MROŻENIE

Alcor nie jest monopolistą w branży „hibernacyjnej”. Jego głównym konkurentem jest Cryonics Institute z siedzibą w stanie Michigan. Jeżeli wierzyć jego statystykom, to obie organizacje idą łąb w łąb: CI w swoich dewarach przechowuje 145 ciał, a 1630 osób na całym świecie wykupiło członkostwo w tej organizacji. Najwięcej jest wśród nich Amerykanów, ale ponad stu członków to Europejczycy (podobno osiem osób jest z Polski).

W krioprzechowalni CI stoi 14 wielkich pojemników. Mają po trzy metry wysokości i dwa metry średnicy. W każdym jest sześć miejsc. Zwłoki włożone są do pojemników w śpiworach (kupionych w Wal-Marcie, jak

wynika z ustaleń „New Yorkera”) głowami do dołu.

W jednym z dewarów trzymane jest ciało założyciela CI, który w swoim środowisku uważany jest za ojca krioniki. Robert Ettinger zmarł w 2011 r. w wieku 93 lat, stając się 106. osobą zamrożoną przez CI. Wcześniej sam zdążył zamrozić swoją matkę i dwie żony. Ettinger zdradził w rozmowie z „New Yorkerem”, że planuje swoje wskrzeszenie do życia gdzieś pomiędzy 50. a 200. rokiem od zamrożenia.

Ettinger słynie wśród krioników jako autor „biblii” tej pseudonauki, wydanej w 1964 r. książki „Perspektywa nieśmiertelności”. To właśnie ta lektura zainspirowała Roberta Nelsona do zastosowania teorii w praktyce, co skończyło się zamrożeniem prof. Bedforda.

Założyciel CI tłumaczył rok przed śmiercią w rozmowie z „New Yorkerem”, że myślał o samobójstwie, aby samemu wybrać dogodny moment na rozstanie z życiem. Powstrzymała go przed tym jednak groźba poddania jego ciała autopsji, jeżeli pojawiłyby się jakiegokolwiek wątpliwości ze strony koronera, czy śmierć była istotnie wynikiem samobójstwa. Byłaby to katastrofa, bo krionicy nie widzą sensu w mrożeniu ciała po autopsji.

Samobójstwo popełnione w odpowiednim momencie było w mniemaniu Ettingera o tyle dobrym wyjściem, że w kronice kluczem do sukcesu ma być szybkość reakcji. Im wcześniej ciało zostanie zamrożone, tym większa ma być szansa, że w przyszłości uda się je odmrozić w stanie pozwalającym na wznowienie na ziemi życia po życiu.

Z uwagi na odległość dzielącą nas od USA najlepszym wyjściem dla europejskich zwolenników krioniki może być skorzystanie z usług rosyjskiej firmy KrioRus działającej od 2005 r. w Moskwie. KrioRus założyli działacze Rosyjskiego Ruchu Transhumanistycznego. Jest to stowarzyszenie ludzi, którzy odrzucając istnienie sił wyższych, dążą do pokonania śmierci rękoma człowieka.

Oferta Rosjan jest tym bardziej atrakcyjna, że ceny są kilkakrotnie niższe od amerykańskich. Zamrożenie całego ciała kosztuje niecałe 40 tys. dol., a głowy – tylko 13 tys. dol. Umowa na przechowywanie ciał podpisywana jest na 100 lat. Na razie Rosjanie mają jednak dużo mniejsze doświadczenie od Amerykanów. KrioRusowi zaufało jedynie 51 nieboszczyków (większość wybrała mrożenie samych głów).



INSTRUKCJA NA RANDKĘ

Nauczyciel z Highland High School w Utah (USA) oburzył matki nastoletnich uczennic. Jako projekt zalecił pójście na randkę z budżetem 5 dol. oraz dał dziewczętom i chłopcom wskazówki, jak się zachować. Co zalecił? Żeby dziewczyny były gotowe na czas; żeby były „dziewczęce i kobiece” i nie używały wulgarnej języka; żeby nie zwracały uwagi na to, ile kolega wydaje na randkę; żeby zjadły to, co zamówiły, by nie marnować pieniędzy; żeby nie oczekiwały wciąż komplementów; żeby podtrzymywały konwersację – słuchały, co się

mówi, i odpowiadały; żeby pozwoliły być chłopakowi dżentelmenem i np. dały mu szansę otworzyć drzwi. Prawda, że straszne? Wzburzone matki na Facebooku pytały, czy to instrukcja z lat 40. Pisały też do ministerstwa edukacji – czy wie o tym, jak mizoginiczne treści przekazuje się w szkołach (choć podobną instrukcję o zachowaniu się na randce otrzymali też chłopcy z tego liceum). Oburzone rodzicielki nie przedstawiły najciekawszego – jakie rady w XXI w. one dają swoim nastoletnim córkom przed randkami?

FOT. SUBBOTINA ANNA/FOTOLIA

ŻYCIE ZA FAST FOOD

Nie uwierzycie, jak bardzo można kochać niezdrowe jedzenie. Pewna 13-latką z Nowego Jorku kupiła sobie fastfoodową potrawę z kurczaka. Jej 12-letni kolega z dzielnicy Harlem poprosił, by się z nim podzieliła. Dziewczyna odmówiła. Wówczas chłopak wyciągnął broń i przystawił jej do skroni, żądając oddania upieczonego kawałka kurczaka. Według relacji amerykańskich mediów nastolatka także w tej sytuacji kategorycznie odmówiła podzielenia się posiłkiem. Odsunęła jego rękę i powiedziała, żeby dał jej spokój. Dwunastolatek nie zjadł nic i został oskarżony o rozbój. Odpowie za to przed sądem rodzinnym.

ZEMSTA JEST CIĘŻKA

Wydział komunikacji, gdzie rejestruje się pojazdy, to w Polsce miejsce wręcz legendarne. Przyjazd o godz. 6, by załapać się do kolejki przyjętych tego dnia petentów, bileciki, ocze-

kiwanie, ukłony i przeproszenie – bo zawsze czegoś brak i czegoś jeszcze trzeba. Okazuje się, że inni wcale nie mają łżej w kontakcie z urzędnikami. Niejaki Nick Stafford z miasta Lebanon (Wirginia, USA) próbował dowiedzieć się, jak ma zarejestrować auto, bo w okolicy ma kilka domów. Dzwoniąc pod numer dla petentów, spędził godzinę na oczekiwaniu na połączenie i nie doczekał się rozmówcy. Próbował więc wyszukać bezpośrednie numery do urzędników. Tej informacji mu odmówiono. Stafford wniósł więc sprawę do sądu – jeden pozew przeciwko miejscowemu urzędowi, a dodatkowe dwa przeciw konkretnym urzędnikom. Pozwy zostały oddalone, gdy w sądzie przedstawiciele władz dostarczyli niezmordowanemu mieszkańcowi wszystkie numery, których się domagał. Nick Stafford opublikował numery do urzędników na swojej stronie. Jednak na tym nie skończył. Postanowił swoje opłaty za samochody dostarczyć w nietypowej formie. Ponieważ prawo pozwala na składanie opłat

urzędowych w bilonie, Stafford wwiózł do urzędu pięć tacek drobniaków – w sumie ok. 3 tys. dol.

UCIECZKA W WALIZCE

Wiele jest prób ucieczek z więzień na świecie. Niektóre pomysły są udane – tak jak ten, który przyszedł do głowy osadzonemu w Cocke County (Tennessee, USA). Najpierw popsuli toaletę, a potem wykorzystali okazję, gdy podczas prac hydraulicznych naruszono ścianę za muszlą, i wybili sobie otwór do wolności. Niektóre pomysły bywają jednak zbyt szalone – choćby ten z Wenezueli. Tam 25-letnia Antonieta Robles Saouda została aresztowana po odwiedzeniu swojego partnera. Na widzenie przyszła z walizką lotniczą, w której próbowała go potem wywieźć na wolność. Teraz oboje będą na świat patrzeć przez kraty. ☹☹

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI

Komfortowa przestrzeń dla Ciebie i Twoich nart



RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

[@ info@rentis.pl](mailto:info@rentis.pl)

OGÓLNOPOLSKA WPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 BIAŁYSTOK +48 519 535 331 📍 BYDGOSZCZ +48 519 535 300 📍 GDAŃSK +48 519 535 311 📍 GORZÓW WLKP +48 519 535 327
📍 KATOWICE +48 519 535 301 📍 KIELCE +48 519 535 304 📍 KRAKÓW +48 519 535 305 📍 LUBLIN +48 519 535 318 📍 ŁÓDŹ +48 519 535 308
📍 OLSZTYN +48 519 535 314 📍 OPOLE +48 519 535 309 📍 PŁOCK +48 519 535 334 📍 POZNAŃ +48 519 535 303 📍 RZESZÓW +48 519 535 306
📍 SZCZECIN +48 519 535 310 📍 WARSZAWA +48 519 535 302 📍 WROCŁAW +48 519 535 307

– Zjednoczymy nasz kraj i sprawimy,
że Ameryka znów będzie wielka
– zapowiada prezydent Donald Trump

FOT. CHRIS KLEPONIS-POOL/GETTY IMAGES



Jacek Przybylski

Barack Obama przejdzie do historii jako pierwszy czarnoskóry prezydent USA, znakomity mówca oraz fatalny przywódca, który wpędził Amerykę w koszarne długi i poniósł wiele porażek na scenie międzynarodowej

Ameryka po Obamie

Od zeszłego piątku USA oficjalnie mają już nowego prezydenta. Donald Trump nie budzi jednak takich nadziei jak Barack Obama, który na początku swojej prezydentury w 2009 r. mógł się pochwalić rekordowym poparciem 79 proc. Amerykanów. Dla porównania: podczas pierwszych dni w Białym Domu George W. Bush cieszył się poparciem 65 proc., a Ronald Reagan – 58 proc. Amerykanów. W przypadku Donalda Trumpa poparcie to jest rekordowo niskie i wynosi zaledwie 40 proc.

Osiem lat temu hasłem: „Yes We Can” zauroczona była nie tylko Ameryka, lecz także duża część zachodniego świata. Młody, inteligentny, elokwentny prezydent budził prawdziwą nadzieję na zmianę. To z tego powodu już kilka miesięcy po zaprzysiężeniu Obama dostał Pokojową Nagrodę Nobla. Jego rządy z punktu widzenia polityki międzynarodowej były jednak fatalne i sprawiły, że świat wszedł w jeden z najbardziej niebezpiecznych okresów ostatnich kilku dekad.

SERIA KLĘSK

Barack Obama – który niestety od trudnej partii szachów zdecydowanie woli grę w golfa – po międzynarodowej szachownicy poruszał się jak dziecko we mgle. A w zasadzie gorzej: niczym słoń w składzie porcelany. Gdy w imię „resetu” stosunków rosyjsko-amerykańskich zrezygnował z zaplanowanej za rządów George’a W. Busha budowy tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach, decyzję tę ogłosił publicznie dokładnie w 70. rocznicę sowieckiej napaści na nasz kraj.

Biały Dom nie przejął się wówczas argumentem liderów z Europy Środkowo-Wschodniej, że taka decyzja może doprowadzić do podważenia lub przynajmniej zachwiania wiarygodności Stanów Zjednoczonych. Obama tłumaczył, że nowy system antyrakietowy będzie „lepiej dostosowany do zagrożeń XXI w.”, a więc do ochrony świata przed zagrożeniem ze strony Iranu – według amerykańskiej dyplomacji jednego z głównych państwowych sponsorów terroryzmu. Sześć lat później Barack Obama zawarł z władzami w Teheranie porozumienie. I zrobił to, chociaż izraelski premier Benjamin Netanjahu podczas wystąpienia przed obiema izbami amerykańskiego parlamentu ostrzegał, że negocjowane porozumienie z Iranem otworzy reżimowi ajatollahów drogę do wypro-

dukowania bomby atomowej. Broń ta mogłaby zaś zagrozić egzystencji Izraela, teoretycznie najważniejszego sojusznika USA na Bliskim Wschodzie (nazywanego przez Iran „małym szatanem”, w odróżnieniu od „wielkiego szatana”, czyli Stanów Zjednoczonych).

Obama przekonywał z kolei, że osiągnięte porozumienie umożliwi usunięcie „wielkiego zagrożenia dla bezpieczeństwa regionalnego i międzynarodowego”, nakazał odmrożenie miliardów dolarów aktywów (według Donalda Trumpa ajatollahowie dzięki Obamie mogli odzyskać nawet 150 mld dol.).

Jakby tego było mało, jak ustalił „The Wall Street Journal”, 44. prezydent nakazał wysłać do Teheranu samolot z drewnianymi paletami wypełnionymi euro, frankami szwajcarskimi i innymi walutami o łącznej wartości 400 mln dol. (sic!). Według irańskich władz był to okup za wypuszczenie z więzienia czterech amerykańskich obywateli – Biały Dom tej wersji zaprzeczył, twierdząc, że była to jedynie pierwsza rata w ramach rekompensaty związanej z próbą zakupu broni przez Iran, krótko przed rewolucją islamską w 1979 r. Jednak nawet jeśli uwierzmy, że zapłata i wypuszczenie więźniów przypadkowo odbyły się w tym samym czasie, to administracja 44. prezydenta popełniła poważny błąd, wywołując wrażenie, że Waszyngton odszedł od tradycyjnej polityki niepełniania okupu za swoich obywateli. W konsekwencji błąd Obamy może więc narazić Amerykanów na niebezpieczeństwo w różnych rejonach świata. Poza tym, jak można się było spodziewać, różnego rodzaju polityczne gesty ze strony Waszyngtonu nie przeszkodziły Teheranowi w kontynuowaniu bliskiej współpracy wojskowej z Moskwą, np. podczas syryjskiej wojny domowej.

GRA O NOWY ŚWIATOWY ŁĄD

Prezydent Władimir Putin i jego doświadczeni współpracownicy z szefem dyplomacji Siergiejem Ławrowem przez ostatnich osiem lat ogrywali zresztą nieudolną ekipę Baracka Obamy niemal na każdym polu. Wymarzony przez młodego amerykańskiego prezydenta „reset” w stosunkach z Rosją zakończył się łatwym do przewidzenia fiaskiem. Zbyt uległość i widoczny brak zainteresowania sprawami zagranicznymi u Obamy sprawiły, że Putin zaryzykował nie tylko inwazję na Ukrainę. Władze na

Kremlu, gdy tylko zobaczyły, jak niewiele w praktyce znaczą ostrzeżenia Białego Domu (Barack Obama wytoczył np. „czerwoną linię”, ostrzegając syryjskiego dyktatora, by nie ważył się użyć broni chemicznej, a gdy Baszar al-Asad ją przekroczył, Ameryka ograniczyła się w zasadzie do groźnego machania paluszkami), z powodzeniem wystąpiły również w roli światowego mocarstwa, zamieniając Syrię w olbrzymi poligon doświadczalny i rozstrzygając losy wojny domowej na rzecz swojego protegowanego – Baszara al-Asada.

Krwawa wojna domowa w Syrii, a co za tym idzie – również bezprecedensowy kryzys humanitarny, wielkie fale uchodźców napływających do Europy i rosnące zagrożenie terrorystyczne również są – choć oczywiście tylko w części – wynikiem błędów Baracka Obamy. To on wbrew ostrzeżeniom generałów i z czysto politycznych powodów podjął decyzję o przedwczesnej ewakuacji amerykańskich wojsk w Iraku, a następnie o ograniczeniu wydatków Waszyngtonu na szkolenie irackiej policji, służb specjalnych etc. To zaś – co podkreślał podczas kampanii wyborczej obecny prezydent Donald Trump, ale co przyznawał nawet dziennik „The Washington Post” – przyczyniło się do powstania Państwa Islamskiego (ISIS). Natychmiast po wycofaniu się oddziałów USA nasiliła się fala przemocy między sunitami a szyitami. Po ataku na Mosul oddziały islamistów szybko zdobyły zaś masę nowoczesnej broni i sprzętu z USA, dzięki czemu szybko zajęły jedną trzecią terytorium Iraku i znaczącą część Syrii. Sam prezydent w 2014 r. porównywał tę jedną z najgroźniejszych organizacji terrorystycznych do szkolnej drużyny rezerwowej. Dopiero w późniejszym wywiadzie dla telewizji CBS przyznał, że Stany Zjednoczone nie doceniły siły Państwa Islamskiego. Nie wyciągnął jednak wniosków z własnego błędu. I miał pecha. Zaledwie kilka godzin po tym, gdy w 2015 r. uspokajał, że Państwo Islamskie jest „pod kontrolą”, islamscy terroryści z ISIS przeprowadzili najbardziej krwawy zamach w historii Francji, zabijając w Paryżu 130 osób.

Wielkie fale uchodźców w Europie, a pośrednio także wzrost zagrożenia terrorystycznego w Europie, to również wynik interwencji wojskowej w Libii. Kraj, który po obaleniu bezwzględnego Kaddafiego, z rozbitymi strukturami państwowymi, bez policji i wojska,

został praktycznie pozostawiony samemu sobie i szybko pograżył się w chaosie, stając się wylęgarnią sił ISIS i innych grup terrorystycznych, a także bazą dla handlarzy bronią czy przemysłowców, przerażających ludzi na Starym Kontynencie. Te poważne błędy Obamy przysyłają sukces, za jaki można by uznać zabicie legendarnego przywódcy Al-Kaidy – Osamy bin Ladena.

Zła polityka Baracka Obamy doprowadziła też niemal do utraty tak ważnego sojusznika USA jak Egipt. 44. prezydent USA zaczął co prawda od pięknego przemówienia wygłoszonego w czerwcu 2009 r. na Uniwersytecie Kairskim. Zasygnalizował w nim nowy początek stosunków USA ze światem muzułmańskim, bez zamykania oczu na napięcia i problemy. Kłopot w tym, że szybko sam o swoich słowach zapomniał i tak bardzo chciał udowodnić, iż Ameryka nie jest i nigdy nie będzie w stanie wojny z islamem, że gdy po obaleniu Husniego Mubaraka na czele Egiptu stanął Muhammad Mursi – jeden z liderów Bractwa Muzułmańskiego, organizacji promującej m.in. prawo szariatu – Obama przekazał Egiptowi myśliwców F-16, czołgi i grubo ponad 1 mld dol. z pieniędzy amerykańskich podatników. Sam Mursi zaczął z kolei wydawać dekrety rozszerzające jego uprawnienia tak bardzo, że laureat Pokojowej Nagrody Nobla – Muhammad el-Baradei – stwierdził, iż ten „ogłosił się nowym faraonem”. Błędy ekipy Obamy nie skończyły się nawet po tym, jak Mursi w 2013 r. został obalony, skazany m.in. na dożywocie oraz karę śmierci, a władze Egiptu uznały Bractwo Muzułmańskie za organizację terrorystyczną. W styczniu 2015 r. delegacja Bractwa została oficjalnie przyjęta w Waszyngtonie. Szef egipskiej dyplomacji złożył wówczas protest, a egipscy publicyści zauważyli, że przyjmując przedstawicieli Bractwa wkrótce po tym, jak islamscy bojownicy zabili na półwyspie Synaj ponad 30 żołnierzy, Waszyngton pokazuje, że istnieją „dobrzy i źli terroryści”. Władimir Putin szybko wykorzystał rosnące napięcia na linii Kair – Waszyngton i doprowadził do największego od pół wieku ocieplenia relacji rosyjsko-egipskich. Prezydent Rosji sprytnie wykorzystał też zgrzyty między administracją Baracka Obamy a marzącym o coraz większej władzy

prezydencie Turcji Recepie Tayyipie Erdoğan. Rosja, Iran i Turcja stworzyły zatem w Syrii wspólny front i o przyszłości regionu dyskutują z pominięciem USA. Kontrowersje wzbudza również decyzja Obamy o normalizacji stosunków z Kuba.

PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO

W polityce wewnętrznej największym „sukcesem” Baracka Obamy było przyjęcie reformy zdrowotnej. Przez dekady próbowali do tego doprowadzić różni demokratyczni prezydenci, ale żadnemu wcześniej się to nie udało. Kłopot w tym, że słynna Obamacare jest niewypałem.

Wprawdzie odsetek Amerykanów bez żadnego ubezpieczenia spadł z 15,7 proc. w roku 2011 do zaledwie 8,6 proc. w pierwszym kwartale 2016 r., ale wbrew słowom Obamy, który zapowiadał, iż jego reforma systemu opieki



Donald Trump i Barack Obama, czyli 45. i 44. prezydent USA

FOT. PABLO MARTINEZ MONSIVAIS/AP/EAST NEWS

zdrowotnej doprowadzi do zmniejszenia deficytu budżetowego oraz obniżenia wydatków na lekarza przez zwykłych Amerykanów, Obamacare stała się o wiele bardziej kosztowna zarówno dla budżetu, jak i dla milionów zwykłych mieszkańców. Zgodnie z zapowiedziami demokratów przeciętna rodzina w USA miała płacić mniej o 2,5 tys. dol. rocznie. Okazało się jednak, że ceny zamiast spaść, skoczyły ostro w górę. Składki oferowane w ramach reformy mają zdrożeć w 2017 r. średnio o 25 proc. po tym, jak wzrosły już w latach 2016 i 2015.

W wielu przypadkach wzrosły też minimalne kwoty, które pacjenci muszą pokrywać z własnej kieszeni. Towarzystwa ubezpieczeniowe rekompensują sobie bowiem koszty wynikające z dodatkowych obowiązków nałożonych na nie w wyniku reformy. W dodatku wiele osób straciło

dostęp do dotychczasowych specjalistów. To bardzo bolesne zderzenie z rzeczywistością podczas zeszłorocznej kampanii prezydenckiej było jednym z koronnych argumentów dla zwolenników Donalda Trumpa, który obiecywał wyborcom, że doprowadzi do uchylecia Obamacare.

Osiem lat rządów 44. prezydenta doprowadziło również do rekordowego wzrostu zadłużenia USA. Barack Obama sam zadłużył Amerykę bardziej niż 42 prezydentów przed nim razem wziętych. Gdy zaczynał urzędowanie, dług wynosił 10,6 bln dol. Kiedy opuszczał Biały Dom, federalny wzrósł do niemal 20 bln dol. (czyli do ponad 100 proc. PKB). Dla porównania: George W. Bush zaciągnął 4,89 bln dol. nowych długów – co podczas kampanii przedwyborczej w 2008 r. Obama wytknął mu jeszcze jako senator i nazwał Busha „nieodpowiedzialnym” prezydentem, a zadłużanie kraju określił jako „niepatriotyczne”. 42 prezydentów przed Bushem

i Obamą zadłużyło Amerykę w sumie na 5,72 bln dol.

Pierwszemu czarnoskóremu prezydentowi USA nie udało się też poprawić stosunków rasowych. Po ośmiu latach jego rządów są one najgorsze od niemal ćwierćwiecza. Obama wygłosił co prawda w tej sprawie kilka niezwykle wzruszających przemówień, ale jego słowom nie towarzyszyły konkretne reformy.

I chociaż Barack Obama wciąż potrafi porwać tłumy, zwłaszcza młodych Amerykanów – doskonały orator i znakomity aktor nie bez powodu nazywany jest prezydentem popkulturowym – to nawet pobieżny rzut oka na fakty nie pozwala wystawić 44. prezydentowi USA dobrej oceny. Obama poniósł klęskę. I nie jest to tylko kwestia oceny zewnętrznego komentatora. Podobną ocenę dokonaną przez miliony Amerykanów widać po wynikach wyborów. Nie tylko prezydenckich. Od 2009 r. Partia Demokratyczna straciła również większość w Izbie Reprezentantów (republikanie dominują w niej od 2010 r.) i w senacie (gdzie Partia Republikańska ma większość od roku 2014). Do Partii Republikańskiej należą również dwie trzecie gubernatorów (w 2009 r. do partii Baracka Obamy należało 29 z 50 gubernatorów), a także ponad dwie trzecie stanowych legislatur. Już za dwa lata partia Donalda Trumpa ma zaś szanse na nowe zwycięstwa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**PAŁAC
NA
WODZIE**

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu
Zarabiaj już dziś



7%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu

14 dni
pobyt właścicielski



Baseny termalne



Thermal SPA



Restauracja



Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy



22 299 11 44

apartamenty@palacnawodzie.pl

apartamenty.palacnawodzie.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl 6a500a54bf

Blisko 1,5 m średnicy i 470 km długości mierzy rura, która budzi spore kontrowersje w Niemczech, Polsce, na Ukrainie, w Rosji, a nawet w Luksemburgu. Gazociąg OPAL (to skrót od niemieckiego Ostsee-Pipeline-Anbindungsleitung, czyli po prostu „Połączenie z Gazociągiem Północnym”) jest przedłużeniem Nord Streamu, biegnie przez wschodnie Niemcy, a swój początek ma w Lubminie nad Bałtykiem, kończy zaś w Olbernhau przy granicy z Czechami. Służy do transportu na południe gazu kupowanego od rosyjskiego Gazpromu. Obecnie jest wykorzystany zaledwie w połowie, Rosjanie chcą jednak, by to się zmieniło. Komisja Europejska wydała już zgodę na zwiększenie przepustowości OPAL-u do 80 proc. (a w wyjątkowych sytuacjach nawet do 100 proc.). Jednak spółka Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo zaskarżyła decyzję do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i 27 grudnia 2016 r. sędziowie wstrzymali wykonanie decyzji. Komisja Europejska oraz PGNiG miały czas do 16 stycznia na złożenie wyjaśnień w TSUE, teraz czekają na ostateczny werdykt, który do chwili zamknięcia numeru jeszcze nie zapadł.

SPÓR O RURĘ

To, ile paliwa może Gazprom przepuszczać przez OPAL, ma niebagatelne znaczenie – nie tylko dla Polski i Niemiec, lecz również dla większości naszych sąsiadów. Za jego pośrednictwem surowiec trafia nie tylko do Niemiec, lecz także do Czech i na Słowację. Płyne przez niego obecnie 18 mld m sześć. gazu rocznie. Jeśli Gazprom będzie mógł transportować OPAL-em więcej gazu, to będzie mógł jednocześnie transportować mniej innym gazociągiem – Jamał – który biegnie przez Ukrainę i Polskę. A to oznacza, że łatwiej mu będzie zakręcić nam kurek, co zwiększa możliwość wywierania politycznych nacisków przez Moskwę na Kijów i Warszawę. Ponadto odbiorcy surowca mogą być w mniejszym stopniu zainteresowani nabyciem go z innych źródeł, np. polskich. A przecież plany takie są: zarówno jeśli chodzi o sprzedaż dalej na południe gazu, który trafia do nas przez terminal LNG w Świnoujściu, jak i przez Korytarz Norweski, który ma zostać zbudowany do 2022 r.

Dlatego Polska zadziałała błyskawicznie (PGNiG jest firmą państwową, więc zupełnie zasadne jest traktowanie tego sporu jako batalii między państwami). Wstrzymanie decyzji KE przez TSUE



Stefan Sękowski

Spór o przepustowość gazociągu OPAL, konkurencja o odbiorców surowca mającego płynąć Nord Streamem i Korytarzem Norweskim oraz kontrowersje wokół budowy połączenia polsko-czeskiego pokazują, że w polityce energetycznej nie ma stałych sojuszników ani wrogów

Gazowa

zostało przedstawione jako wielki sukces naszego rządu – trzeba jednak pamiętać, że to wstrzymanie jest jedynie czasowe. A ostateczna decyzja wcale nie musi zapaść po naszej myśli. – Im bardziej wydanie orzeczenia przez Trybunał się przedłuża, tym lepiej dla nas. Za stanowiskiem Komisji przemawiają jednak także poważne argumenty – mówi „Do Rzeczy” ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego Paweł Musiałek. Spór przed Trybunałem nie jest bowiem czysto

politycznej natury. To nie jest tak, że skoro Polska należy do Unii Europejskiej, a Gazprom jest rosyjski, to TSUE przyzna nam automatycznie rację. Przynajmniej w teorii (poprzez KE swoje interesy rozgrywają przecież także Niemcy) najważniejsze dla tego organu będzie to, czy Komisja wydała decyzję zgodnie z europejskim prawem.

SEZON OTWARTY

To zaś mówi, że gazociąg, którym przesyłany jest surowiec, nie może na-



FOT. ULRICH BAUMGARTEN/GETTY IMAGES

leżeć do głównego dostawcy gazu. Teoretycznie z jednej rury mogą korzystać różni dostawcy, tymczasem OPAL, który należy w 80 proc. do spółki Wingas, której współdziałowcem jest Gazprom, transportuje jedynie gaz dostarczany przez Gazprom – zderzenie z unijnymi zasadami jest zatem niewątpliwe. Problem w tym, że dopuszcza się w tym przypadku również wyjątki. Takim jest sytuacja, w której innych zainteresowanych dostawców po prostu nie ma – i tak

jest właśnie w tym przypadku. Komisja twierdzi, że jeśli nie zwiększy się przepustowości OPAL-u, to zagrożone mogą być dostawy gazu do Czech.

W opublikowanej części decyzji KE można przeczytać, że zwiększenie przepustowości będzie pozytywne dla konkurencyjności na rynku gazu i umożliwi dostęp do taniego gazu państwom Europy Środkowej w razie, gdyby zmniejszyły się dostawy przez Gazociąg Jamalski. Problem w tym, że właśnie zwiększenie

przepustowości OPAL-u ułatwia zakręcenie kurka na Jamale. – Oddanie całej przepustowości OPAL-u Rosjanom przeciwdziała planom urynkwienia handlu gazem w Europie. Godzi nie tylko w nasze interesy, lecz także np. Słowacji – mówi „Do Rzeczy” pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej Piotr Naimski. Jego zdaniem utrwała to hegemonię Rosjan w tym zakresie. Utrudnia (choć nie uniemożliwia) także inne rozwiązania, które

■ mają doprowadzić do zdywersyfikowania źródeł dostaw gazu. Takim jest np. inwestycja w Korytarz Norweski, który ma połączyć Polskę z norweskim szelfem kontynentalnym. W lutym ma się rozpocząć pierwsza faza tzw. procedury Open Season, w ramach której potencjalni odbiorcy zgłaszają chęci do zakupu gazu, który ma popłynąć do Polski Korytarzem – a konkretnie rurociągiem Baltic Pipe, mającym łączyć polskie Wybrzeże z Danią, a stamtąd z szelfem norweskim. To inne pole bitwy między PGNiG a Gazpromem, który w marcu tego roku planuje rozpocząć aukcję na przepustowość Nord Stream 2 – drugiej nitki gazociągu, mającej powstać do 2019 r. Obie inwestycje konkurują ze sobą, ponieważ odbiorem gazu transportowanego za ich pośrednictwem mogą być zainteresowane te same firmy.

CORAZ BARDZIEJ BEZPIECZNI?

Zdaniem Naimskiego ta zbieżność może być przypadkowa. Jednak prędkość przygotowań już nie. – My się spieszymy z naszą inwestycją. Mamy już gotowe studium wykonalności, gotowa jest także część przyłączy systemu norweskiego do duńskiego. Druga faza „Open Season” ma się odbyć w czerwcu. Ze strategicznego punktu widzenia nasza oferta będzie konkurencyjna wobec rosyjskiej, oznacza bowiem wprowadzenie nowego źródła gazu. Zwłaszcza jeśli jednocześnie powstaje Nord Stream 2: nieprzypadkowo przedstawiciele dziewięciu państw regionu protestują przeciwko tej inwestycji – tłumaczy. Jednak Musiałek jest sceptyczny. – Korytarz Norweski to oczywiście dodatkowe źródło, ale Gazprom może zaproponować odbiorcom niższe ceny. A złoża norweskie będą się kończyć. Plany przesyłu gazu za granicę mogą się skończyć tak jak w przypadku terminalu w Świnoujściu, z którego korzysta tylko PGNiG. Co do zasady nie jest to zły pomysł, ale szczegóły trzeba dobrze przemyśleć – mówi.

Rację mają obaj. Inwestycja musi się opłacać i choć z pewnością zwiększy naszą niezależność, nie jest aż tak pilna jak kiedyś. Dzięki otwartemu w ubiegłym roku gazoportowi w Świnoujściu możemy sprowadzać do 5 mld m sześć. gazu rocznie, co stanowi obecnie ok. jednej trzeciej naszego zapotrzebowania (zużywamy obecnie prawie 17 mld m sześć.). Dodatkowo istnieje możliwość sprowadzenia do 8 mld m sześć. gazu rocznie

dzięki polsko-niemieckiemu rewersowi na Gazociągu Jamalskim. To co prawda nadal gaz z Rosji, ale przynajmniej to nie Moskwa decyduje, czy płynie on do nas, czy nie. Jednocześnie budujemy interkonektor z Litwą, dzięki czemu będziemy mieli dostęp do gazu, który trafia do naszego północnego sąsiada przez gazoport w Kłajpedzie. Z drugiej strony gazoport w Świnoujściu nie przynosi zysków m.in. dlatego, że trudno nam przesyłać sprowadzane tam paliwo do innych krajów, bo nie mamy odpowiedniej infrastruktury. Temu mają służyć rozbudowa i budowa nowych połączeń z Czechami, ze Słowacją i z Ukrainą. Zresztą na tym polega tworzenie korytarza Północ-Południe, mającego nas połączyć liczni-

Nie chodzi o to, by na złość Rosjanom rzucić się w ramiona innych oligopolistów i kupować znacznie droższy gaz niż do tej pory

mi gazociągami z terminalem na chorwackiej wyspie Krk i który miałby zacząć działać w 2020 r. Te inwestycje mogą uczynić Baltic Pipe bardziej opłacalnym.

WSPÓŁPRACA NAWET Z ROSJĄ

Ta współpraca nie wynika z wrodzonej przyjaźni między narodami naszego regionu. Krytykując fasadowość europejskiej solidarności, trzeba samemu o niej pamiętać. Nasi południowi partnerzy nie będą korzystali z „naszego” gazu tylko dlatego, że my im go dostarczymy. Oni chcą przede wszystkim taniego paliwa, i to niekoniecznie od nas. Dobrym przykładem jest postawa Czech, które oprócz tego, że sprowadzają gaz od Rosjan, kupują go także m.in. od Norwegów (płynie do nich przez Niemcy). Chociaż deklarują chęć zakupu surowca płynącego do nich także przez Polskę, to opóźniają się prace nad polsko-czeskim gazociągiem Storck II. Jak pisze BiznesAlert.pl, by wspólnie z naszym krajowym operatorem, Gaz-Systemem, złożyć wniosek o europejskie dofinansowanie inwestycji, czeski operator Net4Gas domaga się gwarancji dostaw – czego Gaz-System, który nie jest dostawcą, zapewnić nie może. Co prawda politycy podkreślają, że nadal są tym projektem zaintere-

sowani, jednocześnie czeski minister przemysłu i handlu Jan Mládek podczas swej niedawnej wizyty w Azerbejdżanie nie ukrywał, że Czesi chcieliby kupować gaz także od Azerów i Turków, za pośrednictwem powstającego Południowego Korytarza Gazowego. Co prawda, trudno powiedzieć, ile gazu mogłoby w ten sposób trafić nad Węłtawę (raz, że te dostawy mają być i tak niewielkie, a dwa – skorzystać z niego mają przede wszystkim Włochy, Grecja i Bułgaria), ale sygnał jest jasny: chcemy zdywersyfikować nasze źródła. Niekoniecznie dzięki Polsce.

Nie powinniśmy się na to zżymać, tylko prowadzić asertywną politykę w tym zakresie. Wykorzystywać w tym celu instytucje unijne, czego przykładem jest choćby słuszne zaskarżenie decyzji KE w sprawie OPAL-u do Trybunału Sprawiedliwości (warto pamiętać, że Komisja Europejska uznaje dywersyfikację źródeł gazu za strategiczny cel swojej polityki energetycznej). W realizacji naszych interesów mogą nam pomóc pośrednio także... Rosjanie. Celem polskiej polityki energetycznej jest zapewnienie możliwości całkowitego zastąpienia rosyjskiego gazu przez import z innych źródeł do 2022 r., kiedy to kończy się długoterminowa umowa na zakup surowca za pośrednictwem gazociągu Jamał. Piotr Naimski jeszcze w ubiegłym roku zapowiadał, że w dotychczasowej formie umowa na pewno nie zostanie przedłużona, a na pytanie „Do Rzeczy” o to, czy to oznacza, że możemy w ogóle przestać kupować gaz z Rosji, odpowiada: – Oczywiście mamy możliwość rezygnacji. Niewykluczone, że w ogóle nowej umowy nie będzie.

To może być korzystne, jeśli nie traktuje się rezygnacji z rosyjskiego gazu jako celu samego w sobie. Ostatecznie nie chodzi przecież o to, by na złość Rosjanom rzucić się w ramiona innych oligopolistów i kupować znacznie droższy gaz niż do tej pory, byle nie rosyjski, a o to, by mieć zapewnione stałe i względnie niedrogie dostawy surowca. Inwestowanie w budzące nadzieje projekty, takie jak Baltic Pipe, musi się długofalowo rzeczywiście opłacać. Jeśli będziemy kierować się takim założeniem, to polskie zamierzenia mogą zakończyć się sukcesem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”

NOWY ASX

WYBIERZ SWOJĄ RZECZYWISTOŚĆ



MITSUBISHI
MOTORS

Drive@earth

Już od **675 zł miesięcznie***



UMÓW SIĘ NA JAZDĘ PRÓBNĄ

100th Anniversary

* Cena 675 zł netto. Kalkulację sporządzono na samochód Mitsubishi ASX 1.6 Inform w cenie 69 990 zł brutto w oparciu o stałą stopę procentową z dnia 14.12.2016 r. Opłata wstępna 0 zł, okres kontraktu 60 miesięcy, przebieg całkowity 100 000 km. Niniejsza propozycja nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 par. 1 Kodeksu cywilnego i jest adresowana wyłącznie do przedsiębiorców. Przyznanie finansowania jest uzależnione od wyniku badania zdolności kredytowej ubiegającego się o finansowanie. Szczegóły u sprzedawcy. Dostawcą oferty jest Arval Service Lease Polska Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Wołoskiej 24, 02-675 Warszawa.

Informacje na temat złomowania samochodów Mitsubishi oraz przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na www.mitsubishi.pl.

Emisja CO₂: 135 g/km; zużycie paliwa 5,8 l/100 km.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Uwolnić giełdę od polityków

Po co udawać, że mamy w Polsce silną, liczącą się Giełdę Papierów Wartościowych, skoro już takiej nie mamy (mimo ostatniego „odbicia” GPW od paru lat traci zdobytą ongiś niezłą pozycję), bo politycy – głównie ci z ekipy Tuska, ale nie tylko oni – do cna zrujnowali zaufanie do niej?

A Polacy zachowują się roztropnie, niczym wytrawni inwestorzy, wyciągając nad wyraz poprawne wnioski z niszczących giełdę posunięć polityków. Takich jak zdewastowanie przez rząd Tuska kapitałowego filaru emerytalnego (wskutek ograniczenia transferów oszczędności do OFE i znacjonalizowania połowy ich kapitałów), zmuszanie przez rządy Kopacz i Szydło giełdowych spółek energetycznych do utrzymywania upadłych kopalń, wprowadzenie przez rząd Szydło podatku bankowego.

Polacy, starając się ograniczyć ryzyko, od pewnego czasu trzymają zatem oszczędności jak najdalej od giełdy. Już jedynie 3 proc. akcji firm z GPW należy do inwestorów indywidualnych. Zamiera też zainteresowanie funduszami inwestującymi na giełdzie. Przy czym, warto zauważyć, dużo wyższą cenę płać za to firmy z udziałem Skarbu Państwa, czyli te, na które wpływ mają politycy. Spółki te podczas ubiegłorocznego dołka – jak wyliczyła „Rzeczpospolita” – straciły na wartości aż o jedną trzecią więcej niż spółki prywatne (porównano ceny akcji 15 firm z udziałem Skarbu Państwa i 15 prywatnych z indeksu WIG30).

Rzecz jasna, można dalej udawać, że GPW nic nie dolega, że wręcz kwitnie. I organizować fety z okazji każdego „lecia” oraz co roku zmieniać jej szefa. Można jednak też spróbować uratować to, bez czego Polska nie ma szans na szybki rozwój. Czyli odbudować zaufanie Polaków do giełdy.

Wszelako **powodzenie tego planu wymagałoby nie tylko** jak najszybszego zrealizowania niezłego pomysłu wicepremiera Morawieckiego, zakładającego przekazanie 75 proc. pieniędzy (szkoda, że nie 100 proc.), odłożonych w OFE przez przyszłych emerytów, do „zwykłych” funduszy inwestycyjnych, czyli – w efekcie – „ostatecznie oddanie ich właścicielom” (aby te ich własne inwestycyjne konta stały się zaczątkiem nareszcie wolnych od woli polityków, naprawdę prywatnych oszczędności emerytalnych, budowanych m.in. na podstawie akcji firm z GPW).

Powodzenie planu przywrócenia zaufania Polaków do giełdy – po to, by znów zechcieli tam pomnażać swe pieniądze – **wymagałoby bowiem także** wycofania się państwa (czyli polityków) z tych wszystkich notowanych na GPW spółek, które do państwa należą nie muszą (a więc dokończenia ich prywatyzacji, najlepiej w oparciu o polski kapitał), i jednoczesnego wycofania z giełdy tych spółek, które ze względu na bezpieczeństwo państwa muszą być przez władzę kontrolowane w sposób właścicielski. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Na starość nie oszczędzajmy

Już chyba wszyscy wiedzą, że emerytury będą głodowe. Za 20–30 lat w relacji do przeciętnego wynagrodzenia będą dwukrotnie mniejsze niż dzisiaj. Ekonomiści mają na to dwie recepty. Trzeba przyspieszyć tempo wzrostu gospodarczego, żeby przeciętne wynagrodzenie wynosiło nie 4 tys. zł (a emerytura 1 tys. zł), tylko 4 tys. dol. (a emerytura 1 tys. dol.). Albo trzeba zacząć oszczędzać na emeryturę jak najwcześniej, odkładając co najmniej 15 proc. dochodu netto co miesiąc. Z tymi radami są dwa problemy,

Zamiast wydać pieniądze na nowy smartfon, lepiej zapłacić za uczestnictwo w kilku seminariach

przeciętny Polak nie ma wpływu na tempo wzrostu gospodarczego, a oszczędzanie w takiej skali radykalnie obniża standard życia.

Ja proponuję inną strategię: nie powinniśmy w ogóle oszczędzać, tylko wydawać wszystkie pieniądze, może poza pewną rezerwą na nieoczekiwane problemy zdrowotne. Aż do momentu, gdy nie będziemy w stanie sensownie wydać bieżących dochodów – wtedy oszczędności pojawiają się same.

Kluczowa dla wysokości przyszłej emerytury i dla standardu życia jest struktura wydatków. Wydatki mogą być

konsumpcyjne albo mogą służyć budowie dwóch rodzajów kapitału, które są kluczowe dla udanego życia każdego z nas: kapitał wiedzy i kapitał relacji.

Zwiększenie osobistego kapitału wiedzy jeszcze nigdy w historii nie było tak łatwe i tak tanie. Są dostępne darmowe kursy – tzw. MOOC – oferowane przez najlepsze uczelnie świata na platformach Coursera, EDX i innych. Po zainwestowaniu 6–12 miesięcy, po kilka godzin tygodniowo, możemy zyskać cenne umiejętności, które pozwolą awansować, zmienić pracę na lepiej płatną lub rozpocząć własną działalność gospodarczą. Na rynku potrzebni są informatycy. Każdy, kto chociaż biernie zna język angielski, może pozyskać kompetencje programisty prawie bezpłatnie lub inwestując niewielkie pieniądze.

Drugi rodzaj kapitału, który powinniśmy świadomie budować, to kapitał relacji. Zamiast wydać pieniądze na nowy smartfon czy modne ciuchy, lepiej zapłacić za uczestnictwo w kilku konferencjach lub seminariach, które prowadzą i na których bywają ciekawi ludzie. To okazja, by w kulisach poznać te osoby, wymienić się wizytówkami. Potem, często w nieoczekiwany dla nas sposób, te kontakty mogą nam pozwolić na pozyskanie ciekawego kontraktu lub podjęcie ciekawej, dobrze płatnej pracy.

Nie oszczędzajmy na emeryturę, ale co roku pewną część środków przeznaczmy na budowę osobistego kapitału wiedzy i relacji. ©©

Autorem jest rektor Narxoz University w Alma Ate w Kazachstanie.

TEST „DO RZECZY”: IFROGZ (MODELE SUMMIT I CHARISMA)

Styczeń dobiega końca, u wielu powoli gąśnie więc zapal związany z noworocznymi postanowieniami. A ponieważ z sondaży wynika, że obietnica: „Zaczęć uprawiać sport” jest jedną z najczęstszych wśród Polaków, to by znów wznieć w sobie ogień do spalania zapasów tłuszczu, warto spróbować wspomóc się muzyką. Na rynku jest wiele bezprzewodowych słuchawek dla sportowców. W tej rubryce prezentowałem m.in. model RP-BTS30 Panasonic (za 279 zł) i Jabra Sport Coach (za 449 zł). Tym razem do testów wziąłem dwa tańsze modele – każdy kosztuje 199 zł.

Słuchawki Summit przeznaczone są dla mężczyzn, a Charisma dla kobiet. Różnią się jednak głównie kolorami oraz designem. Model Summit ma mocowanie przypominające skrzydła. Dzięki niemu słuchawki nie wypadają z uszu ani nie wymagają częstego poprawiania nie tylko podczas biegania, lecz także podczas intensywnych ćwiczeń. Słuchawki Charisma skrzydeł nie mają, mają za to bardziej kobiecy, delikatniejszy design i wbudowane magnesy, które pozwalają połączyć słuchawki po zakończeniu treningu.

Oba modele są lekkie, wygodne w użytkowaniu i odporne na pot (co wcale nie znaczy, że są wodoodporne – spełniają normę IPX-2). W zestawie znajdują się też wymienne silikonowe wkładki douszne w trzech rozmiarach.

Słuchawki nosi się więc komfortowo. Na pochwałę zasługuje też magnetyczne zapięcie, które pozwala na łatwe przypięcie do koszulki lub kołnierza kurtki pilota do obsługi multimediów i odbierania lub kończenia połączeń (w pilocie wbudowana jest też bateria, dzięki czemu same słuchawki mogą być naprawdę niewielkie). Zapięcie ułatwia też przenoszenie słuchawek po zakończeniu ich używania – można je wówczas po prostu zawinąć wokół pilota i zapiąć (to ważna cecha, bo niestety, do żadnego z modeli producent nie daje pokrowca).

Parowanie ze smartfonem (zarówno z systemem Android, jak i iOS) jest intuicyjne oraz błyskawiczne. Na jednym ładowaniu słuchawki będą grały przez niemal pięć godzin. Aby naładować baterię do

pełna, trzeba zaś podłączyć je do komputera mniej więcej na godzinę. Zasięg Bluetooth wynosi w obu modelach ok. 9–10 m.

A jak jest z jakością odtwarzanych dźwięków? Oba modele brzmią przyzwoicie (prawdziwym audiofilom, a zwłaszcza miłośnikom jazzu i bluesa, radziłbym jednak poszukać czegoś sporo droższego lub przewodowego). Jak na bezprzewodowe słuchawki przeznaczone dla sportowców, do tego w kategorii cenowej do 200 zł, oba modele iFrogz brzmią jednak wystarczająco dobrze, aby zapewnić muzyczne tło do treningu, spacerów czy podróży autobusem lub pociągiem.

Oba modele nieźle sprawdzają się również jako gadżety do prowadzenia długich rozmów telefonicznych. Rozmówców słychać wyraźnie i czysto. Bez zarzutu działa też wbudowany mikrofon, który zarówno w modelu Summit, jak i w Charisma umieszczony jest we wspomnianym już pilocie do obsługi multimediów. Jeśli dobrze dopasujemy douszne wkładki, to słuchawki nieźle radzą sobie również z tłumieniem hałasów z zewnątrz.

Biorąc pod uwagę stosunkowo niewielką cenę, funkcjonalność i komfort użytkowania, modele Summit oraz Charisma mogą więc uprzyjemnić sportowcom amatorom realizację ambitnych postanowień na rok 2017. Nawet jeśli z postanowienia o bieganiu zostały już tylko spacer. ©©

Jacek Przybylski

NIE DLA SMOGOSCEPTYKÓW

W ostatnim tygodniu Polskę ogarnęło szaleństwo antysmogowe. Przez Internet przetoczyła się dyskusja o tym, czy zagrożenie smogiem jest realne, czy to może tylko zręczna wrzutka PR-owców mająca poprzedzić np. wprowadzenie nowych, restrykcyjnych unijnych regulacji. Smogosceptyków (copyright Kamila Baranowska) odsądzano od czci i wiary, nie przyjmując ich argumentów, smogofanatyki szermowali populistycznymi hasłami. Tymczasem na niedawnych targach CES jedna z krakowskich firm zaprezentowała ciekawe urządzenie do pomiaru zanieczyszczeń powietrza. Gadżet o nazwie Ecolife stworzony przez polskich naukowców zapewnia dokładny odczyt stężenia

pyłu, lotnych związków organicznych, a wszystko to w kontekście czynników wpływających na odczuwalność zanieczyszczenia, czyli poziomu wilgotności i temperatury. Urządzenie prowadzi monitoring

w trybie 24-godzinny, a dane trafiają do aplikacji smartfonowej z odpowiednią analizą. Ponadto łączy się z pozostałymi urządzeniami w kraju, przygotowując mapę jakości powietrza. Urządzenie trafiło do przedsprzedaży, kosztuje w niej 299 zł.



INTELENTNY PRYSZNIC

Lubicie śpiewać pod prysznicem? Teraz wyśpiewywanych ku radości (lub wręcz przeciwnie) sąsiadów arii operowych nie zakłóci niespodziewany strumień zbyt zimnej lub zbyt gorącej wody. Inteligentny prysznic U by Moen zapamięta, jaką temperaturę wody preferujemy, pod jakim ciśnieniem, jakim strumieniem i dostosuje kąpiel do potrzeb użytkownika. Przy okazji na specjalnym panelu wyświetli też temperaturę wody, czas i ilość jej zużycia. Urządzenie zapamiętuje ustawienia dla 12 użytkowników. Można też przygotować kąpiel przez aplikację internetową, łącząc się z prysznicem za pomocą Bluetooth. System nie jest tani – kosztuje ok. 5 tys. zł. ©©

Wojciech Wybranowski





Łukasz Majchrzyk

Gigantyczne kontrakty, ogromne pieniądze i potężne afery. Gwiazdy futbolu niechętnie płacą podatki

Zwody, dryblingi, ryzykowna gra, strzały, po których bramkarz rozkłada bezradnie ręce, to ich znaki firmowe. Leo Messi i Cristiano Ronaldo to piłkarze, którzy porywają tłumy.

Z powodu tych dwóch gwiazd kibice futbolu na całym świecie podzielili się na dwa obozy. Gdy Ronaldo kręcił z niedowierzaniem głową po odpadnięciu Portugalii z Euro 2012, zwolennicy Argentyńczyka zacierali ręce. Gdy Messi po raz kolejny przeżywał rozczarowanie występem swojej reprezentacji, w ekstazie byli wyznawcy Portugalczyka.

Kiedy okazało się, że Messi ma problemy z prawem, bo urząd podatkowy w Hiszpanii i prokuratura zaczęły badać jego zeznania podatkowe, kibice Realu mogli cmokać z zadowoleniem. Spokojnie, okazało się, że Messi nie jest jedynym piłkarzem, który będąc bajecznie bogatym, nie pokazywał uczciwie wszystkich dochodów. Finanse Ronaldo, które też zostały poddane skrupulatnemu badaniu (najpierw przez dziennikarzy), też nie są tak śnieżnobiałe jak koszulka Realu, w której występuje Portugalczyk.

Oni są najbardziej rozpoznawalni, o nich się mówi najgłośniej, kibice dyskutują o tym, czy i jak wielkie kłopoty będą mieli, ale przecież obaj nie są wyjątkami. Są tylko przykładami choroby, która toczy współczesny futbol – chciwości. Kłopoty z płaceniem podatków mieli też m.in. Iker Casillas, Xabi Alonso, Neymar, Javier Mascherano. Neymar, kapitan reprezentacji Brazylii, miał oszukiwać tamtejszy system podatkowy – mimo to nadal jest w ojczyźnie kochany i podziwiany, zwłaszcza od kiedy poprowadził reprezentację do wygrania turnieju olimpijskiego.

MILIONY W RAJACH

Messi zawsze miał reputację introvertyka, który niewiele mówi, w życiu jest trochę zagubiony i prawdziwe szczęście osiąga tylko na boisku piłkarskim. Tam



Finansowy

rozumie wszystko, tam może się kierować instynktem i wiedzą zdobytą w jednej z najlepszych akademii piłkarskich na świecie, czyli barcelońskiej La Masii. Dodatkowo sympatię kibiców zdobywał mu też historia, jak Barcelona uratowała mu karierę piłkarską, finansując kurację hormonem wzrostu czy opowieści o tym, jak słynny Brazylijczyk Ronaldinho opiekował się młodym Messim, kiedy ten dopiero wchodził do drużyny.

Nic dziwnego, że kibice byli zaszokowani tym, co wyszło na jaw, bo nagle okazało się, że krystaliczny Messi jest zamieszany w oszustwa podatkowe, i możliwe, iż oszukał hiszpański fiskus na ok. 4 mln euro. Im dłużej toczyła się sprawa, tym więcej obciążających faktów wychodziło na jaw. Za pośrednictwem spółek, zakładanych w rajach podatkowych, Messi

miał ukrywać swoje przychody z praw do wykorzystania wizerunku. A jakby tego było mało, to jeszcze Argentyńczyk miał pewne informacje zatajać przed skarbowką.

W latach 2007–2009 (bo takiego okresu dotyczyły zarzuty) pieniądze z praw reklamowych miały być transferowane do spółek z siedzibami w rajach podatkowych (Urugwaj, Belize). Kiedy afera podatkowa zaczęła być nagłaśniana w 2013 r., Messi i jego ojciec Jorge zapłacili część należności podatkowych. Jednak to nie zatrzymało lawiny. Potem, kiedy na jaw wyszły tzw. Panama Papers, nazwisko Messiego także się tam znalazło.

Mówiło się, że ojcu i synowi grozi kara 22 miesięcy w zawieszeniu. Było to szczęście w nieszczęściu, bo hiszpański



Obu największych gwiazdorów piłki nożnej łączy coś więcej niż umiejętności piłkarskie – także niechęć do płacenia podatków FOT. PHILIPP SCHMIDLI/GETTY IMAGES

wymiar sprawiedliwości orzeka kary w zawieszeniu tylko, gdy wyrok nie przekracza dwóch lat pozbawienia wolności.

Kiedy Argentyńczyk przyjechał zeznawać do sądu, powitał go tłum dziennikarzy, a gdy ktoś krzyknął, pytając, czy Messi będzie teraz grał dla Panamy, wszyscy wybuchli śmiechem. Ani piłkarzowi, ani jego ojcu do śmiechu nie było. Messi zapewniał, że o niczym nie wiedział i wielomilionowe kontrakty podpisywał bez nawet próby ich czytania. Jeśli ojciec dawał mu coś do podpisu, to on, jako dobry i posłuszny syn, grzecznie wszystko podpisywał. Bo niby dlaczego miałby tego nie robić? Jego ojciec też zapewniał, że nie zna się na finansach i od czasu do czasu po prostu pytał prawników, czy wszystko robi dobrze. Oni potwierdzali i tak to się toczyło.

W trakcie procesu prokuratura stwierdziła, że zarzuty przeciwko piłkarzowi należałoby wycofać, bo nie miał o niczym pojęcia (cała wina spadała na ojca). A przesłuchanie zaczęło się od dziękowania piłkarzowi i jego ojcu, że w ogóle się na nie stawili (jeśli potencjalny wyrok nie przekracza dwóch lat, to hiszpańskie prawo pozwala nie uczestniczyć w całym procesie). Zdecydował sprzeciw urzędu podatkowego, który nie wierzył w zapewnienia o kompletnej niewiedzy piłkarza.

Podobny schemat ujawniono także w przypadku Cristiano Ronaldo, a przy tej okazji wypłynęło znowu nazwisko potężnego agenta piłkarskiego – Jorge Mendesa, który jest odpowiedzialny za interesy Ronaldo i trenera José Mourinho.

Prawa do wizerunku Portugalczyka miały być sprzedane spółkom zarejestrowanym w ramach podatkowych (w tym przypadku Brytyjskie Wyspy Dziewicze), a kilka dni później część odsprzedana spółkom zarejestrowanym w Irlandii. Jedną z tych firm miała być zarządzana przez kuzyna Mendesa. Dzięki tym zabiegom Ronaldo płacił podatki w wysokości 12,5 proc.

HEROS MA LEPIEJ?

W śledztwo wobec finansowych zabiegów Portugalczyka zaangażowały się media z całej Europy (łącznie 12 redakcji). Wyszło na to, że Ronaldo i Messi mają ze sobą wiele wspólnego, przynajmniej jeśli chodzi o kreatywne księgowanie.

Linia obrony Argentyńczyka w sprawie oszustw podatkowych dziwnie przypomina to, co stało się ok. 20 lat temu. Wtedy też sportowym światem wstrząsnęła wiadomość, że znany sportowiec ukrywa dochody i nie płaci podatków. Chodziło o najlepszą wówczas na świecie tenisistkę – Steffi Graf. Całą winę wziął na siebie jej ojciec i to on został skazany w procesie na sześć lat i dziewięć miesięcy więzienia.

Zachowanie hiszpańskiej prokuratury w sprawie Messiego jest znamienne, bo wygląda to tak, jakby chciała część skandalu zamieść pod dywan i – broń Boże! – nie stracić przypadkiem z olimpu jednego z herosów sportu.

Podobnie sprawa wyglądała po wybuchu dopingowej afery Puerto, kiedy dr Eufemiano Fuentes twierdził, że odwiedzali go także piłkarze. Hiszpański wymiar sprawiedliwości nie był zainteresowany szukaniem kolejnych nazwisk. A mówiło się wtedy o głośnych nazwiskach z hiszpańskiej ligi.

Próbki krwi, które nie zostały przypisane sportowcom, chciała badać m.in. Światowa Agencja Antydopingowa (WADA), ale prowadząca sprawę sędzia odmówiła wydania woreczków z krwią, powołując się na ochronę praw obywatelskich. Próbkę miały zostać zniszczone po uprawomocnieniu się wyroku. Na szczęście została wniesiona apelacja i hiszpański sąd zmienił decyzję: próbki mają zostać wydane, co pozwoli na ustalenie tożsamości wszystkich sportowców (mówi się w sumie o 58 nazwiskach).

Może nadchodzi koniec nietykalności wielkich gwiazd z wielkimi pieniędzmi? Znosi się co najmniej na dogrywkę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Baranina dobra dla żaków

Przez wieki baranina i jagnięcina przegrywały rywalizację z mięsami uważanymi za szlachetniejsze – z dziczyzną uwielbianą przez szlachtę, wołowiną, wieprzowiną, kapłonami i gęsiną. Nie znajdujemy ich prawie w jadłospisach czasu średniowiecza, czasem tylko czyniony jest wyjątek dla jagnięciny. Baraniny nie lubili nawet umartwiający się mnisi. „Baranie i jagnięce flaki i głowa dobre są dla biedaków i dla żaków” – zapisano w pismach klasztornych. Mięso takie rzadko występuje w jadłospisach kuchni królewskiej Jadwigi i Jagiełły z końca XIV w. zapewne dlatego, że było trudne do upieczenia, a nie znano jeszcze sposobów jego marynowania.

Pieczeń barania i gotowana jagnięcina wymieniane są dopiero w XVI w. w jadłospisach obiadów profesorów uniwersytetu w Krakowie. Pojawiały się także na ucztach z czasów Stefana Batorego. W książce kucharskiej Stanisława Czernieckiego spotykamy zaledwie trzy potrawy z baraniny – udziec smażony z młodym sadłem w rynce albo duszony z czosnkiem w rynce. A także mięso baranie podpiekane na węglach i duszone z naparem

z pieczeni wołowej. Poza tym baranina występuje tylko jako składnik różnych potraw, np. potażu, czyli rosółu. Autor w ogóle nie zna jagnięciny, nie podaje też żadnych sposobów na wstępne przygotowanie mięsa baraniego, aby było lepsze do duszenia.

Moda na to mięso zaczęła trafiać do nas dopiero pod koniec XVIII w. W „Kucharzu doskonałym” Wojciecha Wielądka, w większości przepisany zresztą z francuskiej książki kucharskiej „Cuisine bourgeoise”, jest cały poświęcony mu dział, choć autor ma duże zastrzeżenia. „Lubo baranek nie jest najwyborniejszy w smaku i niezbyt zdalny do kuchni, gdy mięso w nim chude, atoli sposób przyrządzania niektórych części opiszę” – podaje we wstępie. Wielądek opisuje kilka przepisów – na podróbki po miejsku, na głowę z różną zaprawą, a także smażone ćwierci, zrazy i nożki. Niestety, nigdzie nie umieścił owej podstawowej wykładni smaku – zrozumiałej dziś dla każdego, kto chociaż raz jadł barana. Mianowicie, że mięso przed upieczeniem albo ugotowaniem należy zamarynować, aby stało się kruche!

Technika ta rozpowszechniła się dopiero w wieku XIX. „Kucharz wielkopolski” wydany w 1892 r. podaje już kilkanaście przepisów, włącznie ze sposobem wstępnego przygotowania baranka. Otóż aby baranina była miękka, należy owinąć ją w serwetę maczaną w occie i na kilka dni... zakopać w piasku w piwnicy. Aby pozostawała świeża, moczymy ją w kwaśnym mleku lub serwatce. Książka podaje sposoby na przygotowanie kotletów baranich, pieczeń w oliwie, baraninę z ryżem na sposób turecki, a nawet wątróbkę, flaki i mostek. Jeszcze więcej przykładów zawiera wydany mniej więcej w tym samym czasie „Ilustrowany kucharz krakowski dla oszczędnych gospodyń”, gdzie znajdujemy przepis na szynkę baranią przygotowywaną z tylnej ćwiartki, najpierw nacieraną zaprawą z saletry, soli, cukru, angielskiego pieprzu i tłuczonego jałowca. Później mięso należało włożyć do kamiennej misy, przycisnąć ciężarem i trzymać w chłodnej spiżarni przez dwa tygodnie. Dopiero potem należało powiesić ją w przewiewnym miejscu na dwa dni i uwędzić. Jednak to już znak nowych czasów w kuchni polskiej. ©



Zrazy z baranka wedle Wielądka

Wrzucamy do rondla kawałek masła, pokrojone grzyby, wiązkę pietruszki, bazylię, tymianek i goździki, podgrzewamy na małym ogniu, dosypujemy łyżkę mąki, zalewamy bulionem wołowym, gotujemy. Osobno pieczemy na rożnie lub grillu przednią ćwiertć baranka, polewając masłem, następnie kroimy w zrazy, odrzucając kości. Zrazy wkładamy do mieszaniny, zaprawiamy trzema żółtkami ubitymi z mlekiem, przygrzewamy, ale nie dopuszczamy do wrzenia. Przed podaniem dodajemy trochę octu winnego rozcieńczonego z wodą i wedle gustu zaprawionego odrobiną miodu.

Kotlety baranie siekane

Wyżyłowane mięso z baraniej łopatki siekamy albo mielimy. Dodajemy trochę masła, tartę bułkę, soli, pieprzu, żółtko, mieszamy na masę. Formujemy kotleciki, karbujemy nożem, panierujemy i smażymy. Podajemy z sosem, np. kaparowym: smażymy masło z mąką, nie rumienimy, rozprowadzamy rosół, wrzucamy kapary, cukier, dolewamy sok z cytryny i gotujemy.

Bruzdy nosowo-wargowe – korekcja

Bruzdy nosowo-wargowe są jedną z najczęściej poddawanych korekcji okolic twarzy. Te symetryczne zagłębienia, biegnące od skrzydełek nosa do kąćków ust, są zarówno niewielkimi liniowymi śladami w skórze (jak płytka zmarszczka), jak i w różnym stopniu głębokimi bruzdami. Jeśli są płytkie, to ujawniają się bardziej przy uśmiechu, te „poważniejsze” są wyraźne i mało estetyczne niezależnie od mimiki.

Nie są to klasyczne zmarszczki. Na ich powstawanie mają wpływ: mimika, procesy starzenia oraz genetycznie zaprogramowana budowa twarzy. Pewne znaczenie mają też stan uzębienia i prawidłowość zgryzu.

Bruzdy nosowo-wargowe pogłębiają się z wiekiem, ale mogą być wyraźne już od wczesnych lat. Głębokie bruzdy, ograniczone od zewnątrz nawisami skóry (pod którą często znajduje się obfita tkanka tłuszczowa), nadają twarzy niezdobyty estetyczny, ciężki wygląd i dodają lat. I dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn (u panów paradoksalnie są

jednym z bardziej postarzających defektów estetycznych zwłaszcza wtedy, gdy towarzyszy im zanik tkanki tłuszczowej w okolicy szczękowo-policzkowej).

Od opisanych wyżej zmian trzeba odróżnić zagięcia skóry na wysokości kąćków ust, które mają charakter wybitnie mimiczny (uwaga na braki w uzębieniu).

Korekcja bruzd nosowo-wargowych w początkowej ich fazie jest stosunkowo efektywna i mało traumatyczna. Trzeba pamiętać, że generalnie chodzi o ich spłycenie, a całkowite usunięcie jest praktycznie niemożliwe, zwłaszcza gdy są one zaawansowane. Wykonuje się ją poprzez podanie za pomocą igły lub kaniuli tzw. wypełniacza – jest nim w ogromnej większości usieciowany kwas hialuronowy. Parametry kwasu muszą być odpowiednio dobrane do rodzaju poddawanej zabiegowi zmiany.

Sytuacja się komplikuje, gdy chcemy skorygować głębokie, zaawansowane defekty. Tutaj wstrzyknięcie tzw. wypełniacza (kwas hialuronowy albo hydroksypa-

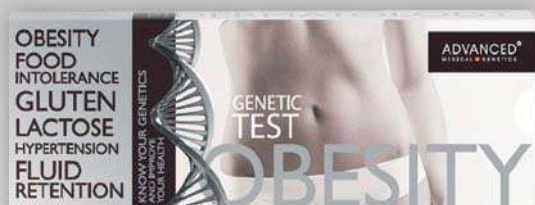
tyt wapnia) może nie dać spodziewanych efektów, a gdy próbuje się to osiągnąć za wszelką cenę, można uzyskać bardzo nieestetyczne rezultaty (doświadczenie lekarza!). Bywa, że dopiero „uniesienie” skóry ograniczającej od góry bruzdę poprzez podanie preparatu wypełniającego w okolicy szczękowej pozwoli na otrzymanie optymalnego efektu. Próby korekcji bruzd z użyciem nici podwieszających oraz toksyny botulinowej nie przynoszą zadowalających wyników.

Zabiegi w okolicy nosa – jeżeli są źle wykonane – mogą nieść z sobą poważne powikłania. Jedną z najczęstszych korekcji twarzy w medycynie estetycznej jest jednocześnie jedną z trudniejszych, zwłaszcza gdy obieca się zbyt wiele i nie ma zbyt wiele doświadczenia.



dr Andrzej Ignaciuk

– prezes Polskiego Towarzystwa
Medycyny Estetycznej
i Anti-Aging PTL
www.drignaciuk.pl



NOWY WYMIAR TESTÓW
GENETYCZNYCH
DNA
TERAZ DOSTĘPNE
DLA WSZYSTKICH

REDYKOŁKI, CZYLI NIE TYLKO OSCYPEK

Kiedy na Podhalu sypie śnieg i ścina mróz, ręce zacierają nie tylko właściciele wyciągów, lecz także sprzedawcy serów. Turysta bowiem myśli: „Podhale”, mówi: „oscypek” i nie wyobraża sobie zimowego wypadu w góry bez tego typowego górskiego sera. Jednak Podhale nie tylko oscypkiem stoi. Jednym z zarejestrowanych w Unii Europejskiej regionalnych serów z tego regionu jest dużo mniej znana redykołka, zwana młodszą siostrą oscypka. Robi się ją z resztek bundzu pozostałego z wyrobu oscypków, bo u baców nic nie może się zmarnować. Nazwa pochodzi od słowa „redyk”, które oznacza wyjście górali z owcami na wypas, a potem ich powrót.

Redykołki mają formę zwierzątek, serduszek, parzenic lub wrzeciona. Ich skórka ma jasnobrązowy kolor z delikatnym połyskiem, który powstaje w procesie wędzenia. – Teraz ten zwyczaj już niestety zanika, ale tradycyjnie, kiedy pod koniec września – na św. Michała – bacowie schodzili z owcami z wypasu, wzdłuż drogi czekały na nich dzieci, które bacowie obdarowywali redykołkami. Przybrały one formę zwierzątek, bo dzieciom służyły też jako

zabawki – opowiada Jan Janczy z Regionalnego Związku Hodowców Owiec i Kóz w Nowym Targu, który zarejestrował redykołkę jako produkt regionalny w UE.

Najmniejsze redykołki ważą od 30 do 60 gramów, waga większych nie może przekraczać 300 gramów. Gdzie ich szukać? Pytany o to Janczy załamuje ręce, bo – jak mówi – na Podhalu jest coraz więcej podrabianych serków. Redykołki i oscypki to produkt z mleka owczego. Dopuszczalne jest, by 40 proc. mleka użytego do produkcji redykołek pochodziło od krów rasy polska krowa czerwona. Tymczasem coraz więcej sprzedawanych serków z owczym mlekiem nie ma nic wspólnego. Janczy przyznaje, że prawdziwe oscypki i redykołki można kupić od maja do września, kiedy owce pasą się na halach. Najlepiej szukać ich bezpośrednio u baców – w bacówkach, w których wytwarzają sery. Turyści powinni mieć świadomość, że sery przypominające formą oscypka, które kupią w górach w sezonie zimowym, robione są najpewniej z mleka krowiego. Za to od maja do września powinni się bezwzględnie domagać owczych serków, bo – jak mówi Janczy – w przeciwnym wypadku

polskie owczarstwo zaginie, a bacowie zaprzestaną wychodzenia

z owcami na hale.
– Nie chciałbym tego, żeby redykołki i oscypki zostały już tylko w unijskich dokumentach – martwi się. ©©

Agnieszka Niewińska



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Buonissima

Co można jeszcze powiedzieć o kuchni włoskiej? Każdy, kto zamawiał margheritę w krajowej pizzerii, jest specjalistą, a już turysta, który jadł w kilku włoskich knajpach, nabrał przeświadczenia, że stał się ekspertem w tej dziedzinie.

Z błędu niech wyprowadzi ich „Buonissima. Podróż po kuchni włoskiej” Justyny Czekaj-Grochowskiej, książka napisana przez Polkę. Autorka przez ponad 10 lat podróżowała po Włoszech i pracowała w tamtejszych restauracjach. Swoje doświadczenia, obserwacje oraz oczywiście przepisy zebrała w obszernym tomie, który jest czymś więcej niż podręcznikiem gotowania. To rzetelny, a także osobisty przewodnik po kuchniach regionalnych Italii.

To niezwykle przydatny poradnik dla turysty zagubionego w bogactwie włoskiego dziedzictwa kulinarnego. Każdy bowiem, kto choć trochę poznał Włochy, wie, jak trudno się w tym połapać. Wchodzisz do sklepu z serami oraz wędlinami i głupiejiesz. Setki produktów wabią zapachem i wyglądem. Chciałbyś coś przywieźć z podróży. Jednak co? Prosciutto di Parma czy San Daniele? Jaka jest różnica między szynką Crudo Denominazione di Origine Protetta a zwykłą i jakie ma zastosowanie w kuchni? Jak ją kroić? Jak przechowywać? Z czym podawać?

Albo warzywa. Kto był na targu w Wenecji, ten wie, jaka jest różnica między nim a najbardziej zaawansowanym, najelegantszym targiem śniadaniowym w Polsce.



JUSTYNA CZEKAJ-GROCHOWSKA
„BUONISSIMA. PODRÓŻ PO KUCHNI WŁOSKIEJ”
FILO

Zmysłowe i barwne verdure to fundament. Sałaty w odcieniach od mocno zielonego do soczystej czerwieni, karczochy, szparagi, koper włoski. To, co u nas pokazuje się przez kilka tygodni, tam można kupić przez cały rok, dojrzałe, pachnące.

A restauracje? We włoskiej knajpie język angielski pomoże nam tylko na poziomie podstawowym. Menu wprawdzie jest często w tym języku, ale i tak żeby wiedzieć, co przyniesie kelner, trzeba znać nazwy, składniki, rodzaje dań.

Z rozrzewnieniem, ale i z ulgą przypominają mi się dwa dzieła o kuchni włoskiej wydane za czasów PRL. „Potrawy włoskie na polskim stole” – uboga książeczka, która zaczarowaną tę kuchnię usiłowała przetłumaczyć na polski stół za pomocą zamienników. Chciała dobrze. Jednak co można było zdziałać kiedy nie było oliwy z oliwek, a rolę parmezanu odgrywał ser tyłżycki, jeśli w ogóle był? Pizza z serem, salami i koncentratem pomidorowym była ucieleśnieniem naszego kosmopolityzmu w tamtych czasach. Z kolei do książki Macieja Halbańskiego „Potrawy z różnych stron świata” wybrano tylko dania mączne, bo jedynie z mąką socjalistyczny system zaopatrzenia dawał sobie radę... ©©



FOT. FOTOLIA

NASZ TEST: OPEL ZAFIRA

Zafira to od końca XX w. jeden z najbardziej popularnych minivanów na świecie (niemiecki producent sprzedał ok. 3 mln sztuk tego modelu). Auto jest bowiem praktyczne, bezpieczne, wygląda całkiem dynamicznie, a przy okazji – jeśli nie zaoszczędzimy przy wyborze silnika – potrafi dać sporo frajdy z jazdy.

Po niedawnym liftingu Zafira straciła futurystyczne reflektory w kształcie bumerangów. Trochę szkoda, bo choć czasem budziły one kontrowersje, to dzięki nim rodzinny Opel zyskiwał na oryginalności. Nowoczesne diodowe lampy nie budzą już wielkich emocji, ale z pewnością znajdą swoich zwolenników. Adaptacyjne reflektory AFL LED świecą bowiem



jaśniej, a do tego Opel zaprogramował aż dziewięć trybów ich działania. Moc i zasięg świateł zmieniają się więc np. w zależności od tego, czy pokonujemy zakręt na trasie, jedziemy po mieście, stoimy na czerwonym czy cofamy. Bardzo fajna sprawa.

W KABINIE

W przestronnym wnętrzu największe wrażenie robią ogromne okno dachowe oraz olbrzymia przednia szyba ze specjalną przysłoną, która pozwala obniżyć lub podwyższyć linię dachu.

Kokpit jest uporządkowany, przejrzysty i łatwy w obsłudze. Siedmioocalowy ekran systemu

multimedialnego można zaś wreszcie obsługiwać dotykowo. Opcjonalny system IntelliLink ułatwia korzystanie ze smartfona. Zdecydowanie przydałoby się jednak więcej portów USB.

Na pochwałę zasługują wygodne, bardzo dobrze wyprofilowane fotele. A także praktyczność kabiny. Schowków w kabinie jest tak dużo, że przez pierwsze dni po zakupie można organizować rodzinne konkursy na znajdowanie nowych (w sumie jest ich 30 – chyba że sam jakiegogo nie znalazłem).

Spory jest też kufer – jeśli decydujemy się na jazdę w piątkę, to w bagażniku mamy do dyspozycji 710 l pojemności, a po złożeniu drugiego rzędu foteli – aż 1860 l. Bardzo fajny jest też zintegrowany, wysuwany niczym szuflada bagażnik rowerowy (można na nim przewieźć nawet cztery rowery).

JAZDA

Minivanem Opla możemy podróżować w trybie normalnym, sportowym lub turystycznym. Czy jednak siedmioosobowy, praktyczny mały autobus może dobrze się prowadzić? Otóż może. I to naprawdę nieźle. Jeśli wybierzemy najmocniejszy turbobenzynowy silnik o pojemności 1,6 l, to 200 żwawych koników ukrytych pod maską sprawi, że kierowanie rodzinnym autkiem stanie się naprawdę przyjemne. Samochód prowadzi się pewnie i pozwala na dynamiczne pokonywanie zakrętów (zwłaszcza w trybie sportowym). Adaptacyjne zawieszenie sprawia zaś, że Zafirą komfortowo można wybrać się nawet w dłuższą podróż.



Podczas naszego testu średnie spalanie na trasie wyniosło 6,3 l/100 km, na autostradzie 7 l/100 km, a w mieście – ok. 9,5 l/km.

BEZPIECZEŃSTWO

W teście Euro NCAP Zafira jeszcze w wersji przed liftingiem zdobyła komplet pięciu gwiazdek.

Elektroniczni asystenci ostrzegają kierowcę przed pojazdami w martwym polu lusterek, przed przypadkową zmianą pasa ruchu, a także gdy komputer uzna, że zbyt szybko zbliżamy się do pojazdu przed nami (jeśli w porę nie zareagujemy, to system automatycznie uruchomi hamulce). Kamera Opel Eye rozpoznaje również znaki ograniczenia prędkości czy zakazu wyprzedzania.

Zafira jest też wyposażona w system OnStar. Jeśli dojdzie do wypadku, to samochód automatycznie wyśle powiadomienie do centrali, której pracownicy zawiadomią odpowiednie służby. Opiekunowie kierowcy mogą też podpowiedzieć, jak dotrzeć do celu, a nawet pomóc w przypadku kradzieży auta.

CENA

Najtańszą nową Zafirę w wersji pięciomiejscowej z silnikiem 1,4 l (120 KM) i manualną skrzynią biegów można kupić za 80,9 tys. zł. Za wersję siedmiomiejscową z bardzo przyjemnym silnikiem benzynowym 1,6 l (200 KM) trzeba już zapłacić 110,6 tys. zł.

KONKURENCI

Citroën Grand C4 Picasso, Ford Grand C-MAX, Kia Carens, Mazda 5, VW Touran, Renault Grand Scénic, SEAT Alhambra, Toyota Verso.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Do widzenia, **Obamo**

MARCIN MAKOWSKI: Znamy już ocenę ratingową agencji Moody's i Fitch. Pomimo niestabilnej sytuacji politycznej prognozy pozostają bez zmian, ponieważ wskaźniki makroekonomiczne są stosunkowo optymistyczne. Tyle w dużym skrócie. Zaskoczenie?

MATTHEW TYRMAND: W żadnym wypadku. Takich ocen można się było spodziewać od dawna, co tylko potwierdza powszechnie znaną tezę, że Moody's i Fitch są agencjami bardziej powściągliwymi w sensie przewartościowywania wpływu polityki danego kraju na jego sytuację ekonomiczną. Mówiłem o tym przy okazji obniżenia ratingu przez S&P – dzisiaj to oni zostają osamotnieni, pogarszając wskaźniki Polski tylko dlatego, że pogniewali się na jej obecną władzę. Nie znaczy to jednak, że można otwierać szampana. Owszem, program „Rodzina 500+” będzie miał w perspektywie roku wpływ na niewielki wzrost PKB, ale biorąc pod uwagę ogromne obciążenia budżetowe wynikające z obniżenia wieku emerytalnego oraz innych programów społecznych, spodziewam się zwiększenia zadłużenia państwa i obniżenia ratingów w przyszłości. Sporo zależy też od sytuacji na świecie i w Unii, ale przy wzmacniającym się dolarze pod prezydenturą Trumpa pozycja

złotego nie wygląda różowo. Spodziewam się, że na początku 2018 r. dolar w stosunku do złotego będzie bliższy 5 niż 4 zł.

Jak sądzisz, jaki los czeka wojska amerykańskie w Polsce po inauguracji prezydentury Donalda Trumpa? Wielu komentatorów spekuluje, że zbliżenie z Rosją i podjęcie decyzji o dyslokacji przez Obamę może sprawić, iż Trump będzie chciał zmniejszyć skalę zaangażowania.

To jest przede wszystkim decyzja NATO i wojskowych w Pentagonie, a nie samego Obamy, który według mojej wiedzy nie palił się do zwiększenia zaangażowania na Wschodzie. Kluczową sprawą jest przesunięcie tych jednostek bliżej Suwałk, ponieważ dzisiaj stacjonują głównie na granicy polsko-niemieckiej, a nie taki jest ich cel. Ewentualne zagrożenie nie nadejdzie przecież z Berlina. Chociaż nie jestem tak sceptyczny wobec Putina jak większość prawicowych komentatorów w Polsce, to uważam, że jego tłumaczenie o poczuciu zagrożenia wynikającego z przetransportowania tych sił jest śmieszne. To on zaatakował inne suwerenne państwo w Europie, nie NATO. Trump może publicznie wygłaszać kontrowersyjne tezy, ale moim zdaniem

militarnie Polska nie ma się czego obawiać. Te decyzje podejmują twarogłowi generałowie, którzy co do NATO i stawiania oporu Rosji nie mają złudzeń. Obecny kurs będzie kontynuowany wraz ze zmianą administracji.

Barack Obama wygłosił swoje ostatnie przemówienie jako prezydent USA. Było dużo o wyrównywaniu nierówności społecznych, popłynęły też łzy wzruszenia.

Często mu się to zdarza.

Ty też płakałeś?

Być może będę. Z radości, 20 stycznia – podczas inauguracji Trumpa, na którą się wybieram. A na poważnie, kończy się pewna epoka nie tylko w Ameryce, lecz także na całym świecie. Obama zostanie zapamiętany jako najgorszy prezydent w historii Ameryki. Zdecydowanie zaognił relacje rasowe, wprowadzał zmiany niezgodnie z konstytucją i wbrew woli Kongresu, Obamacare to kosmiczna porażka, która była kołem napędowym kampanii Trumpa. W zasadzie nie potrafię znaleźć pozytywnego akcentu dwóch kadencji Obamy jako głowy najpotężniejszego państwa na świecie. Był świetnym mówcą, zostawił po sobie zabawne i wyluzowane zdjęcia. Był cool. Tylko co z tego? Jego polityka wobec Izraela to katastrofa, umowa z Iranem i Kubą to kapitulacja.

Zakończmy Polską. „Kryzys sejmowy” zażegnany. Kaczyński ograł opozycję?

Opozycja ograła się sama, Kaczyński tylko odpowiednio docisnął. Pytanie, jakim odbyło się to kosztem? W Polsce PiS się wzmocnił, ale na świecie przebiły się obrazki uciśkanej opozycji, a nie nieporadności Petru i Schetyny. Rząd był bierny w lobbowaniu na rzecz swojej wersji wydarzeń na Zachodzie – jak zawsze. Warto o tym kontekście pamiętać. ©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





Sobotnie kino w TV Republika

21:30





KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Nawróceni na wolność

POSEŁ SŁAWOMIR NEUMANN (PO):

Proszę o informację, na jakiej podstawie i jaki organ wydał decyzję w zakresie inwigilowania oraz stosowania działań operacyjno-rozpoznawczych w stosunku do obywateli wyrażających swoje niezadowolenie wobec obecnej władzy oraz jakie są planowane dalsze represje w stosunku do tych osób.

To zależy, panie pośle, to zależy. Jeśli PiS weźmie przykład z pańskiej partii, to za samo skandowanie antyrządowych haseł będzie

Jeśli PiS będzie chciał karać za skandowanie haseł, to ścieżkę ma już przetartą

można obywatelom zaserwować karę z art. 49. Kodeksu wykroczeń („Kto w miejscu publicznym demonstracyjnie okazuje lekceważenie Narodowi Polskiemu, Rzeczypospolitej Polskiej lub jej konstytucyjnym organom, podlega karze aresztu albo grzywny”). To ten poręczny artykuł, którego za rządów Tuska

użyto do ukarania 11 kibiców skandujących: „Donald, matole, twój rząd obalą kibole” po tym, jak w drodze inwigilacji – bo przecież sami się nie zgłosili na komisariat – ustalono ich tożsamość. Ostatecznie kary uniknęli – sąd drugiej instancji sprawę umorzył z powodu przedawnienia karalności – ale po drodze Trybunał Konstytucyjny pod prezesem Andrzejem Rzeplińskim uznał, że jakby co, to grzywna lub więzienie za skandowanie antyrządowych haseł jest karą akceptowalną i jak najbardziej konstytucyjną. „To ograniczenie wolności wypowiedzi musi być uznane za przydatne” – tłumaczyła sędzia Teresa Liszcz, przekonując, że takie kary to dla dobra nas wszystkich. „Racją tego przepisu jest zapewnienie narodowi i Rzeczypospolitej należytego szacunku. Jeśli chcemy, by szanowano nas na arenie międzynarodowej, to musimy sami okazywać szacunek swemu państwu. Okazywanie lekceważenia za pomocą obraźliwych lub poniżających sformułowań (często zastępujących autentyczną debatę publiczną argumentami ad personam czy językiem

marginesu społecznego), niepodlegających kwalifikacji w kategoriach prawdy i fałszu, nie stanowi oceny funkcjonowania określonych podmiotów”.

Jeśli więc PiS będzie chciał karać za skandowanie haseł, to ścieżkę ma już przetartą, a ewentualne kary grzywny czy aresztu są już dawno przyklepane przez Trybunał Konstytucyjny. O ile oczywiście PiS wystarczą takie lajtowe kary, bo przecież nie brakuje głosów – w tym ze strony mediów – że protestujący powinni zostać ukarani z dużo poważniejszych paragrafów. Mariusz Błaszczak znalazł nawet taki, z którego można demonstrujących wsadzić aż na 10 lat. Niestety, PiS zdaje się nie rozumieć tego, o czym właśnie boleśnie przekonuje się PO – jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Wszystkie metody i paragrafy, którymi dzisiaj ukarze protestujących, zostaną wykorzystane przeciwko niemu, gdy straci władzę. Jeśli więc nie z uмиłowania do wolności, to z dobrze pojętego interesu własnego byłabym bardzo ostrożna w karaniu za poglądy. Nawet te wyrażane najbardziej chamsko. ©©

PODSŁUCHANE

Może z przyczajki?

Michał, co my teraz zrobimy?

Nie wiem, Kinga. Na razie odpoczywam po tym, jak nas Schet sponiewierał.

Nawet mi nie mów. Myślałam, że to my wyjdziemy na twardzieli, a ten...

kazał nam tam miesiąc siedzieć, tyłek mnie dotąd boli, stopy sobie prawie odmroziłam, w domu mam przerabane, bo na święta byłam w kratkę. I jeszcze się trzeba było uśmiechać do tych kretyńskich filmików...

No dobra. Ale co robić? Przecież on nas zniszczy.

Może byś znów coś Kuchcińskiemu powiedziała? On cię znowu wykluczy i...

O nie! Ja nie będę z siebie drugi raz durnia robił. Jakbyśmy znowu

zaczęli tu coś okupować, to Schet nam każe siedzieć co najmniej do końca wakacji. A sam pojedzie na Majorce albo do Władysławowa i się będzie cieszył.

No to nie wiem. Może się jakoś trzeba przycząć. A jak będzie okazja, to się wtedy wszyscy na niego rzucimy! Ale bez żadnej okupacji!

No jasne.

Uwaga! Idzie. Bluzeczkę sobie popraw. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeśli Falenta spłacał Rosjanom długi nagraniami, tzn. że Rosjanie chcieli, żeby władzę w Polsce przejął... zgaduj-zgadula... właśnie”.

TOMASZ LIS,

publicysta, na Twitterze

fol. Jerzy Gumowski



Wodzuse

Rodzią insurekcyjność kontramoskiewską analizuję w tym numerze „Tygodnika Lisieckiego” obszernym esejem, do którego suplementem jest felieton niniejszy. Przeciwnicy Powstań nazywali i nazywają je głupotą, ja zaś koniecznością historyczną, której realizacja bardzo nam pomogła w odzyskaniu suwerenności. Jedyną powstańczą głupotą (szalenie, niestety, ważną, wręcz decydującą) widzę w umysłowej impotencji ludzi, którym władze powstańcze każdorazowo (!) dawały dowódcze armijne stanowiska. Na zbyt często insurekcyjną armią polską kierowały beztalencja (czasami przejawiające znamiona debilizmu) i kreatury moralne niegodne miana patrioty. Ergo: nim zjawił się genialny legionowy „Komendant” — hierarchiczny „materiał ludzki” mieliśmy kalibru fatalnego. Uzasadniając tezę będę się powoływał na mojego śp. przyjaciela, profesora Jerzego Łojka, wybitnego znawcę sarmackich zrywów antyrosyjskich, i na profesora Włodzimierza K. Dzwonkowskiego, rekordowo chyba antylewicowego spośród „międzywojennych” historyków.

Konfederacja Barska szarpała Rosjan długo (1768–1772), lecz tak chaotycznie, nieumiejętnie i nieskoordynowanie, że miała zerowe szanse triumfu. Dzwonkowski: „Ten przeciwrosyjski ruch szlachty polskiej obudził uśpione serce narodu, lecz chociaż pełen był czynów bohaterskich, skończył wskutek warcholstwa i błędów” (1934). Duże błędy pograżyły również Insurekcję Kościuszkowską (1794). „Naczelnik” Tadeusz był człowiekiem szlachetnym, naturą idealistyczną, lecz zupełnie nie pragmatyczną i wyzbytą talentu wielkiego wodza. Odniósł

kosynierski sukces w mało istotnej potyczce pod Racławicami, lecz dwie ważne bitwy (pod Szczekocinami i Maciejowicami) przegrał, i to był „finis Poloniae”. Dzwonkowski: „Kunkatorstwo przejął Kościuszko wraz z taktyką amerykańską, tam skuteczną, tu u nas szkodliwą. Jego błędy mocno zaważyły na klęsce Insurekcji” (1934).

Powstanie Listopadowe (1830–1831) to jedyny nasz kontrosyjski bunt, który był wręcz skazany na sukces — przegranie tej rebelii stanowiło dużą sztukę (zwłaszcza że armię rosyjską strasznie gnębiła cholera), i naszym kretynom udało się dokonać tej sztuki. Pierwszym wodzem naczelnym został gen. Józef Chłopicki, eksnapoleończyk, który niczego nie zrozumiał ze sztuki wojennej Napoleona, a do tego był procarskim defetystą o etyce gnidy. Łojek: „Tępy ruty-niarz, chorobliwie ambitny i mający upodo-



Słowacki: „Mam wierzyć w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym?”



banie do komedianckich demonstracji. Człowiek o takiej mentalności musiał się oczywiście skompromitować” (1966). Jeszcze większym dupkiem okazał się następca Chłopickiego — gen. Jan Skrzynecki. Łojek: „Był wprost antytalentem dowódczym. Brakowało mu inteligencji oraz elementarnego wojskowego wykształcenia. Gdy czytamy pamiętniki ludzi, którzy w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku stykali się ze Skrzyneckim i obserwowali «dowodzenie» tego naczelnego wodza, zalewa nas potok przerażających szczegółów jego niedołęstwa i głupkowatości” (1966). Wydawało się, że takiego dna już nie można przebić, ale dla Polaków nie ma rzeczy niemożliwych: znaleźli na następcę Skrzyneckiego jeszcze większego debila. Ostatnim wodzem naczelnym został gen. Jan Krukowiecki, o którym Łojek pisze: „Jego strategia była czymś tak bez-

sensownym, że po prostu brak wyrazów na jej określenie. Było to coś z zakresu «pure nonsense'u» wojskowego i jeszcze dziś może uchodzić za niepowtarzalny przykład podrywania sobie gardła przez stronę walczącą, przed którą jak na dłoni leżała perspektywa zwycięstwa” (1966).

Powstanie Styczniowe (1863–1864) takiej perspektywy nie miało, ale jego przebieg mógłby być mniej fatalny, gdyby czołowych ról dowódczych nie grali popaprańcy typu płk. Apolinarego Kurowskiego. Ten stronnik ówczesnych „czerwonych”, mandaryn powstańczy w krakowskim (m.in. wojewoda krakowski), dysponując potężnym oddziałem (prawie 3 tys. ludzi) przegrał dwie duże bitwy (Miechów i Opatów), bo był prostakiem militarnym nie rozumiejącym pola walki i kompromitującym się rozkazami jak z kabaretu (śmiertelnego, niestety): kosynierów rzucił do ataku na mury, a jazdę do szarż wążutkami ulicznymi grodów! Przerażające. Nie da się wygrywać mając wodzów o takich umysłach.

Mieliśmy za to wielu świetnych podwładnych, jak choćby gen. Ignacy Prądzyński w Powstaniu Listopadowym (choć i on zgłupiał u schyłku Powstania, skołowany przez Krukowieckiego) czy w Powstaniu Styczniowym płk Józef Adam Grekowicz (pseudonim: Gronostajski), dowódca 3. pułku piechoty, bohater bitew pod Miechowem, Igołomią oraz Fajslawicami, a zwycięzca dużej potyczki pod Szklarami. Jego przyboczna broń, colt navy model 1851, z wygrawerowanym na lufie nazwiskiem i stopniem (na bębenu wygrawerowane: herb Polski, Matka Boska Częstochowska, Matka Boska Ostrobramska i powstańcze trójsymboliczne godło Krzyż-Kotwica-Serce, czyli Wiara-Nadzieja-Miłość) — jest dziś eksponatem moich zbiorów. Bębenek posiada sześć komór (jak to colt) — trochę mało, by wszystkich wrogów wybić. O czym wiedział też wódz wojsk zbuntowanej amerykańskiej Konfederacji (1861–1865, czyli przez półtora roku Konfederacji i nasi Styczniowcy walczyli równocześnie), gen. Robert E. Lee, którego ulubioną bronią był colt navy, model ten sam. ©©

Waldemar Łysiak





WYBIERZ SWOJĄ DROGĘ DO MINI RATKI

POŻYCZKA GOTÓWKOWA

Weź Mini Ratkę, tak jak jest Ci wygodnie. Nie czekaj – złóż wniosek na stronie [www](http://www.pkobp.pl), w serwisie internetowym iPKO, aplikacji mobilnej IKO, przez infolinię lub w najbliższej placówce PKO Banku Polskiego.

- nawet do **120 000 zł** (wraz z kredytowanymi kosztami)
- rata dopasowana do Twoich możliwości finansowych
- wypłata środków nawet w dniu złożenia wniosku



Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o pożyczce gotówkowej, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne w placówkach Banku i na www.pkobp.pl.
Udzielenie pożyczki jest uzależnione od pozytywnej oceny zdolności kredytowej.